

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 4/523

1991



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

K. MODZELEWSKI: **SOLIDARNOŚĆ PRACY**

L. UNGER:

SPÓŹNIONY WIELBŁĄD MAHOMETA

K. CHYLIŃSKA:

WSZYSCY JESTEŚMY LUDŹMI, ALE...

SMECZ: **Z UKOSA**

SPIS RZECZY

Karol Modzelewski:	<i>Solidarność pracy</i>	3
Krzysztof Wolicki:	<i>Krajobraz przed bitwą</i>	17
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Monolog o martwej mniszce</i>	26
Sławomir Mrożek:	<i>Egzorcyzmy; Wolna konkurencja</i>	36
R.G.:	<i>Z archiwum Zygmunta Haupta</i>	39
Zygmunt Haupt:	<i>Ulan Czuchnowski</i>	40
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Leopold Unger:	<i>Widziane z Brukseli. (Spóźniony wielki Mahometa)</i>	45
WYWIADY „KULTURY”		
Maria de Hernandez-Paluch:	<i>Refleksje przychodziły później... (Rozmowa z ambasadorem R.P. w Paryżu, Ryszardem Fijałkowskim — obecnie dyrektorem generalnym MSZ)</i>	62
SPRAWY I TROSKI		
Kamila Chylińska:	<i>Wszyscy jesteście ludźmi, ale...</i>	77
KRAJ		
Smecz:	<i>Z ukosa</i>	94
Zofia Ziemięcka:	<i>Czytając prasę</i>	104
O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA		
Antoni Pospieszalski:	<i>Notatki ewangelizacyjne</i>	109
Z U.L.B.		
Monika Agopsowicz:	<i>Prasa ukraińska na cenzurowanym</i> ...	117
Józef Darski:	<i>Kronika litewska i białoruska</i>	122
SĄSIEDZI		
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	127
Walerij Mastierow:	<i>Czy wszystkie drogi prowadzą przez Polskę?</i>	132
KSIĄŻKI		
M. Broński:	<i>Ostatni tekst Dürrenmatta</i>	134
Janusz Mondry:	<i>Problem z Japonią</i>	137
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	142
•		
—	<i>Wydarzenia miesiąca oraz Kroniki amerykańska i kanadyjska</i>	144
•		
A. Gawroński, P. Kuczyński, R. Lewandowski, Z. Małecki, T.L. Murek, S. Saulo, P. Strumillo, A.S. Targowski, A.K.F. Wołosz:	<i>Listy do Redakcji</i>	151
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	158
Redakcja:	<i>Sprostowanie</i>	159
—	<i>Najlepsze zdanie roku</i>	160

KULTURA

Szkice • Powiadania • Sprawozdania

PARYŻ Kwiecień/Avril 1991

Nazwy naszego ugrupowania nie należy pisać gdańskim gotykiem. Stawiamy jeden z odłamów ruchu zrodzonego w 1980r. i nie możemy uważać się za jedynych depozytariuszy symbolu wyrażającego wspólną tradycję rozmaitych orientacji ideowych. Dla zrozumienia, kim jesteśmy, ważny jest zarówno nasz solidarnościowy rodowód, jak i zasadnicze różnice poglądów, które nieodwracalnie podzieliły „Solidarność” po upadku komunizmu.

Panująca dziś atmosfera sprzyja popadaniu w skrajność przeciwną niż komunizm. Powodzeniem cieszy się prawica, często widziana przez uprzedzający schemat komunistycznej propagandy, tyle że teraz chwalebna, a nie potępiana. Znaczna część działaczy politycznych wywodzących się z „Solidarności” odwróciła się od popularnego niegdyś w Związku ideału sprawiedliwości społecznej, uznając go za kłopotliwą przeszkodę w realizacji programu Balcerowicza lub za krępujący wolną przedsiębiorczość.

INSTYTUT



LITERACKI

ARJUTUW

WPLATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Jadwiga Juchniewicz, Lugano (Szwajcaria), po raz 20-ty	F. 450,00
Walter Łuszczak, Thunder Bay, ON (Kanada) po raz 15-ty....	F. 113,72
Wiridiana Rey, Paryż	F. 250,00
Edward L. Salamoński, St. Petersburg, FL (USA), po raz 24-ty — dol. US 20,00	F. 108,00
Kazimierz Zamorski, Monachium — dla uczczenia pamięci dr Teresy Lipkowskiej, zmarłej w Izraelu w styczniu br	F. 300,00

DZIĘKUJEMY!

Antoni Popiełuszko	127
Maria Agnieszka	127
Janina	127
Adrian	127
Wanda	127
M. B.	134
Janina	137
—	140
—	140
—	140

A. Gawroński, P. Kuczyński, R. Lewandowski, Z. Małecki, T.L. Murski, S.

Wydawnictwo Instytut Literacki
Najbliższe wydanie roku

Solidarność Pracy

Tezy programowe Porozumienia Solidarność Pracy są tekstem obszernym, przeznaczonym do dyskusji w kręgach zainteresowanych działaczy politycznych i związkowych. Nie jest to łatwa lektura i grono czytelników nie będzie liczne. Sprawa dotyczy jednak szerokich kręgów społecznych i może budzić znaczne zainteresowanie. Dlatego pozwalam sobie — za zgodą pozostałych sygnatariuszy tez programowych, ale na własny rachunek — przedstawić opcję polityczną Solidarności Pracy w krótszej i bardziej przystępnej formie.

I. Stosunek do wartości

Nazwy naszego ugrupowania nie należy pisać gdańskim gotykiem. Stanowimy jeden z odłamów ruchu zrodzonego w 1980 r. i nie możemy uważać się za jedynych depozytariuszy symbolu wyrażającego wspólną tradycję rozmaitych orientacji ideowych. Dla zrozumienia, kim jesteśmy, ważny jest zarówno nasz solidarnościowy rodowód, jak i zasadnicze różnice poglądów, które nieodwracalnie podzieliły „Solidarność” po upadku komunizmu.

Panująca dziś atmosfera sprzyja popadaniu w skrajność przeciwną niż komunizm. Powodzeniem cieszy się prawica, często widziana przez upraszczający schemat komunistycznej propagandy, tyle że teraz chwalona, a nie potępiana. Znaczna część działaczy politycznych wywodzących się z „Solidarności” odwróciła się od popularnego niegdyś w Związku ideału sprawiedliwości społecznej, uznając go za kłopotliwą przeszkodę w realizacji programu Balcerowicza lub za krępujący wolną przedsiębiorczość przeżytek socjalizmu. Tymczasem ruch zrodzony z wielkich strajków 1980 r. i będący pracowniczym związkiem za-

wodowym siłą rzeczy ujmował sprawiedliwość społeczną z punktu widzenia ludzi pracy najemnej. Obstajemy przy tym punkcie widzenia. Określa on nasz stosunek do takich wartości jak wolność, równość szans, bezpieczeństwo socjalne, dobrobyt materialny, podmiotowość człowieka i suwerenność narodu.

Sprawiedliwość społeczna jest dziś kwestionowana jako społeczna odmiana starego ideału równości. Liberalowie głoszą pogląd, że równość jest nie do pogodzenia z wolnością. Pouczać ma o tym odstraszący przykład komunizmu, który pod hasłem równości zniszczył wolność. Ponadto równość ma być sprzeczna z dobrobytem, gdyż niszczy motywację do efektywnej działalności gospodarczej, a w rezultacie staje się równym rozdziałem ubóstwa.

Wszystko to jest trafne, ale nie w odniesieniu do sprawiedliwości społecznej, lecz do jej wykładni obowiązującej w komunizmie. Komunizm miał zresztą swój własny system przywilejów i upośledzeń, ów podział na równych i równiejszych, który atakowano m.in. w żądaniach strajkowych 1980 r. jako urągający zasadom sprawiedliwości społecznej. Istotniejsze jest jednak to, że sprawiedliwość społeczna rozumiana jako polityka równowagi między wolnością i równością realizowana jest pod wpływem socjaldemokratów nie tylko w krajach skandynawskich, ale także w RFN, Anglii, Francji i całej niemal Europie Zachodniej. Przy pomocy odpowiednich rozwiązań podatkowych, polityki społecznej i przepisów prawnych państwa tamtejsze znacznie zmniejszają rozpiętość dochodów, aby nie dopuścić do powstania biegunów bogactwa i nędzy i zapobiec przekształcaniu różnic materialnych w trwały system przywilejów i upośledzeń. W parze z tak realizowaną sprawiedliwością społeczną idzie polityka równowagi godząca wymóg efektywności gospodarczej z zabezpieczeniem socjalnym każdego obywatela przed nędzą. Nikt przy zdrowych zmysłach nie może twierdzić, że w państwach zachodnich, które ten wzór wprowadziły w życie, nie ma wolności i dobrobytu.

Zwolennicy liberalizmu oponują przeciwko polityce społecznej równowagi, ponieważ ingerencja państwa w podział dochodów krępuje wolność przedsiębiorców i ogranicza swobodę dysponowania owocami własności. Przy braku takich ingerencji mechanizm rynku prowadzi jednak do powstania drastycznych i trwałych nierówności społecznych. Wytwarza się przy tym sfera nędzy, w której wolność osoby i swobody obywatelskie stają się dobrem praktycznie niedostępnym. Odrzucanie sprawiedliwości społecznej w imię wolności obraca się przeciw wolności. Wiadomo o tym od dawna. Nie stać nas na powtarzanie złych doświadczeń sprzed wielkiego kryzysu 1929 r. Byłaby to polityka krótkowzroczna, gdyż utrata elementarnego poczucia bezpieczeństwa,

podobnie jak zbyt rażąca rozpiętość dochodów i nierówność życiowych szans prowadzą do destabilizacji i upadku systemu demokratycznego.

Opowiadając się wbrew liberalnym skrajnościom za polityką społecznej równowagi, Solidarność Pracy podziela jednocześnie liberalny pogląd, że efektywność ekonomiczna i technologiczna innowacyjność są osiągalne tylko w ramach gospodarki rynkowej. Gospodarka ta nie może istnieć bez konkurencji między różnymi właścicielami i możliwości przenoszenia przez nich kapitału z mniej do bardziej rentownych przedsięwzięć i branż. Jednym z warunków istnienia gospodarki rynkowej jest więc wyraźna przewaga własności prywatnej nad państwową. Uznając to, opowiadamy się za prywatyzacją, ale traktujemy ją jako środek do usprawnienia gospodarki, a nie jako cel sam w sobie. Dlatego nie poprzemy takich rozwiązań, przy których prywatyzacja zamiast owocować rozwojem byłaby okupiona regresem gospodarczym.

Za niepodległością są wszyscy, ale nie wszyscy jednakowo ją pojmują. Jesteśmy w trakcie usuwania pozostałości militarnej i politycznej dominacji ZSSR w postaci garnizonów sowieckich i struktur Układu Warszawskiego. Wydarzenia ostatnich dni na Litwie mogą zapoczątkować zwrot w wewnętrznej i zagranicznej polityce sowieckiej, stanowiący zagrożenie również dla naszej niepodległości. Ale i w nowej Europie suwerenność Polski, podobnie jak innych krajów uwalniających się od komunizmu może ulec ograniczeniu na innej niż dotąd zasadzie: w wyniku przemożnych wpływów ekonomicznych i kulturalnych potężniejszych partnerów. Nie jesteśmy i długo jeszcze nie będziemy równorzędnym gospodarczo partnerem dla zjednoczonych Niemiec i innych potęg ekonomicznych Zachodu. Na razie nie o to idzie, by dorównać bogatym, lecz o to, by w stosunkach gospodarczych z nimi zachować materialne podstawy samodzielności, a w dziedzinie kultury nie podkopać fundamentów własnej tożsamości. Zagrozić temu może nasza własna polityka gospodarcza, jeżeli dopuści do dewastacji przez kryzys znaczącej części potencjału wytwórczego kraju, a także nasza własna polityka kulturalna, jeśli nadal traktować będzie książkę na równi z gwoździem. Spadlibyśmy wówczas do kategorii krajów trzeciego świata, których suwerenność narodowa jest w podobnie marnej kondycji jak ich gospodarka. Opozycja nasza wobec polityki wewnętrznej grożącej takimi konsekwencjami wynika także z naszego stosunku do suwerenności Polski.

II. Preferencje społeczne w polityce państwa

PRL jest dzisiaj przedstawiana jako państwo nadopiekuńcze. Rozumie się przez to zarówno instytucje szeroko rozumianej poli-

tyki społecznej (darmowe leczenie, oświatę, system zasiłków socjalnych, placówki upowszechniania kultury) jak i wysokie dotowanie z budżetu pewnych dziedzin produkcji i usług w celu utrzymania na niskim poziomie cen żywności, lekarstw, biletów komunikacji miejskiej, czynszów mieszkaniowych itp. Obecnie państwo stara się wycofać z tych obciążeń i zobowiązań. Odkąd zaniechano druku pieniędzy bez pokrycia, czyniąc z równowagi budżetowej kanon programu antyinflacyjnego, redukcja wydatków państwa stała się koniecznością obranej przez rząd polityki gospodarczej. Decyzja na czym oszczędzać bardziej, a na czym mniej jest jednak zależna od tego, jakie cele społeczne uznajemy za bardziej lub mniej wartościowe.

Stosunek do wartości przejawia się też w ideologicznych uzasadnieniach decyzji oszczędnościowych. Funkcje opiekuńcze państwa atakowane są jako przeżytek socjalizmu, wobec czego postuluje się pełne urynnowanie wszystkiego, co było za darmo lub za pół darmo; niech każdy sam zarobi na potrzeby własne i rodziny i zaspokaja je o tyle, o ile okaże się sprawny w zdobywaniu pieniędzy. Jest to liberalny dogmat związany z odrzuceniem postulatów sprawiedliwości społecznej i bezpieczeństwa socjalnego, ale chętnie powtarzają go w złagodzonej formie ministrowie. W kręgach rządowych twierdzi się ponadto, że opieka socjalna państwa praktykowana w Zachodniej Europie jest luksusem bogatych, my zaś jesteśmy ubogim krajem i nie stać nas na to.

Rzeczywiście jesteśmy biedni. Socjalizm w Polsce, podobnie jak w innych krajach komunistycznych sprowadził płace realne do poziomu kilkakrotnie niższego niż na zachodzie Europy. Przy tak niskich zarobkach rozbudowane świadczenia socjalne oraz zaniżone dzięki dotacjom ceny żywności, usług mieszkaniowych itp. stanowiły dla znacznej a nawet przeważającej części społeczeństwa składnik minimum egzystencji. Wobec spadku płac realnych w 1990 r. o dalsze 35% uważamy frazesy, że obywatel ma sam zarobić na kupno odpowiednich dóbr na wolnym rynku, za przykład księżycowej ekonomii. Nie stać nas na to.

Często nadużywa się argumentu, że z dotacji do chudego mleka czy niskich czynszów korzystają także ludzie bogaci. Wydatki na żywność i opłaty mieszkaniowe pochłaniają jednak stosunkowo mniejszą część budżetu domowego rodzin zamożnych, podczas gdy ubożsi niemal cały swój dochód wydają na dobra pierwszej potrzeby, głównie artykuły spożywcze. Wycofywanie się z dotacji dotyczyło przede wszystkim produkcji rolno-hodowlanej i przemysłu spożywczego, toteż ceny żywności wzrosły bardziej niż innych artykułów. Obciążały to kosztami kryzysu i stabilizacji gospodarki uboższe grupy ludności daleko bardziej niż zamożne. Projektowane przez rząd urynno-

wienie czynszów mieszkaniowych dramatycznie pogłębiłoby tę dysproporcję. Przyznawanie najbardziej potrzebującym zasiłków na opłatę czynszu nie rozwiąże problemu, gdyż nie jest na miarę masowości zjawiska. Dodajmy, że komercjalizacja i opodatkowanie kultury oprócz wypierania ambitnej twórczości przez łatwą, głównie importowaną rozrywkę oznacza też odepchnięcie uboższych grup społeczeństwa od książki jako dobra luksusowego.

Rząd chętnie ucisza wołanie o środki na opiekę społeczną, służbę zdrowia lub kulturę pytaniem: komu te środki zabrać? Wbrew pozorom nie jest to kwestia buchalterii, lecz wyboru wartości i celów, którym daje się pierwszeństwo. Zgodnie z nowym prawem lokalowym od stycznia 1991 r. przychodnie zdrowia, żłobki i biblioteki publiczne będą musiały płacić za lokale takie czynsze, jakich zażąda właściciel budynku lub ustąpić miejsca firmom zdolnym do płacenia: kantorom walutowym, bankom itp. Twórcy tego prawa — rząd i sejm — tym razem nie pytali komu zabrać, aby dać prywatnym, spółdzielczym i komunalnym właścicielom nieruchomości. Podobnych przykładów można przytoczyć wiele, choćby zwolnienia podatkowe dla spółek importujących zagraniczne towary. Wszystko to wskazuje na odwrócenie preferencji społecznych, charakterystycznych dla „Solidarności” przed objęciem władzy. W 1980 pierwszeństwo przyznawano w Związku ochronie słabszych, a kierowcy autobusów strajkowali o wyższe zarobki dla pielęgniarek. Dziś nasz rząd skłonny jest wspierać przede wszystkim tych, którzy mogą wzbogacić się najszybciej, bo widzi w nich przyszłych kapitalistów. Nie możemy się zgodzić, aby środki na ten cel odbierano tym, którzy są w największej potrzebie.

Opowiadamy się przeciw ograniczaniu opiekuńczych funkcji państwa w sytuacji, gdy spadają płace realne i rozszerza się strefa ubóstwa. Nie chodzi jednak tylko o politykę socjalną, lecz o likwidację marginesów nędzy i zagwarantowanie tym rodzinom pracowników, rolników i emerytów, których nie stać na więcej, przyzwoitego minimum w zakresie wyżywienia i zaspokojenia innych potrzeb podstawowych, dostępu do kultury i równości startu życiowego. Wymaga to innego niż obecnie ukierunkowania całej polityki gospodarczej; na początek zaś uniknąć trzeba ekonomicznej degradacji kraju, która może sprawić, że nawet najelementarniejsza pomoc socjalna będzie marzeniem bez pokrycia. Cele społeczne urzeczywistniają się w programie gospodarczym.

III. Polityka gospodarcza i zmiana ustroju

Krach komunistycznej gospodarki stworzył nam fatalny punkt wyjścia, którego nie wybieraliśmy. Można jednak i trzeba

było wybrać drogę, jaką chcemy iść do gospodarki rynkowej. Decyzja w tej sprawie zapadła w wąskim gronie, ale usankcjonował ją parlament, poparła „Solidarność”, a społeczeństwo na zasadzie zawierzenia pierwszemu niekomunistycznemu rządowi przez blisko rok cierpliwie znosiło dolegliwości programu Balcerowicza. Program ten łączy monetaryzm, czyli lansowaną przez Międzynarodowy Fundusz Walutowy receptę zwalczania hiperinflacji w zadłużonych krajach trzeciego świata, z liberalizmem, który ma wskazać nie tylko cel, ale i środki zmiany ustroju gospodarczego.

Hiperinflacja zaczęła się od urynkowania rolnictwa przez rząd Rakowskiego, któremu zabrakło żywności na pokrycie kartek. Ekipa Balcerowicza postanowiła zrezygnować z regulowania cen większości pozarolniczych towarów i usług oraz znieść lub ograniczyć dotacje, inflację zaś pokonać przez radykalne obniżenie popytu, czyli zmniejszenie siły nabywczej pozostającej w rękach ludności i przedsiębiorstw. W tym celu na początku 1990 r. pobudzono gwałtowny wzrost cen, blokując równocześnie płace tzw. popiwkiem oraz drenując finanse przedsiębiorstw przez nacisk podatkowy, dywidendę i wysokie oprocentowanie kredytów. Z góry zakładano, że spowoduje to pewien spadek produkcji, spodziewając się w zamian po półroczu spadku inflacji do poziomu ok. 1% miesięcznie. Rząd przewidywał półmilionowe bezrobocie, ale liczył na to, że twarda polityka finansowa przy nieingerencji państwa spowoduje samorzną restrukturyzację gospodarki przez upadek nierentownych zakładów i umocnienie się tych, które przetrwają.

Wyniki okazały się dużo gorsze od oczekiwań. Wzrost cen ponad dwukrotnie przekroczył przewidywany poziom. Płace realne obniżyły się aż o 1/3. Dwukrotnie głębszy niż zakładano okazał się spadek produkcji przemysłowej (ok. 30%) i dochodu narodowego (ok. 20%). Takiej recesji nie było od zakończenia II wojny światowej. Bezrobocie sięgnęło miliona, ale nie doszło do bankructw, restrukturyzacji i poprawy efektywności, na które liczył rząd. Przeciwnie — spadek zatrudnienia był niższy od spadku produkcji, nastąpiło więc obniżenie wydajności pracy i efektywności ekonomicznej. Poza tym wszystko pozostało na ogół po starym. Przedsiębiorstwa państwowe zachowały się jak w socjalizmie, czyli niezgodnie z regułami liberalnej ekonomii. Udało się natomiast ograniczyć inflację, mimo że jej wskaźnik jest dwukrotnie wyższy od zakładanego. W dużej mierze przewyżczono gospodarkę niedoborów, osiągając stan względnej równowagi rynkowej. Uzyskana nadwyżka w handlu zagranicznym wynika z ograniczenia importu inwestycyjnego i obok dodatnich ma też ujemne następstwa.

Niestety osiągnięciom programu antyinflacyjnego zagraża spo-

wodowany przez ten program regres produkcji. Inflacja zależy przecież nie od samej ilości puszcanych w obieg pieniędzy, ale od tego, czy znajdują one wystarczające pokrycie w towarach produkowanych na rynek wewnętrzny lub sprowadzanych zza granicy. Obecnie wpływ pieniędzy jest hamowany środkami nadzwyczajnymi, głównie blokadą płac i polityką drogiego kredytu. Ten stan wyjątkowy w obiegu pieniężnym nie może trwać wiecznie, gdyż powoduje zamieranie gospodarki. Drastycznie obniżony poziom produkcji może jednak sprawić, że nawet niewielki dodatkowy strumień pieniędzy nie znajdzie pokrycia w towarach i grozić będzie nawrotem inflacji. Sytuację pogarsza nadwyżka eksportu nad importem, oznacza ona bowiem, że na rynek trafiają pieniądze wyłożone na eksportową produkcję, ale nie równoważy ich odpowiednia masa sprowadzanych towarów. Możemy popaść w błędne koło: ożywienie produkcji nie będzie możliwe bez rozluźnienia nadzwyczajnych rygorów antyinflacyjnych, ale spadek produkcji spowodowany przez te rygory nie pozwoli ich rozluźnić bez nawrotu inflacji. Jeżeli zaś niski poziom wykorzystania mocy wytwórczych będzie się utrzymywał, to siłą rzeczy nastąpi nieodwracalny ubytek potencjału ekonomicznego Polski.

Brak samorzutnej restrukturyzacji, na którą liczył rząd, ma przyczynę ustrojową. Terapię obliczoną na mechanizm gospodarki wolnorynkowej zastosowano do gospodarki socjalistycznej, która jest zwartym systemem monopoli. Króluje w niej jeden właściciel — państwo, które od 45 lat tak wszystko budowało, aby łatwo było tym zarządzać, tj. aby jeden produkt wytwarzany był w miarę możliwości przez jednego producenta (tzw. monopol technologiczny). W tak zbudowanej gospodarce nie ma prawie miejsca na konkurencję, która jest podstawą mechanizmu wolnorynkowego. Dlatego wzrost cen po zniesieniu państwowej regulacji był nadspodziewanie wysoki. W gospodarce rynkowej hamulec wzrostu cen jest konkurencja. U nas hamulec ten poza nielicznymi wyjątkami nie działa. „Uwolnione” ceny dyktuje monopolista, podnosząc je tak długo, aż straty spowodowane spadkiem sprzedaży nie przeważą nad zyskami ze śrubowania cen (tzw. bariera popytu krańcowego). Wynikająca stąd drożyzna blokuje popyt na poziomie znacznie niższym od możliwości produkcyjnych, a jednocześnie pozwala utrzymać się nieefektywnym zakładom mimo spadku produkcji. Jest to jedna z przyczyn tak głębokiej recesji i braku restrukturyzacji. Brak jest też właścicieli, którzy mogliby przenosić swój kapitał z mniej do bardziej rentownych przedsiębiorstw i branż.

Poza dławieniem inflacji rząd Mazowieckiego pozostawił sprawy gospodarcze własnemu biegowi, licząc na „niewidzialną rękę rynku”. Ale ta ręka pozostaje sparaliżowana. Jest już jasne,

że rynkowa samoregulacja gospodarki nie zastąpi sterowania państwowego, dopóki przedsiębiorstwa prywatne nie zdobędą nad państwowymi takiej przewagi, by przez konkurencję narzucić im własne reguły gry. Dlatego koła rządzące widzą wyjście z impasu w szybkiej prywatyzacji.

Prywatyzacja jednak wymaga kapitału, inwestycji i czasu. Pomysł masowego rozdawnictwa akcji przedsiębiorstw państwowych nie jest cudownym rozwiązaniem tych trudności, lecz kuglarstką o niebezpiecznych następstwach. Od rozdawnictwa nie przybędzie środków ani przedsiębiorstwom, ani państwu, ani pozornie obdarowanym obywatelom. Za akcje nie kupi się chleba ani masła, toteż większości z nas przed pierwszym zabraknie pieniędzy zupełnie jak w czasach, gdy nie byliśmy kapitalistami. Niedostatek prędko zmusi do sprzedaży akcji, a wobec masowej podaży i ograniczonego popytu będzie to sprzedaż za bezcen. Tytuły własności przejdą w ten sposób z rąk ogółu w ręce nielicznej grupy spekulantów i dawnej nomenklatury. Po mienie za bezcen może wreszcie sięgnąć do Polski (bezpośrednio lub przez podstawionych nabywców krajowych) kapitał obcy, ale nie ten, na którym nam zależy, tylko spekulacyjny. Zamiast ożywienia produkcji i pożądanej restrukturyzacji kapitalizm budowany tą drogą może przynieść upadłościową wyprzedaż wartościowych składników majątku narodowego za granicę. Zasada „po pierwsze nie szkodzić” skłania do odrzucenia tego wariantu prywatyzacji.

Zapoczątkowana przez rząd sprzedaż akcji wytypowanych odgórnie przedsiębiorstw państwowych nie zapewni prywatyzacji szybkiej. Uważamy, że w trybie emisji akcji powinny być prywatyzowane przede wszystkim te przedsiębiorstwa, które przeżywają trudności finansowe, a część środków ze sprzedaży winna zasilać ich kapitał. Przedsiębiorstwa dobre mogą być przez państwo sprzedawane tylko wtedy, gdy przemawiają za tym szczególne względy, np. rzeczywiście korzystne oferty zagraniczne nabywców (ale wycena majątku nie może opierać się na obecnym zawyżonym kursie dewiz). Tendencja do wyzywania się przez państwo w imię sukcesu prywatyzacji przedsiębiorstw dobrych, a zachowania zakładów deficytowych byłaby ofiarą ze zdrowego rozsądku złożoną na ołtarzu doktryny. Prywatyzacja ma przynosić korzyści gospodarce narodowej, a nie jakiegokolwiek ideologii. Konieczna jest przy tym kontrola społeczna ze strony parlamentu, a także rad pracowniczych i związków zawodowych.

Droga do gruntownego przekształcenia własnościowej struktury polskiej gospodarki nie może być krótka, ponieważ społeczeństwo nasze nie dysponuje dużymi rezerwami kapitałowymi, a kapitał zagraniczny nie kwapi się do inwestycji w kraju o tak przestarzałej technologii. W najbliższych latach tron naszego

przemysłu wciąż jeszcze stanowiąc będą zakłady państwowe i nie jest obojętne, jak będą funkcjonować. Ich komercjalizacja nie powinna prowadzić do ograniczenia rad pracowniczych i związków zawodowych, gdyż oznaczałoby to ponowne „upaństwowienie” wszystkich decyzji. Kadra kierownicza tych przedsiębiorstw nie zyska pozycji menadżerskiej bez współdziałania z siłami społecznymi działającymi w zakładzie pracy. W przedsiębiorstwach prywatyzowanych współdziałaniu temu sprzyja akcjonariat pracowniczy.

Wreszcie prywatyzacja polegająca na przekazywaniu akcjonariuszom zakładów przemysłu państwowego nie łamie technologicznych monopolii. Dzielenie tych zakładów na konkurujące ze sobą części jest z reguły niemożliwe. Sprywatyzowany monopolista pozostaje monopolistą i nadal opłaca mu się raczej wyśrubować cenę niż zwiększyć produkcję. Odgórną prywatyzacja istniejących przedsiębiorstw nie stworzy sama przez się mechanizmu konkurencyjnego i normalnej gospodarki rynkowej. Osiągnięcie tego celu wymaga złamania monopolii przez powstanie nowych, konkurujących z nimi zakładów, a więc przez prywatne inwestycje. Jest to długa droga, ale innej nie ma. Stosunkowo najszybciej odczuwalne efekty przynieść może tzw. mała prywatyzacja, połączona z inwestycjami w handlu, przetwórstwie spożywczym i drobnej wytwórczości.

Niestety będą to efekty ograniczone. Jesteśmy na początku dłuższego okresu przejściowego od socjalizmu do gospodarki rynkowej. W okresie tym grozi nam szok podobny do tego, co przydarzyło się NRD. Wschodniemiecka gospodarka, niewątpliwie sprawniejsza od naszej, znalazła się po unii walutowej z RFN w stanie generalnego bankructwa. Okazało się, że wszystko, co zbudował socjalizm, jest grubo poniżej wymogów efektywności stawianych przez rynek światowy i po włączeniu z dnia na dzień w obieg zachodniej gospodarki musi upaść, bo nie wytrzyma konkurencji. NRD zostanie z tej katastrofy ocalona jako część zjednoczonych Niemiec, ale na uratowanie Polski z podobnej zapaści nikt nie da stu miliardów dolarów. Jeżeli nasze państwo trzymać się będzie nadal polityki nieinterwencji w procesy gospodarcze, to zanim zacznie działać samoregulacja rynkowa, recesja zniszczy dorobek 45 lat tzw. budownictwa socjalistycznego. Jest to dorobek lichy, ekonomicznie nieefektywny i technologicznie przestarzały, ale bez niego znajdziemy się na poziomie materialnym krajów trzeciego świata. W stosunku do zjednoczonych Niemiec będziemy wówczas czymś takim jak Meksyk wobec USA.

Nie jest prawdą, że trzeba się tak cofnąć, aby następnie przebyć tę samą drogę, jaką Zachód szedł od XIX-wiecznego kapitalizmu do dzisiejszego dobrobytu. Losy ubogich krajów

Ameryki Łacińskiej, Afryki i Azji pouczają, że droga ta nie jest do powtórzenia. Na światowym rynku osiągnięcia liderów rozwoju gospodarczego ustawiły poprzeczkę zbyt wysoko dla biedaków. Kraje trzeciego świata mają gospodarkę rynkową, ale z trzeciego świata nie trafia się do Europy. Polska może znaleźć się w podobnej sytuacji, jeżeli długotrwała recesja zniszczy znaczną część naszego potencjału ekonomicznego. Równałoby się to skazaniu nas na chroniczny niedorozwój i nędzę.

Aby się przed tym uchronić, konieczna jest zmiana polityki gospodarczej z wyłączeniem antyinflacyjnej na bardziej antyrecesyjną, przede wszystkim zaś zmiana roli państwa w gospodarce okresu przejściowego. Niedostatek rynkowej samoregulacji można zastąpić tylko państwowym interwencjonizmem. Potrzebny jest rządowy program pobudzenia wzrostu produkcji, który określi kierunki restrukturyzacji oraz instrumenty pozwalające zrealizować te zamierzenia nie łamiąc logiki gospodarki rynkowej. Opracowanie szczegółów jest sprawą rządu, bo tylko on dysponuje niezbędnym aparatem zbierania i przetwarzania informacji. Proponujemy jedynie pewien kierunek rozwiązań.

Pobudzenie produkcji wymaga odejścia od zbyt sztywnych reguł dotychczasowej polityki finansowej, zwłaszcza od mechanicznego blokowania płac. Ze względu na ryzyko nawrotu inflacji zmiana ta nie może jednak polegać na raptownym zwrocie ani na panicznym ustępowaniu przed lawiną żądań. Dlatego pilnie potrzebny jest kontrakt społeczny ze związkami zawodowymi. Trzeba też podjąć takie działania antyinflacyjne, które nie kłócą się z pobudzeniem produkcji, np. przejść od gromadzenia nadwyżki w handlu zagranicznym do przewagi importu nad eksportem, w niektórych wypadkach blokować sankcjami podatkowymi monopolistyczne praktyki windowania cen itp. Kurczowe trzymanie się dotychczasowej polityki dławienia popytu byłoby błędem prowadzącym do nieodwracalnej degradacji kraju.

W dążeniu do restrukturyzacji państwo powinno wesprzeć te przedsiębiorstwa i gałęzie gospodarki, które z uwagi na stan technologiczny dają się względnie łatwo zmodernizować, zwłaszcza zaś te, które odznaczają się stosunkowo małym udziałem nakładów kapitałowych, a stosunkowo wysokim udziałem wykwalifikowanej pracy w kosztach wyrobu. Produkty takich zakładów i branż mają zwykle najlepsze szanse osiągnięcia konkurencyjności i opłacalności w eksporcie, także na rynki zachodnie. Pod tym względem dobrze rokuje przemysł stoczniowy, mimo ciosów jakie zadał mu z politycznych motywów rząd Rakowskiego. W polityce restrukturyzacyjnej państwa celowe będzie z ekonomicznych i społecznych względów pobudzenie przemysłów lekkiego i spożywczego, przeżywających dziś głębokie załamanie. To samo dotyczy drobnej wytwórczości. Mała prywatyzacja,

zwłaszcza w postaci nowych inwestycji w przetwórstwie rolno-spożywczym, usługach, rzemiośle, handlu itp. jest według nas jedynym kierunkiem działań prywatyzacyjnych, które państwo powinno zasilać środkami budżetowymi.

Interweniując w rozwój i restrukturyzację gospodarki, państwo musi posługiwać się narzędziami ekonomicznymi, a nie administracyjnymi. W grę wchodzi nisko oprocentowane kredyty i gwarancje kredytowe, polityka celna, ulgi i zwolnienia podatkowe, dotacje, zamówienia i zakupy rządowe, niekiedy inwestycje ze środków budżetowych, działania antymonopolistyczne, w tym kontrola cen i ograniczenie ich wzrostu przez sankcje podatkowe, a w wyjątkowych wypadkach ustalanie cen urzędowych. Większość tych działań wiąże się z wydatkowaniem pieniędzy z budżetu, toteż wymóg równowagi budżetowej i obawa przed inflacją ograniczają zakres państwowego interwencjonizmu. Uważamy, że na koszty interwencji ekonomicznych przeznaczyć trzeba wszystkie wpływy, jakie skarb państwa uzyska z komercyjnie prowadzonej prywatyzacji.

W stosunku do rolnictwa rząd Mazowieckiego trzymał się liberalnej zasady nieingerencji, choć liberalne skądinąd rządy zachodnie z reguły subwencjonują gospodarkę rolną. W tej dziedzinie mechanizm wolnego rynku prowadzi do bardzo wysokich cen, które przy naszym poziomie dochodów zmuszają znaczną część społeczeństwa do drastycznego pogorszenia jakości odżywiania się, a redukcja popytu powoduje spadek produkcji i kryzys gospodarki rolnej. Pogląd, jakoby kryzys taki był brutalnym, lecz zbawiennym w skutkach sposobem na modernizację naszej struktury rolnej jest groźnym nieporozumieniem. To prawda, że w USA rolnictwem trudni się ledwie kilka procent ludności, ale nie jest prawdą, że upadek kilkuset tysięcy drobnych gospodarstw rodzinnych zbliżyłby nasze rolnictwo do amerykańskiego wzoru. W Polsce nie ma farmerów zdolnych przejąć ziemię i produkcję upadających gospodarstw, a w miastach brak mieszkań i miejsc pracy dla miliona nowych przybyszów ze wsi. Zbliżyłoby to nas do trzeciego świata, a nie do USA.

Brak polityki rolnej już teraz spowodował zmniejszenie stada krów, a w rezultacie nierównowagę i drożyznę na rynku mleczno-nabiałowym. Aby nie dopuścić do dalszych strat i fatalnych następstw społecznych, trzeba przejść od bierności do interwencjonizmu, który winien ochraniać potencjał produkcyjny rodzinnej gospodarki chłopskiej i poziom wyżywienia narodu. Konieczne jest udostępnienie chłopom tanich kredytów, a także zapewnienie elementarnych warunków opłacalności przez wprowadzenie minimalnych cen gwarantowanych w skupie kilku podstawowych produktów rolnych, głównie zbóż. Konieczne jest również subwencjonowanie cen detalicznych kilku artykułów spo-

żywczych odgrywających kluczową rolę w wyżywieniu uboższych grup ludności. Będzie to kosztować, ale pozostawienie spraw rolnictwa własnemu biegowi kosztowałoby w efekcie dużo więcej.

Wybór kierunków restrukturyzacji i programu rolnego zależy od wizji współpracy gospodarczej z zagranicą. Rynki zachodnie, kuszące znakomitą technologią i jakością wyrobów, stawiają jednocześnie naszemu eksportowi wymagania, którym najczęściej nie możemy sprostać. Ceną za wymienialność złótówki jest w tej sytuacji kilkakrotnie zawyżony kurs walut zachodnich. Przy tym kursie przedsiębiorstwa nasze przepłacają za import i uzyskują niekorzystną relację nakładów do cen zbytu w eksporcie. Przystąpienie do EWG nie jest sprawą bliskiej przyszłości. Przykład NRD poucza zresztą, że włączenie z dnia na dzień w obieg gospodarki zachodniej jest dla kraju w tak lichej kondycji jak nasz ogromnie ryzykowne. Z drugiej strony załamanie gospodarki sowieckiej i rozpad RWPG oraz przejście na rozliczenia dolarowe stawia pod znakiem zapytania dotychczasowe dostawy surowców i paliw oraz perspektywy zbytu naszych towarów na Wschodzie. Pozycja wszystkich krajów wschodnioeuropejskich wobec EWG jest jednak podobnie słaba, a wyłączone nastawienie na handel z Zachodem wystawia każdy z tych krajów na takie same zagrożenia. Sądzymy, że w tej sytuacji należy szukać nowych form współpracy gospodarczej zarówno z Rosją i innymi republikami sowieckimi, jak też z uwolnionymi od komunizmu krajami Europy Wschodniej. Współpraca ta pomoże uchronić nasz potencjał ekonomiczny i zachować samodzielność w stosunkach gospodarczych z najpotężniejszym naszym partnerem zachodnim, jakim będą zjednoczone Niemcy. Jest to postulat strategii gospodarczej i wymóg suwerenności narodowej.

IV. Solidarność Pracy w krajobrazie polskiej demokracji

Program nasz wykazuje istotne podobieństwa do poglądów zachodniej socjaldemokracji, ale to nie znaczy, że jesteśmy jej polskim odpowiednikiem. Socjaldemokracja wyrasta z tradycji jednoznacznie laickich i jest wyraźnie odgródzona od ugrupowań o chrześcijańskim rodowodzie. W Polsce byłaby to sztuczna linia podziału. Solidarność Pracy różni się od innych orientacji ideowych swoistym systemem wartości. Można oczywiście uzasadniać go na sposób świecki, ale te same wartości i preferencje społeczne uznawane są z motywacji chrześcijańskiej, odwołującej się do teologii pracy Jana Pawła II. Wpływ jego nauczania w Polsce, zwłaszcza w kręgu „Solidarności”, widoczny jest także w myśleniu ludzi religijnie obojętnych czy niewierzących. Solidarność

Pracy jest dla wszystkich, którzy wyznają jej wartości. Pod tym względem kontynuujemy tradycje NSZZ „Solidarność”.

Nie jesteśmy więc zwolennikami opierania podziałów politycznych na kryteriach wyznaniowych. Ugrupowania narodowo-katolickie bywają skłonne niekiedy do posługiwania się symbolami religijnymi jako instrumentami polityki. Sprzeciw nasz budzi zarówno degradacja chrześcijańskiej symboliki, sprowadzonej do roli narzędzia w walce o interesy grupowe, jak i manipulatorski charakter takich zabiegów. Za szczególnie szkodliwe uważamy próby uwikłania w polityczną grę Kościoła i przekształcenia go w stronę partyjnych konfliktów, a także postulaty naruszające zasadę neutralności państwa wobec różnic religijnych i światopoglądowych. Realizacja tych dążeń oznaczałaby złamanie zasady równości praw wszystkich obywateli bez względu na to, czy należą do większości, czy do mniejszości wyznaniowych, a jednocześnie prowadziłaby do klerikalizacji życia publicznego wraz z nieuchronnie towarzyszącym jej odrodzeniem antyklerykalizmu. Emocje antyklerykalne są już dziś nie bez powodzenia wykorzystywane w grze politycznej, podobnie jak z drugiej strony symbolika religijna.

Wszystko to wyrządza Polsce istotną szkodę. W okresie komunistycznego zniewolenia Kościół katolicki był główną siłą broniącą Polaków przed duchową sowietyzacją. Był też dla opozycji demokratycznej, a następnie dla „Solidarności” ostoją w obliczu totalitarnej przemocy. Skrajności klerikalizmu i antyklerykalizmu zostały dzięki temu przewyżczone, a Kościół stał się w Polsce najwyższym, niekwestionowanym autorytetem moralnym. Jest to wspólny dorobek całego społeczeństwa. Niszcząc go, stracilibyśmy wszyscy coś bardzo istotnego. Dzisiejszej Polsce zrujnowanej materialnie, osłabionej moralnie, nękaną napięciami społecznymi i wewnętrznymi konfliktami bezsporny, powszechnie uznawany autorytet Kościoła jest bardzo potrzebny. Także z tego powodu będziemy przeciwstawiać się wszystkiemu, co odradza bieguny klerikalizmu i antyklerykalizmu.

Z ugrupowaniami chrześcijańsko-demokratycznymi i narodowo-katolickimi chcemy prowadzić dialog, a niekiedy spór. Sądzymy jednak, że będzie to spór w ramach polskiej demokracji. Żaden dialog nie jest natomiast możliwy z tymi, którzy posługują się propagandą antysemicką. Nasilająca się w społeczeństwie dezorientacja i lęk o przyszłość zwiększają podatność na antysemityzm, ale pozostaje on szczególnie poniżającą formą ogłupiania Polaków. Po hitlerowskim ludobójstwie i kilku falach emigracji nie ma już prawie w Polsce obywateli narodowości żydowskiej. Ci, którzy mając żydowskich przodków pozostali w kraju mimo nagonek i prześladowań lat 1967-1968, połączonych z natarczywym wzywaniem do wyjazdu, dali wystarczające dowo-

dy polskości. W przeciwieństwie do przedwojennego, antysemityzm dzisiejszy szczerze przeciwko ludziom, którzy pod względem przynależności narodowej nie są Żydami, lecz Polakami. Wyróżnia się ich jednak z uwagi na pochodzenie, czyli posiadanie jakichś żydowskich przodków, co odpowiada dokładnie kryteriom wprowadzonym w III Rzeszy przez ustawy norymberskie. Środowiska polityczne posługujące się antysemityzmem są przynajmniej pod tym względem spowinowaczone z hitleryzmem i jako formacje faszystujące znajdują się poza nawiasem polskiej demokracji.

Z dwoma największymi dziś ugrupowaniami politycznymi — Porozumieniem Centrum i Unią Demokratyczną — łączy nas niedawna przynależność do tego samego obozu i solidarnośćowa tradycja. Sądzymy, że nie brak tam ludzi, którzy w kwestiach społeczno-gospodarczych mają podobne do nas zdanie. Dominuje jednak liberalizm, reprezentowany nie tylko przez Kongres Liberalno-Demokratyczny czy FPD, ale i przez znaczną większość ROAD. Obie koalicje głoszą potrzebę kontynuacji programu Balcerowicza, co stawia nas wobec nich w zasadniczej opozycji. Jeżeli jednak uda się uchronić polską demokrację przed ześlizgnięciem się w autorytarną dyktaturę, będzie to opozycja lojalna i spór w granicach wspólnie uznawanych wartości politycznych.

Nie ma konieczności określania naszego stosunku do wszystkich partii i ugrupowań działających na polskiej scenie publicznej. Można go wyczytać bez trudu z treści zawartych w tej deklaracji. Zwracamy się do wszystkich podobnie myślących, zwłaszcza do działaczy związkowych, środowisk solidarnośćowej Sieci, do ludzi działających w ruchu samorządów pracowniczych. Prosimy o opinie i współpracę. Nie chcemy tworzyć partii, lecz porozumienie, w skład którego wchodzić mogą środowiska już zorganizowane i poszczególne osoby. Zgoda w podstawowych kwestiach programowych powinna wystarczająco jasno określić naszą polityczną tożsamość.

Karol MODZELEWSKI

Krajobraz przed bitwą

1. Zastanawiam się nieraz kiedy nasi demokratyczni politycy zdążyli się nauczyć swej szczególnej umiejętności ukrywania problemów istotnych pod pozorami. Teraz taką maską stał się termin wyborów parlamentarnych: 26 maja, 30 czerwca z wyborczą *Treuga dei* na wizytę papieża, 27 października, czy dopiero na wiosnę 1992. Można oczywiście zrozumieć, że politykom z dopiero co sromotnie pobitego obozu Mazowieckiego mniej spieszy się do kolejnej próby wyborczej niż generałom Wałęsy, tym zwłaszcza, którzy czują się niedopieczeni, jak owi uhonorowani ale niesłuchani doradcy w rodzaju Najdera bądź przywódcy Porozumienia Centrum, Kaczyńskiego. Dochodzi względem dodatkowy: im dalej od kampanii prezydenckiej, tym bardziej wątpliwe stają się takie atuty wyborcze jak komitety obywatelskie i organizacje związkowe „Solidarności”, coraz mniej jest pewne komu przypadną i ile będą warte. Wreszcie, przewaga organizacyjna Porozumienia Centrum, dotychczas znaczna, może zostać zniwelowana w miarę jak wśród jego konkurentów z ROAD czy Unii Demokratycznej upowszechni się zrozumienie, że przyjdzie im wkrótce walczyć o polityczne być albo nie być: arogancja i zaufanie — do niedawna właściwość „mazowiecczyków” — stają się teraz przypadłością nowych zwycięzców, czego żenujących dowodów jest w terenie jeszcze więcej niż w warszawskiej telewizji i w parlamencie na Wiejskiej. Z tym wszystkim znaczenie, jakie nadano terminowi wyborów parlamentarnych, nie wynika tylko z politycznych czy politykierskich kalkulacji. Można było mniemać, że zdobywszy prezydenturę ludzie Wałęsy pomiarkują się raczej w przyspieszeniu, aby zagospodarować zdobyty teren i rozejrzeć się nieco, tak właśnie jak to najwyraźniej chciał zrobić ich patron. Jeśli wprost przeciwnie, zdecydowali się raczej przyspieszyć przyspieszanie i wybierać byle jak, byle prędko, to nie tylko i chyba nie przede wszystkim z zimnego wyrachowania. Raczej z paniki.

Tutaj czytelnik zezwoli mi na krótki nawias o roli czasu w demokracji. Demokracja jest mianowicie systemem o tyle szczególnym, że na ogół nie podejmuje się w niej decyzji definitywnych i nieodwracalnych. Żadne wybory nie są ostatnie, po każdym przyjdą w z góry określonym czasie następne, wszystko, co zdecydowano, będzie można odwołać, zmienić i skorygować. To, co biegnie pod spodem nieodwracalnie i definitywnie należy do czasu niepolitycznego, nie podlega decyzjom i wyborom polityków, oni zaś są tego świadomi i temu posłuszni — innymi słowy, demokracja ma zawsze czas i nie umie się spieszyć. Toteż ilekroć dowiadujemy się, że coś trzeba „teraz albo nigdy”, że „oto decydują się losy”, że *hic Rhodus hic salta*, tylekroć możemy być pewni, że demokracja staje pod znakiem zapytania. To po prostu nie jest ustrój zdalny do przełomowych decyzji; zresztą, zbyt przebojowych polityków również źle wytrzymuje. Koniec nawiasu.

Nadanie niepomierne wielkiego znaczenia terminowi wyborów parlamentarnych wyraża dość powszechne dziś w Polsce poczucie, że młoda demokracja już się chwieje.

Ustrój konstruowany obecnie w Polsce określać się zwykło zbitką pojęciową „gospodarki rynkowej i demokratycznego państwa prawa” (wolę pozostać przy tym staromodnym przekładzie zamiast „państwa prawnego” ze współczesnej niby-polszczyzny). Do świadomości mówców i słuchaczy dociera w ten sposób współzależność obu tych członów. Rzadko natomiast zdają sobie sprawę, że jest to również układ równowagi: gospodarka rynkowa stanowi podłoże demokratycznego państwa prawa w taki właśnie sposób, że je limituje, że nie pozwala mu rakowacieć; ono zaś z kolei chroni tę gospodarkę dzięki temu, że koryguje jej nadużycia i osłabia napięcia. Jak powiedziano, jest to układ równowagi, ale równowagę tę osiągnano w długotrwałych procesach, w trakcie których kształtowały się i rynki, i prawa, i bynajmniej nie równomiernie. Nie jest więc, historycznie spoglądając, niczym niesłychanym spostrzeżenie, że o ile rozwój gospodarki rynkowej wydaje się dziś w Polsce przesadzony i nieodwracalny, o tyle demokratyczne państwo prawa jest zagrożone.

Przesadzony i nieodwracalny — nie znaczy ani równomierny, ani bezkryzysowy. Nie rozstrzyga też ani o tempie procesu, ani o dojrzałym kształcie efektów. Niemniej gospodarka rynkowa jako sposób gospodarowania nie ma dziś żadnej konkurencji zdolnej do życia, ani w praktyce, ani nawet w teorii. Z demokratycznym państwem prawa jest zupełnie inaczej.

2. Konstruowanie gospodarki rynkowej przebiega — i chyba nie może być inaczej — poprzez nieustanny kryzys. Jeśli przy-

pomniemy sobie klasyczne, dziewiętnastowieczne opisy i definicje kryzysów, zauważymy, że były one przede wszystkim uprzątnieniem sceny ekonomicznej, likwidacją nadmiaru, tym zaś, co nadmiarowe byli ludzie, maszyny, gospodarstwa — jeszcze wprawdzie żywi i technicznie sprawni — ale nie dosyć żywi i sprawni, dobrzy, ale nie dosyć dobrzy. Kryzys był więc upustem krwi. Otóż przebudowa gospodarki postkomunistycznej w gospodarce rynkową jest najpierw takim upustem krwi i to na skalę nieporównywalnie większą. Powszechne przekonstruowanie (tzw. restrukturalizacja) pozbawia wartości znaczną część majątku narodowego i czyni, w konfrontacji z rynkiem światowym, bezwartościową znaczną część narodowego produktu. W Polsce, z jej wyjątkowo uprzednio niskim zaangażowaniem w handel światowym i szczególnym uzależnieniem od zbytu w RWPG, wstrząs jest tym głębszy. Polska okazuje się więc na początek o wiele uboższa niż zwykli sądzą jej obywatele, którzy teraz coraz częściej się zdumiewają, jak to jednak ci komuniści umieli na różne rzeczy nastarczyć, i na leki, i na wczasy, i na mieszkanie, na które nas teraz nagle nie stać, choć nie było ani wojny, ani trzęsienia ziemi. Umieli nastarczyć — w kiepskiej wprawdzie jakości i z zaległościami ciągle rosnącymi, coraz częściej na kredyt i, co zapewne było najistotniejsze społecznie, na poziomie coraz bardziej odległym od aspiracji obywateli — ale jednak... Gdzie to się podziało? Ludzie nawykli do szczególnego typu myślenia socjalistycznych księgowych, to znaczy do fikcyjności znaku pieniężnego w porównaniu z realnością przysługującą rzeczom, skłonni są mniemać, że owo biednienie Polski jest równie księgowe, przeliczeniowe, na papierze. Wobec tego na pytanie, gdzie to się podziało, pada coraz częściej odpowiedź: rozkradli. Nowy rząd w związku z przyspieszeniem prywatyzacji i sprzedażą przedsiębiorstw kapitałowi zagranicznemu już ma i będzie miał coraz częściej z tym zarzutem do czynienia. Polakowi, który się dowiaduje, że nieraz oplacił się sprzedać fabrykę za nic, za symboliczną złotówkę, byle by zapewnić jej możliwość kontynuowania pracy, niełatwo będzie się pogodzić z takim przewartościowaniem wszystkich wartości. Wskaźniki wyceny znane jako *cash flow* czy *priceearnings ratio* są wręcz psychicznie niedostępne dzieciom gospodarki planowej, liczącym zawsze wedle tego, ile co kosztowało przy inwestowaniu. Aby już nie mówić o tym, że niepojęte wydaje się, by więcej niż twarda, materialna cegła i maszyna mogły być warte na rynku jakieś kontakty, znajomości, usługi... Nieraz uśmiecham się w duchu słuchając jak nasi ekonomiści i dziennikarze, wśród których — jak zwykle — jest neofitów więcej jeszcze niż w kościele, opiewają cnoty „ceny prawdziwej”, „prawdy cen”. Zdają się nie pojmować, że niezależnie od informacyjnej celowości takich cen, ich zaakceptowanie

wymaga ogromnego przełomu w psychologii społecznej: w gospodarce planowej cena jest zaledwie przypadłością daleką od istoty rzeczy, którą w atmosferze nieustannych deficytów w Kornaïowskiej „ekonomice braku” jest wyłącznie namacalna, twarda i „niewyalienowana” rzecz do użytku: nieśmiertelnym symbolem takiej ekonomiki jest przecież przypowieść o Arabie, który znalazłszy na pustyni worek ze złotem, wykrzyknął żalostnie: „Allachu, a ja myślałem, że to kasza...”.

Drugą składową kryzysu, który stanowi konstruowanie gospodarki rynkowej, jest dość nagle odmrożenie więzi, zależności, procedur i nawyków, które składały się na gospodarowanie dotychczasowe — nakazowo-rozdzielcze. Wszystko staje się płynne, poluzowane, samodzielne: nikąd nie nakazują, ale też nikąd pomocy. Wytyczną nowego życia jest mobilność. Podmiot gospodarczy, który chce się utrzymać na rynku, musi się wykazać niebywałą dotąd plastycznością, wręcz proteuszową zmiennością, musi zmieniać umiejętności, kwalifikacje, techniki, produkty, miejsca zamieszkania... Aby rzeczywiście rynkowa gospodarka mogła funkcjonować, potrzebna jest ogromnie rozbudowana i bardzo złożona infrastruktura kredytowa będąca, niezależnie od formy własności, wytworem długotrwałej akumulacji zbiorowej oraz — w każdej rodzinie z oddzielną — pewna rezerwa majątkowa pozwalająca przynajmniej przetrwać okresy przemiany (bezrobocia, przekwalifikowania, przeprowadzki itd.). Jeśli warunki te nie są spełnione, koszty restrukturyzacji łatwo stają się nie do zniesienia. W Polsce 1991 kredytów jeszcze nie ma, oszczędności już nie ma.

3. Nie ma żadnej szansy, by tak rozumiany kryzys przebudowy miał się okazać krótkotrwały. Nie jest prawdą, że trudności gromadzą się z początku drogi, a potem wyjdziemy na prostą. Prawdą może być co najwyżej, że stopniowo przybywać będzie we wszystkich środowiskach społecznych przykładów powodzenia (znacznie ważniejszych, choć mniej spektakularnych, niż przykłady tzw. sukcesu). Ale nie należy się ludzić: długo jeszcze będzie ich nieporównanie mniej niż przykładów odwrotnych, braku powodzenia, zmuśności bez końca, zgasyłych nadziei. Nadto zaś pozytywny wpływ przykładów powodzenia zniweczy może wątpliwa aura moralna.

W tych warunkach sfera polityczna obciążona zostaje zadaniami, które w szczęśliwszych sytuacjach wcale do niej nie należą. Polityka nie ma normalnie na celu zapewnienia stabilności, wystarcza, że jej nie burzy. W Polsce roku 1991 właśnie polityka winna zabezpieczać stabilność, gdyż inne sfery życia, z gospodarką w pierwszym rzędzie, generują niepokój, zakłócenia, kryzys i każdą równowagę burzą. A że przy tym nie ma to być stabilność zachowawcza, więc trudność zadania jest rzeczywiście

ogromna, jeśli zatem w dalszym ciągu będzie źle o politykach, to w żadnym razie nie znaczy to, że są po prostu nieudolni. Bardzo trudno być politykiem w Polsce 1991. Niestety jednak właśnie dlatego, że o autentycznych polityków jest tak trudno, do profesji pchają się ludzie jak z prastarego dowcipu o kolekcjonerze pereł: oni się na tym wcale nie znają, im ręka nie drży.

W trzy miesiące po swoim zwycięstwie prezydent Wałęsa okazuje zastraszającą bezradność. Jego sławny instynkt polityczny dyktuje mu najwyraźniej, że trzeba koniecznie „coś zrobić”. Ale w myśl pięknej maksymy Tagore „albo coś robisz, albo nic nie robisz, lecz kiedy powiadasz sobie, że trzeba by coś zrobić, może stać się nieszczęście”, Wałęsa, w sposób dla tego polityka charakterystyczny, dba najpierw o zapewnienie sobie maksymalnej swobody ruchów nim jeszcze w ogóle wie, co dzięki takiej swobodzie zamierza zdziałać. Od takiej postawy do sprawowania władzy dla władzy jest niebezpiecznie blisko. Tymczasem zaś prezydent zdołał już sam siebie osamotnić. To się zdarzało w jego stosunkach z Komisją Krajową „Solidarności”. Ale to były stosunki wewnątrz grupy dość sobie ostatecznie bliskich ludzi, dla których miał autentyczny autorytet, ot pokłócili się, podzielili i pogodzili. Jako prezydent Wałęsa ma do czynienia z ciężarem i bezwładnością instytucji, które na dodatek sprawdzają dopiero swojego patrona. Jego niezliczone apele telefoniczne do przyjaciół i przeciwników niczemu nie mogą zarządzić: prezydent Wałęsa szamocze się w sieci instytucji władzy, z którymi nie umie współdziałać, nad którymi nie umie panować i którym nawet nie potrafi zaimponować. Osiąga coraz więcej efektów najzupełniej niezamierzonych. Aż tyle, że niektórzy podejrzewają go o makiawelizm: rekomenduje Borusewicza, Borusewicz nie przechodzi nawet do decydującej tury. Rekomenduje Ziółkowską, senat miażdży Ziółkowską... To nie makiawelizm Wałęsy, to raczej instytucjonalne reakcje odrzucenia: zjazd „Solidarności”, podobnie jak jej klub parlamentarny, sygnalizują prezydentowi, żeby się przestał mieszać w ich sprawy i nauczył trzymać własnych kompetencji (nie kontrolować NIK-u, który podlega sejmowi, nie polecać zwrotu nieruchomości i pałaców, które należą do dzielnicy Mokotów, itd.).

Paradoksalnie, „latający Holender” Wałęsa, jak dotąd latający głównie po kancelarii, który tak chętnie miesza się do nie swoich spraw, unika definitywnego i wyraźnego dla opinii publicznej wypowiedzenia się co do opcji istotnie ważnych i istotnie ryzykownych. Tak było z popiwkiem i Balcerowiczem, którym ostatecznie udzielił poparcia, tolerując jednocześnie by jego własny komitet doradców wystąpił publicznie z miażdżącą krytyką tej opcji. Tak jest z terminem wyborów, o którym wiadomo, że sam chciał go — i być może chce nadal — odroczyć

nawet aż do wiosny 1992, i o którego maksymalne przyspieszenie do 26 maja 1991 wystąpił publicznie, za to jednak w taki sposób, by wręcz zmusić sejm do negatywnej reakcji (pomijając wszystko inne, dodatkowy projekt ordynacji wyborczej wymaga dodatkowych tygodni dyskusji, a już projekt pozostawienia senatu, na co trzeba zmiany konstytucji, a zatem większości dwóch trzecich, na pewno nie przyspiesza sprawy). Może więc jednak makiawelizm Wałęsy? Raczej frustracja. Ale prezydenckie frustracje bywają niebezpieczne dla państwa.

Wałęsa, jak powiedziano, chce nade wszystko zachować swobodę ruchów, choćby nie wiedząc jeszcze po co i w imię czego. Na pewno jednak nie po to, żeby znaleźć się po stronie przegrywających. Wskazana nieskuteczność prezydenckich zabiegów prowadzi więc stopniowo do tego, że Wałęsa stale podnosi stawki, co wyraża się przede wszystkim ciągłym rozszerzaniem pola, na którym chce sobie zawarować swobodę manewru. To niezwykle ważny efekt. Trzy miesiące temu Wałęsa proponował, żeby albo został Mazowiecki i wybory były szybkie, albo nowy rząd dostał więcej czasu. Opcje były zaskakujące dla zwolenników Wałęsy, różniły się politycznie, ale mieściły się we wspólnej logice tej samej politycznej gry. Dzisiaj Wałęsie, który nieustannie namawia Geremka do powrotu, pertraktuje z Kwaśniewskim, rekomenduje Ziółkowską i w ogóle nie walczy już z lewicą i jest prezydentem wszystkich Polaków, towarzyszy Wałęsa, który zdaje się przeć do bezpośredniego starcia z większością sejmową i który wspiera się w tej rozgrywce na najbardziej konserwatywnej grupie większości senackiej. Prawdziwym autorem pomysłu zachowania senatu jest Jarosław Kaczyński a wykonawcą marszałek Stelmachowski, który zresztą proponował w zamian Wałęsie, że senat poprze zmianę regulaminową (?) aby zmusić sejm do szybszej pracy: jeśli by mianowicie sejm nie zajął się jakąś ustawą w ciągu 30 dni od jej zgłoszenia, będzie się uważało, że ją przyjęła... Wkrótce potem tenże marszałek Stelmachowski zdecydował swym głosem na Prezydium senatu, żeby wobec inicjatywy prezydenta zachowania senatu odwołać sesję poświęconą uchwaleniu ordynacji wyborczej do izby wyższej. Rzecz w tym, że sejm jeszcze się był nie wypowiedział w tej sprawie i że taki gest senatu służyć mógł jedynie dodatkowemu zantagonizowaniu obu izb. Aby jednak rzecz dopowiedzieć do końca: takie rozpalanie antagonizmu instytucji w połączeniu z przesłanką, że sejm jest z kontraktu a senat z demokracji, służyć może tylko bezprawiu. W artykule „I po krzyku” (*Kultura*, nr 1-2, 1991) pisałem, że „tak przyspieszając można się łącznie znaleźć nieopodal zamachu stanu”. To jest właśnie ta druga opcja prezydenta wszystkich Polaków. Zaiste, zawrotna rozpiętość możliwości.

4. Pomiędzy lutym a styczniem (pomiarzy CBOS z połowy miesiąca) dosłownie załamało się zaufanie społeczne do parlamentu: sejm X kadencji znalazł się po raz pierwszy na minusach w zaufaniu wyborców (40 % go nie aprobuje, 39 % aprobuje), a senat — prawie (38 % nie, 39 % tak). Zdaje się więc nie ulegać kwestii, że opinia publiczna skłonna byłaby poprzeć przedterminowe wybory. Natomiast nie jest wcale jasne ani dla czego by je poparła, ani też czy takie poparcie wyrazi się choćby przyzwoitą frekwencją. Senat, choć pono z demokracji nie z kontraktu, wypada w sondażach nie lepiej niż sejm, natomiast wybory uzupełniające do rad samorządowych, które odbywają się to tu, to tam w całym kraju, mają frekwencję najzupełniej żenującą: dwóch, trzech, sześciu głosujących na gminę!

W obozie, do niedawna prezydenckim, bije się na alarm ostrzegając przed powrotem komuny i głosi konieczność „radikalnego dokończenia rewolucji” (Jarosław Kaczyński). Mówcy z Porozumienia Centrum chętnie posługują się językiem bolszewicko-jakobińskim i postulują „dekominizację państwa”, co według najnowszej wersji uchwały przegłosowanej w nocy z 3 na 4 marca na kongresie PC w Politechnice Warszawskiej, nastąpić ma w wyniku przyjęcia przez nowy parlament ustawy zakazującej funkcjonariuszom b. PZPR piastowania przez 10 lat jakichkolwiek stanowisk oraz uczestniczenia w spółkach. Piszę „najnowszej wersji” ponieważ tekst przegłosowany był niestety nie do znalezienia: kongres głosował „na gębę”, nikt nie zapisywał... Znawcy przedmiotu twierdzą, że to sam Kaczyński tak zamani-pulował, żeby móc potem napisać uchwałę mniej kanciastą, jako rodzaj dezyderatu nie zaś wiążącego projektu uchwały. Są to jednak raczej optymiści. Kongres PC, mimo zewnętrznych oznak bałaganu i rozprzężenia („rewolucyjnego”) był prowadzony żelazną, bolszewicką ręką, choć tym razem pod sztandarami chadecji. Niezawodnym łącznikiem obu tradycji, bolszewickiej i chadeckiej, była bardzo aktywna w kierownictwie Porozumienia Centrum grupa dawnych PAX-owców z Przemysławem Hniedziwiczem, sekretarzem generalnym PC oraz Sławomirem Siwkiem, sekretarzem stanu, łącznikiem Wałęsy z rządem i parlamentem (Piłsudski miał kasztanek, Wałęsa Siwka, mawiają posłowie).

W 1976 paxowcy, wśród nich — jak pamiętam — niektórzy z obecnych działaczy PC, domagali się w specjalnym memorandum, aby PZPR traktowała PAX z większą atencją jako „katolickie ramię partii”. Sądząc z płomiennej obrony PAX w wykonaniu Jarosława Kaczyńskiego, ramię zostało bez szwanku przeszczepione na inny korpus.

Jest niewątpliwie znamienne, że scentralizowanie PC (zakaz podwójnych przynależności w dotychczas luźnym aliansie) dokonało się pod znakiem chadecji, a właściwie prawicy chadeckiej i że

Kaczyński poświęcił w imię tej koncepcji sojusz z liberałami z gdańskiego Kongresu Liberalów, będącymi trzonem aktualnego rządu. Co więcej, chadecka większość manifestacyjnie wycięła w wyborach do Rady Naczelnej Macieja Zalewskiego, rekomendowanego przez Kaczyńskiego na zastępcę przewodniczącego, oraz prawie że wycięła innych kandydatów ze skrzydła związkowego PC. Nowa partia nie życzy sobie ani „lewicowców” z NSZZ „Solidarność”, ani podejrzanych liberalnych agnostyków. Wybory zamierza wygrać w oparciu o program wyraźnie negatywny: przeciw „powrotowi komuny”. W maju, jak twierdzi sam Kaczyński, „jeszcze” możemy — wszyscy postsolidarnościowcy razem — uzyskać większość *periculum in mora*.

Nie ulega kwestii, że strategia wyborcza Kaczyńskiego jest, przynajmniej w pierwszym przybliżeniu, całkiem nośna. Powracając do argumentacji często negatywnej — „my przeciw komuchowi” — PC i jego koalicyjni partnerzy z prawicy zaoszczędzą sobie trudu i ryzyka zajmowania stanowiska w kwestiach rzeczywiście spornych, związanych z opisanym nieuchronnie kryzysowym rozwojem gospodarki rynkowej. Uznając zasadność pretensji, żalów i buntów będą tylko ostrzegali, że wykorzystuje je wróg i że w istocie to on je w dużej mierze wywołuje, sabotując, kradnąc i korumpując. Dodanie do tego groźby reaktywowania przeciw Polsce imperializmu moskiewskiego powinno by zapewnić wygraną. Tym bardziej, że na żaden z przytoczonych argumentów nie brak, oczywiście, przykładów; eks-nomenklatura i sabotuje, i kradnie, i korumpuje.

Są jednak dwa niebagatelne „ale”. Przede wszystkim: nie tylko ona, nie tylko eks-nomenklatura. Nie ma żadnych danych, które świadczyłyby, że niekomunistyczni partnerzy w spółkach mniej kradną i mniej korumpują niż komunistyczni, ani też dowodów, że czysti pochodzeniem urzędnicy pracują chętniej i sprawniej niż byli członkowie PZPR. Trzeba by więc chyba przyjąć, że złodziejom nie z PZPR kraść wolno, a z PZPR nie wolno; może za zasługi? Drugie „ale” bierze się stąd, że ludzie z dawnej czy dawnych partii różnią się autentycznie między sobą, gdy chodzi o stosunek do konstruowanego dziś w Polsce ustroju gospodarki rynkowej i demokratycznego państwa prawa. Można, oczywiście, nie wierzyć nawróconym. Ale w państwie prawa trzeba chyba jakoś tę niewiarę uzasadnić: otóż tak, jak w swoim czasie Jaruzelskiemu, tak również post-komunistycznym frakcjom w sejmie nie można by w żadnym obiektywnym procesie dowiedzieć, że nie dotrzymują kontraktu lub sabotują przebudowę. W szeregach „Solidarności” jest znacznie więcej i znacznie ostrzejszej krytyki solidarnościowych parlamentarzystów, rządów i nawet prezydenta niż w eks-komunistycznych klubach poselskich.

I tutaj dochodzę do najsłabszego punktu strategii Porozumienia Centrum: gdyby rzeczywiście scena polityczna była podzielona dychotomicznie, ta strategia powinna by wygrać, bo opinia publiczna w Polsce pozostaje głęboko nieufna wobec wszystkiego, co się wiąże z komunizmem i wszelkie sondaże dowodzą, że na spadku poparcia dla instytucji solidarnościowych post-komuniści w rodzaju OPZZ i SDRP bynajmniej nie zarabiają. Ale scena polityczna nie jest dychotomiczna. Prawica, bo PC to jest *pars pro toto*, będzie miała do czynienia z dość rozległym wachlarzem politycznym: od partii dawnego obozu Mazowieckiego poprzez stronnictwa chłopskie i liberałów z obecnego rządu aż do wielkiej niewiadomej spod znaku „Tymińscy”. Jest bardzo niewiele szans, by PC udało się tak oczyścić tę scenę, uformować tak rozległą koalicję (przeciw Koalicji Sił Lewicy Cimoszewicza i Kwaśniewskiego) by odtworzyć dwubiegunowość.

W świetle tych uwag zrozumiały się staje — by przejść do ostatniego ze spostrzeżeń — pośpiech i zapał z jakim Jarosław Kaczyński przybrał kolory chadeckie. W swoim czasie (*Kultura*, nr 11/1990), z okazji kampanii prezydenckiej, wyjaśniałem metodą eliminacji dlaczego Wałęsie pozostaje głównie katolicyzm jako ideologia wyborcza. Teraz historia się powtarza, z tym nadto, że episkopat polski już nie próbuje nawet udawać neutralności. Takie fakty, jak zdymisjonowanie ks. Bardeckiego ze stanowiska asystenta kościelnego w redakcji *Tygodnika Powszechnego*, pod pretekstem, że w piśmie tym orędzie wielkopostne ukazało się obok politycznego artykułu Waldemara Kuczyńskiego, ministra z ekipy Mazowieckiego, obnażają aż nazbyt wiele. Coraz wyraźniejszy opór budzi także w społeczeństwie koncepcja państwa wyznaniowego — np. procent przeciwników senackiej ustawy antyaborcyjnej stale rośnie, ostatnio klerikalny zapał budzi już nie tylko wątpliwości, ale wręcz opór 58% indagowanych. Wiele wskazuje, że w nadchodzących wyborach parlamentarnych Kościół zaangażuje się niedowzuszczalnie po stronie partii chrześcijańskich. Czas etosu i jemu podobnych obcych słów zdaje się przemijać. Kto ma władzę ten ma ciastka.

Warszawa, 6 marca

Krzysztof WOLICKI

Monolog o martwej mniszce

Śłuchaj. Nie przerywaj. Monolog jest jedyną formą dla tego, co chcę powiedzieć. Długo myślałem o opowiadaniu, ale odręczał mnie brak nowej, oryginalnej materii narracyjnej. Wypadki były znane, wielokrotnie opisywane i relacjonowane (m.in. w zachowanych do dziś aktach procesu), nie one zatem inspirowały mój zamiar. Inspirował go głos, jeden głos, oniemiały lub słabo dosłyszalny, na przemian martwy i żywy. Głos, który można przekazać tylko w monologu.

Więc śłuchaj. Czwierć wieku temu zatrzymałem się przejeżdżając na noc w posiadłości moich przyjaciół pod Florencją. Był czerwiec, siedzieliśmy do późna na tarasie, rozmawiając i podziwiając gwiazdziste niebo, aksamitne i lekko zaróżowione, nad *Pian dei Giullari*. Mój przyjaciel był historykiem sztuki, znawcą malarstwa Goyi, najchętniej rozmawiał o uwielbianym Mistrzu. Kiedy poszliśmy wreszcie spać, w przeznaczonym dla mnie pokoju znalazłem, wśród książek, ogromny hiszpański album Goyi. Byłem zmęczony całodzienną podróżą, senny, nagle jednak poderwała mnie mała kolorowa reprodukcja z podpisem *La monja muerta*; i z informacją, że obraz znajduje się w leningradzkim Ermitażu. Aż do świtu to zasypiałem na krótko, to budziłem się podniecony, wciąż mając przed oczami twarz martwej mniszki, nie, nie martwej, zawieszona jakby na granicy życia i śmierci. Wpatrując się intensywnie, mogłem uchwycić w kącikach ust ślad zgaszonego i odrobinę zalotnego uśmiechu, który zmieniał się natychmiast w grymas zastygłego cierpienia, nieledwie męki. Dziwo obrazu polegało na tym, że w jakiś niewytłumaczalny sposób piękna mniszka była *równocześnie* martwa i żywa, jej oczy nie były zamknięte na zawsze. A także *równocześnie* młoda i stara. To było niepojęte, kazało myśleć o czarodziejstwie raczej, niż o malarstwie. O świcie, nie budząc gospodarzy, z którymi pożegnałem się po wieczornej rozmowie na ta-

rasie, wsiadłem do samochodu i ruszyłem w stronę Neapolu. Po drodze obraz martwej mniszki do tego stopnia piekł mi oczy (nie znajduję lepszego określenia), że musiałem kilkakrotnie zatrzymać na dłuższą chwilę samochód dla odetchnięcia i uspokojenia rąk drżących na kierownicy. Wieczorem zatelefonowałem z Neapolu do mojego przyjaciela; chciałem się od niego dowiedzieć, gdzie we Włoszech mógłbym kupić reprodukcję *Martwej mniszki* Goyi.

Był ogromnie zdziwiony. Nie mogłem widzieć *Martwej mniszki* w owym hiszpańskim albumie, bo nie ma w ogóle takiego obrazu Goyi. Urojenie? Fantazja? Przywidzenie? Skąd to wziąłem? W leningradzkim Ermitażu jest może rysunek Goyi o tej nazwie, trudno być tego pewnym, katalogi tamtejszych zbiorów są niepełne, a część płócien i rysunków jest w ogóle niedostępna. W hiszpańskim albumie widziałem naturalnie portret mniszki z roku 1827, powszechnie znany, namalowany przez Goyę rok przed śmiercią. Portret wspaniały, trochę zagadkowy, cudowne oczy mniszki zdają się nieufnie przyglądać malarzowi, wykrój zaciśniętych ust jest wyraźnie zmysłowy. „Tak, mój drogi, widziałeś ten portret, nic osobliwego w twoim zachwycie”. Może (była to hipoteza mojego przyjaciela) udało mi się gdzieś niegdyś zobaczyć reprodukcję rysunku z Ermitażu (jeżeli taki rysunek istnieje) i nałożyłem go (jak się wyraził) na portret z hiszpańskiego albumu? Tak, to brzmi dość prawdopodobnie. Obym sobie przypomniał gdzie ten rysunek widziałem, on sam dałby dużo za posiadanie reprodukcji. Potok wymowy w telefonie trwał jeszcze długo, słuchałem cierpliwie, wpatrzony pod powiekami w martwą mniszkę. Tak czy owak widziałem ją, takich rzeczy się nie wymyśla. I moje widzenie było czymś więcej niż zachwytem: czułem się urzeczony martwą mniszką; urzeczony w szczególny sposób, jakby zły i dobry (niemal miłosny) urok podały sobie ręce.

Uplłynęło sporo czasu, zanim uprzytomniłem sobie nareszcie co zaszło w posiadłości moich przyjaciół pod Florencją. Możliwe, rzecz jasna, że ze zwojów mojej pamięci wychylił się naraz dostrzeżony gdzieś przelotnie rysunek z Ermitażu i „nałożył się” na portret z roku 1827, lecz prawdziwe sprzężenie (za słabe byłoby tutaj skojarzenie) było inne: jakieś dwa-trzy lata wcześniej z pasją zajmowałem się historią mniszki z Monzy...

— Siostry Gertrudy z powieści Manzoni...

Miałeś nie przerywać. Wizerunek z powieści Manzoniego jest tak ograniczony przez bigoterię autora, tak przystrzyżony ku zbudowaniu serc czytelników, że trudno prawie uwierzyć, by podobnej operacji mógł się dopuścić wielki bądź co bądź pisarz. Ale mniejsza o to. Wiemy o mniszce z Monzy dostatecznie dużo, aby machnąć ręką na Manzonię. Otóż wydaje mi się niemal

pewne, że nosiłem w sobie dzieje mniszki z Monzy, miałem je we krwi, i właśnie one każały mi spojrzeć w napięciu i z przejęciem na portret mniszki w albumie Goyi. Było w tym coś z nagłego połogu ciężarnej wyobraźni. Dlaczego jednak zobaczyłem ją jako mniszkę martwą? Bo tak widziałem mniszkę z Monzy podczas zagłębiania się w jej dziejach. Tak więc ukazała mi się również w albumie mojego przyjaciela. Nie znajduję innego wytłumaczenia. I niech to będzie, w moim monologu, wejście do tematu. Wyczujesz też może intuicyjnie, choć trochę na to za wcześnie, dlaczego upieram się przy monologu, odrzucając wszelki sztafaż narracyjny. Chciałbym by głos Siostry Virginii Marii, oniemiały lub słabo dosłyszalny, głos „nieszczęsnej” (jak ją nazwał Manzoni) rozległ się u mnie dźwiękiem jednej struny.

Virginia Maria de Leyva była córką hiszpańskiego hrabiego Monzy i liguryjskiej arystokratki. Oddano ją na wychowanie do klasztoru benedyktynek pod wezwaniem Świętej Małgorzaty w Monzy koło Mediolanu w roku 1586. Miała czternaście lat. Nie jest jasne, czy była już wtedy przeznaczona do zakonu, skoro będąc jedyną córką z pierwszego małżeństwa swego zamożnego ojca i zmarłej wcześniej bogatej matki, nie stanowiła problemu „posagowego”, klasycznego w narzucaniu habitu pannom na wydaniu z rodzin obfitujących w córki. Wiele wskazuje na to, że ładna i inteligentna dziewczyna z ulgą przyjęła okazję wyrwania się z surowego domu mediolańskiej ciotki, której powierzono pólserotę po śmierci matki i powrocie ojca do Hiszpanii.

Czternastoletnia Mariannina (tak ją nazywano w rodzinie) zaczęła w klasztorze od stopnia zwanego *educanda*, który nie prowadził do ślubów zakonnych. W trzy lata później, przeszedłszy przez stopień zwany *conversa*, dość niedwuznacznie wskazujący wybór drogi, wstąpiła do nowicjatu. Jakkolwiek brak dokładnej daty, można założyć, że w osiemnastym roku życia była już zakonnicą, Suor Virginia Maria. Zdaniem niektórych biografów była zbyt urodziwa i pełna temperamentu, by czuć autentyczne powołanie. Ale ci sami autorzy podkreślają zgodnie, że arystokratyczne pochodzenie (hrabianka Monzy) stwarzało jej w klasztorze uprzywilejowaną pozycję (prawdopodobnie przyszej, zasobnej w materialne środki, przeoryszy), co jej zapewne schlebowało i na bok chwilowo odsuwało inne pragnienia i tęsknoty dziesięcioletniego wieku.

Pragnienia i tęsknoty tylko uśpione, a nie złożone na zawsze w ofierze u stóp Boskiego Oblubieńca i Jego Przenajświętszej Matki. Klasztor Świętej Małgorzaty sąsiedował poprzez nie zanadto wysoki mur z ogrodem rodziny Osio. Młody Gian Paolo Osio, o kilka lat zaledwie starszy od Siostry Virginii Marii, znany był w okolicy jako awanturnik, uwodziciel, butny i pozbawiony skrupułów zabijaka. Mniszka z Monzy przeżywała

kryzys wiary i nieznane jej dotąd niepokoje właśnie w chwili, gdy ujrzała między drzewami ogrodu sąsiadów wpatzonego w nią młodzieńca. Przystojnego? Do swych towarzyszek szepnęła: „Nie ma chyba na świecie rzeczy piękniejszej”. Nie długo Gian Paolo był dla niej „rzeczą”, Mój monolog zbliża się do miejsca, w którym Manzoni zasłoną okrył ten rozdział w życiu powieściowej „nieszczęsnej” Siostry Gertrudy.

Choć Mariannina miała zaledwie czternaście lat, kiedy zamknęła się za nią brama klasztoru, wolno uznać że umarła dla nieznanego jeszcze świata. W wieku osiemnastu lat była już, w stosunku do życia za murami, martwą mniszką. Żyła w swojej klasztornej celi wyłącznie wiarą i poczuciem roli, jaką mogłaby w przyszłości odegrać w służbie wiary i Kościoła. Wkrótce po dwudziestce, zobaczywszy w ogrodzie z okna celi „najpiękniejszą rzecz na świecie”, poczęła umierać dla wiary i Kościoła. Nieśmiała, zależniona jeszcze, kto wie czy nie przerażona gwałtownym wtargnięciem świata do jej życia uwitęgo z modlitw, słyszała łomot swego serca podobny do trzepotania się ptaka w klatce. Zaprzyjaźnione z nią zakonnice ujrzały naraz rozkwit, wybuch nieledwie, jej urody. I narodziny wielkopańskiego, władczego gestu. Nie trwał długo, lecz wystarczył by między klasztorem i przyległym doń ogrodem w Monzy zawiązał się, jak w szekspirowskiej Weronie, codzienny duet spojrzeń. Nawet Gian Paolo Osio wyzbył się, wobec martwej mniszki w klasztorze Świętej Małgorzaty, brutalnej i cynicznej pewności siebie łotrzyka i zuchwalca. Siostra Virginia Maria była, jak się potem okazało, jedyną w jego życiu kobietą naprawdę kochaną; co nie znaczy, jak zobaczysz, że przedzierzgnął się w „romantycznego” kochanka.

Zważ, że ciągle używam zwrotu „martwa mniszka”. Jest to, być może, dowód że podświadomie nie wierzę w nieistnienie obrazu Goyi. Gdzieś w głębi mojej wyobraźni, w jej ukrytym zakamarku, zjawia się, znika i znowu zjawia aby natychmiast zniknąć ta niezwykła twarz, ni martwa ni żywa. I jak dalekie, z wielkim trudem uchwytnie echo słyszę szczątki tego głosu, który formy i barwy szuka w moim monologu.

Dziesięć lat ciągnęły się „grzeszne amory” (określenie jednego z biografów Siostry Virginii Marii) w klasztorze Świętej Małgorzaty. Prawie nie do wiary. Rzuciwszy jednak okiem na plan tej części Monzy, dostrzega się od razu architektoniczny splot klasztoru i domu rodziny Osio, porównywalny do namiętnego uścisku dwojga osób. Od duetu spojrzeń łatwo było przejść do wymiany liścików; od wymiany liścików do potajemnych spotkań. Od potajemnych spotkań wreszcie do wybicia otworu w murze, oczywiście metaforycznego. Ostrożność została odrzucona, albo przestrzegana jedynie dla zachowania pozorów.

Monolog posiada przywilej posługiwania się skrótami, które przekreślają obowiązek (i technikę) opowiadania. Przygotuj się na to. Nie usłyszysz ode mnie jak rozwijała się miłość dwojga kochanków, z szczegółowym uwzględnieniem tła, zarysu postaci, ich rozmów i działań. Usłyszysz wykaz decydujących i pobieżnie naszkicowanych zdarzeń. Nie ukrywam przed tobą, że chciałbym szybko przebrnąć przez dziesięć lat „grzesznych amorów”, wydobyć z nich tylko to co najistotniejsze, i pochylić się z większą uwagą nad martwą mniszką od chwili jej aresztowania.

Pierwsze bezpośrednio zetknięcie fizyczne przyszłych kochanków nastąpiło nocą obok małej furtki klasztornej, przedtem spotkali się parę razy — również nocą — w parlatorium przedzielonym kratą; i teraz i w parlatorium Siostrze Virginii towarzyszyły dwie zaprzyjaźnione z nią zakonnice, współmieszkaniki jej celi. I obok tej furtki klasztornej, na ziemi pod ścianą, w obecności swych towarzyszek, mniszka z Monzy oddała się temu, którego widok, sam widok w ogrodzie, przyprowadził ją kiedyś o omdlenia. Przesłuchiwana po latach, zapewniała że ją „brutalnie” zgwałcił. Kłamała. Jak dalece była odurzona tą miłością, do jakiego stopnia Gian Paolo zapanował nad nią, biorąc ją nareszcie w ramiona, świadczy fakt, że pozwoliła podeptać intymność aktu, obojętna na utkwiony w niej wzrok dwóch zakonnic. „Nie wiem, dlaczego nie przyszły mi z pomocą”, dorzuciła obłudnie przesłuchującym ją inkwizytorom. Puszczone w ruch instrumenty tortury przywołały ją do przytomności i odczyły kłamania.

Dopiero nazajutrz po „upadku” obok furtki klasztornej uzmysłowiła sobie w pełni co się stało. Szukała ratunku w włosienicy, która raniła jej ciało do krwi. Chciała krwi, aby u Boga wybłagać „obronę przed diabelskimi mocami”. Do owych „diabelskich mocy” wracała wciąż podczas przesłuchiwań, nieczuła na zaciskane pętle tortury. Wierzyła w nie widocznie, i w odpowiedziach dawanych z uporem inkwizytorom, i wpatrzona przed laty w plamy krwi na włosienicy. Ból, jak przypuszczam, pomagał jej znieść hańbę; w „diabelskich mocach” pragnęła znaleźć swoiste alibi dla swej rosnącej miłości. Gotowa była cierpieć w imię nie wyrzekania się kochanka; jako mniszka, w której Diabeł zabił zakonną cnotę, a kochanek obudził ziemską tęsknotę. Miała nadzieję umartwianiem się zapłacić za prawo do życia. Martwa mniszka, żywa kobieta. Na pytanie inkwizytorów o ciąg dalszy po pierwszej schadzce miłosnej odparła: „Powieć, że mimo modlitw i umartwień do krwi byle tylko uwolnić się od stosunków z panem Osio, zdawało się że jestem we władzy Diabła i tak w sercu udęczona, że nie mogłam się wyrzec spotkań z nim: zaklinana przez niego, wracałam do owej furtki i miałam z nim związki cielesne wiele razy, nie umiem powiedzieć ile”.

Miłość uprawiana na ziemi pod murem znużyła widać kochanka, bo wyprosił u Siostry Virginii klucz od furtki. Odtąd przychodził kiedy chciał do klasztoru pogrążonego we śnie. Czasem wystarczała mu jedna noc, kiedy indziej spędzał w celi swej kochanki kilka dni a nawet tydzień. Nie miała osobnej celi, spała z dwiema zakonnicami, toteż kochankowie nie byli nigdy sami w chwilach miłości. Jak mogła to znieść? Jak mogła się z tym pogodzić, ona hrabianka z domu, a nie dziewczka folwarczna? Godziła się na więcej. Bywało, że Gian Paolo, przesycony amorami z Siostrą Virginią, przenosił się kolejno do łóżek jej współmieszkanek. Na jej oczach. Utraciła na tyle własną wolę, by się na cokolwiek zgadzać lub nie zgadzać. „Namiętność — stanowi kodeks kanonicznego prawa karnego — jest gwałtownym poruszeniem duszy, która działa niezależnie od ludzkiej woli; ludzka wola czyni duszę cudzą niewolnicą, karząc ją za to, że we właściwym czasie nie potrafiła utrzymać pełnego nad sobą władania”. Niezgrabnie i ciężkavo sformułowane, ale trafiające w sedno rzeczy w wypadku mniszki z Monzy.

Pierwsze jej dziecko urodziło się nieżywe, Gian Paolo wyniósł je z klasztoru i prawdopodobnie wyrzucił do rowu, psom na pożarcie. Drugie, po roku, było dziewczynką, którą Gian Paolo ochrzcił w mieście jako własną córkę z nieznaną matką, nadając jej imię Alma. Alma znaczy po hiszpańsku „dusza”, zapewne Siostra Virginia wymusiła na kochanku to imię, w którym zawarta była resztką jej zniewolonej duszy.

Zniewolonej do czasu. Mniszka z Monzy została fizyczną niewolnicą swego kochanka do końca, do dnia aresztowania. Uwolniła się za to jej dusza w tym samym władczym, pańskim choć krótkotrwałym geście, którym kiedyś powitała wysyłane do niej z ogrodu spojrzenia Gian Paolo Osio. Tym razem jednak nie był to gest przelotny. Hrabianka de Leyva, poddawszy się całkowicie namiętności, nie próbując już nawet bronić się przed nią, uczyniła ze swego kochanka posłuszne narzędzie miłości, zapanowała nad nim duchowo. Domagała się od niego czci, należytnej jej randze i urodzie. Wpoila mu kult i adorację własnej osoby. Musiał być zawsze na jej zawołanie, znosić jej zachcianki i kaprysy. W samym zaś klasztorze zachowywała się jak przeorysza, mimo że jej „grzeszne amory” znane wszystkim zakonnikom gorzej lub lepiej, z obserwacji lub szeptanek po kątach, oddały ją z każdym dniem bardziej od przeznaczonego jej, po ślubach zakonnych, stanowiska. I ta nagła swoboda duchowa, zabarwiona naturalnym jakby pociągami do rozkazywania i rządzenia, doprowadziła ją do czegoś więcej niż grzechów; do zbrodni. Kiedy powstało realne niebezpieczeństwo, że wieści o klasztornym nierządzie dotrą do władz kościelnych i świeckich, nie zawahała się przed poduszczeniem swego kochanka i oddanych

jej zakonnicy; stała się morderczynią, jakkolwiek nie z jej rąk zginęła najpierw zbyt gadatliwa *conversa* z wioski pod Monzą (niespodziewane zniknięcie ogłoszone jako ucieczka w przededniu wstąpienia do nowicjatu); a potem życie postradał aptekarz klasztorny, również zbyt gadatliwy, którego z polecenia swego pana zabił sługa Don Osio. Siostrę Virginie aresztowano 15 listopada 1607 roku. W chwili jej aresztowania Osio ukrywał się w sąsiedniej celi klasztornej.

Aresztowania w klasztorze i poza nim (prócz Siostry Virginii aresztowano kilka wmieszanych w aferę zakonnic; Osio został w końcu schwytany podczas ucieczki i w trybie przyspieszonym ścięty i poćwiartowany), śledztwo czyli przesłuchania oskarżonych i świadków, wreszcie proces przed trybunałem Kurii Arcybiskupiej — wszystko to nakazał i z wysoka nadzorował Arcybiskup Mediolanu, Kardynał Federigo Borromeo. To on odgrywał obecnie, aż do swojej śmierci, główną rolę w życiu mniszki z Monzy.

Przewieziono ją do mediolańskiego klasztoru benedyktynek Świętego Ulderyka. Zaczęła od głodówki, przerywanej (w zamiarach samobójczych) biciem głową o mur celi, oraz innymi atakami szału, skończonej niemożliwym do powtórzenia wybuchem złorzeczeń i przekleństw pod adresem Kardynała. Wiele lat musiało upłynąć, zanim uznała go za swojego „protektora, dobroczyńcę i wyzwolicieła”.

Protokoły jej przesłuchań robią niezwykle wrażenie. Początkowo usiłowała wyrwać się z matni kłamstwami, ale tortury przekonały ją szybko, że nie oszuka doświadczonych inkwizytorów.

I prawdziwa opowieść o miłości, w podtekście pokornych tekstów lub w karkołomnych przesmykach między układnymi i posłusznymi wierszami, opowieść o tym ile ją ta miłość kosztowała, ile zła musiała wyrządzić byle tylko nie stracić kochanka, jak splugawiła świętą wiarę, jak z martwej mniszki stała się żywą kobietą, jak umarłszy dla świata za murami klasztoru umarła potem dla Pana Naszego w objęciach Gian Paolo Osio, jak porzuciła nawet próby wyrwania się diabelskim mocom i smakowała bezwstydnie swoje szczęście, ta prawdziwa opowieść, wypunktowana rzeczowymi i oschłymi pytaniami sędziów, ukazuje nam Virginie Marię de Leyva triumfującą nad swoim losem, piękną i szaleńczo śmiałą, dumną że potrafiła w klauzurze klasztornej pokonać swą śmierć zakonną. Czytając protokoły przesłuchań oglądałem nieustannie urojony (podobno) przeze mnie obraz Goi: martwą mniszkę, która udaje że ma oczy na wieki zamknięte, z delikatnym, ledwie zauważalnym uśmiechem w kącikach ust, nieśmiertelną w swej marmurowej białości. Nie dziwię się wcale, że surowy historyk i kronikarz epoki Dandolo

pisze: „Wszystko się zmienia w protokołach przesłuchań. Gina podłości i małości, idzie ku nam stanowczym krokiem czarna wysoka figura, jej półprzymknięte oczy miotają błyski, duszę naszą wypełniając zwątpieniem i lękiem”.

Wyrok zapadł po roku blisko przesłuchań. Skazano ją na dożywocie w małej zamurowanej celi. Żywcem zamurowana w przestrzeni pozwalającej tylko poruszać się od barłogu do kłęcznika i z powrotem, miała według wyroku prawo do dwóch otworów o rozmiarach zaciśniętej dłoni w murze zamykającym celę: jeden służył do podawania jej jedynej w ciągu dnia posiłku, którego jakość i ilość wymierzono tak, by ją uchronić od śmierci głodowej; przez drugi, mniejszy nieco, docierało do celi trochę światła i powietrza. „Zamurowanie (w sentencji wyroku) było równocześnie karą za zbrodnie i pokutą za grzechy. Nigdy już nie miała opuścić swej celi, nikt nie mógł jej stamtąd wydobyć”. Przez pierwsze pięć lat obowiązana była pościć raz w tygodniu „dla upamiętnienia Najświętszej Męki Pana Naszego Jezusa Chrystusa”. Codziennie, „aż do ostatniego tchnienia”, nakazywano jej zmawiać „uważnie i pobożnie” modlitwy na głos. Kubel nieczystości należało opróżniać co cztery dni wprost do rury wyciekowej.

Przyjęła wyrok w absolutnym milczeniu, nie wypowiedziała ani słowa, nie zdradziła żadnych emocji.

Zamurowano ją w Domu Nawróconych Kobiet pod wezwaniem Świętej Walerii. *Casa delle Convertite di Santa Valeria* była instytucją kościelną, przytułkiem dla starych i chorych prostytutek, którym nawrócenie (szczere czy udawane) dawało ostatnią szansę znalezienia przed śmiercią dachu nad głową i talerza gorącej zupy. Za prostytutkę więc uznano także Siostrę Virginie.

Martwa mniszka, martwa i dla świata i dla wiary, przekroczyła próg swej więziennej celi w wieku trzydziestu trzech lat. Wyszła z niej — dzięki aktowi łaski Kardynała Borromeo — w wieku czterdziestu sześciu lat. Trzymała bez zimna, wilgoci, letniego zaduchu, półgłodu, smrodu, bezruchu, ciemności, samotności, milczenia. Straciła poczucie czasu. Na strzępy rozpadał się jej habit. Nie miała się czym przykrywać podczas snu. Gniła słoma w worku na jej barłogu. Musiała nie raz chorować, lecz nie wolno jej było prosić o leki. Zakazano jej odzywać się do kobiet, które raz dziennie przynosiły jej posiłek. One za to korzystały często z okazji, by przez otwór zaglądać na ułamek sekundy do celi. Tak powstała legenda o „pięknej wciąż zakonnicy”. Ale gdy rozwalono mur, z więziennej celi wyszła, ślanając się i drżącymi rękami zasłaniając oślepienie oczy, czterdziesto-sześcioletnia staruszka, zgięta w pałąk, pomarszczona, siwa, przez kogoś z obecnych nazwana „żywym trupem”.

Niebawem zagrała w niej krew hiszpańskich i włoskich karmazynów: Kardynał winien jej przebaczyć osobiście. Zabiegała o to spotkanie cierpliwie, z uporem. Przyjął ją chłostą, okrutną werbalną chłostą: „Jak śmiesz, bezwstydną i bezecną, stawać przed obliczem swego pasterza, patrzeć w oczy swego Arcybiskupa? Ty, właśnie ty, niegodna żyć na tej ziemi, godna tylko śmierci w więzieniu i pogrzebu w piekle? Ty, która byłaś kiedyś tak wyniosła? Nie wystarcza ci twoja kara? Chcesz, żebym ci zamknął w okropniejszej jeszcze celi? Chcesz, żebym ci wyznaczył straszniejsze jeszcze kary? Czego chcesz, nędznico? Uważaj, uważaj, nie podnoś na mnie swych bezwstydnych oczu, niegodnych światła!”. Wstrząśnięta (notują kroniki), na kolanach, zalana łzami, dławiąc się jękami, błada śmiertelną bladłością agonii, nie zdołała wykrzusić słowa. „Precz! — krzyknął Borromeo. — Wróć natychmiast na swoje miejsce!”. Podniosła się z klęczek, ogarnięta trwogą. Kiedy Kardynał zobaczył jej złachmaniony habit, kazał wypłacić przełożonej *Casa delle Convertite* dziesięć skudów na zakup nowego.

Nie dała jednak za wygraną. Z przekazów historycznych i kronik epoki wynika, że w następnych latach nawiązała korespondencję z Kardynałem i była przez niego wielokrotniezywana do Pałacu Arcybiskupiego. Do tego stopnia opłatała go swoimi „wizjami anielskimi” i „nadludzkimi harmoniami”, tak gruntownie przekonała go o „wzniesieniu się ponad własne życie i własne ciało w niebiańskiej ekstazie mistycznej”, tyle prawdziwości brzmiało w jej powtarzającym często zapewnieniu: „śmierć za życia utarowała mi drogę do Boga”, że Borromeo nazwał ją „zwierciadłem pokuty”, nie sprzeciwiał się nazywaniu jej przez innych „świętą”, gromadził notatki o niej do planowanej rozprawki *Di Suor Virginia Penitente* i powierzył jej pisanie nauk i reguł moralno-religijnych dla niektórych zbyt letnich zakonnic w Archidiecezji. Mediolańska dżuma 1629-30 oszczędziła ją cudownie w przytułku Świętej Walerii, gdzie „czarna śmierć” zebrała obfite żniwo. W roku 1631 umarł Kardynał. Stopniowo zapomniano o martwej mniszce, jakby rzeczywistość śmierć zabrała ją już do siebie. Zapis kronikarza z roku 1640 przedstawia ją jako „zgarbioną, chudą, mizerną, zeschniętą starowinkę”. Kronikarz dorzuca: „Wierzyć się nie chciało, że była to piękna i postawna Siostra Virginia, która przed laty szczyliła się niecnotą, jakby uważała ją za rzeczywistą cnotę”. O jej śmierci w roku 1650 dziejopis dowiedział się przypadkowo z przechowywanego w archiwum aktu notarialnego klasztoru Świętej Małgorzaty w Monzy...

— ???

Tak, tak, widzę te pytanki w twoich oczach. Jaki jest ukryty sens mojego monologu? Dlaczego po tylu latach wyciągną-

łem historię opisaną szczegółowo przez historyków i kronikarzy, fragmentarycznie (nader fragmentarycznie) przeniesioną do literatury, znaną aż nadto dobrze, we wszystkich „chorobliwych” przejawach, w obu ojczyznach Siostry Virginii, we Włoszech i w Hiszpanii? Czemu ma służyć mój wysiłek wskrzeszenia martwej mniszki, wysiłek w którym moralna awersja idzie w parze z miłością i podziwem? Niepodobna przecież (czytam w twoich oczach), bym przeszło ćwierć wieku przechowywał w sercu i wyobraźni mój monolog, bez jakiejś głębszej przyczyny. A jeśli tak, czy nie mógłbym odsłonić owej głębszej przyczyny? Choćby w ogromnym skrócie, jak w ogromnym skrócie odtworzyłem w moim monologu dzieje mniszki z Monzy.

Szokspir, współczesny Siostry Virginii, pisał że „jesteśmy z takiej materii, z jakiej robione są sny”. Miało to, według mnie, oznaczać nieograniczoność ludzkiej natury, podobną do nieobjętości snów; czyli cechę, o której zbyt łatwo i zbyt często zapominamy, tworząc doktryny filozoficzne, moralne, psychologiczne. O niezmierzonej i niewymiernej „rozpiętości” człowieka, która niby zajrzenie w otchłań przyprowadza o zawrót głowy, wspominał Dostojewski w *Dzienniku pisarza*.

Oto głębsza przyczyna, której ode mnie oczekujesz. O chwili, gdy poznałem historię mniszki z Monzy, gdy prawdziwy czy urojony obraz martwej mniszki pędzla Goyi odcisnął się na zawsze w mojej wyobraźni, nie zapominam już o niej nigdy, ilekroć zdarza mi się rozmyślać o „amplitudzie” człowieka. Czym może być człowiek?, pytam. Czym byłam ja, odpowiada głos Siostry Virginii Marii de Leyva; czysty, cichy, martwy zarazem i żywy, rozedrgany i migotliwy jak płomień świecy na wietrze.

Styczeń 1991

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Lecz zanim Engels zdążył cokolwiek odpowiedzieć, zatrząsły się mury i tynek z sufitu się posypał. Ludzie rzucili się do wyjścia, a w chwilę potem cały budynek się zawalił.

Teraz jedni mówią, że Marks też chciał się poddać, ale wylaząc z piwnicy o futrynę przypadkiem zawadził. Drudzy, że umyślnie wstrząsnął fundamentami biorąc przykład z biblijnego Samsona, co nie jest wykluczone, bo na pewno znał Biblię.

Tak czy inaczej, siłę to on miał.

Wolna konkurencja

Wezwał mnie ksiądz proboszcz.

— Czy to prawda, że przy Rynku nowy sklep otworzyli przeciwko Szóstemu i Dziewiątemu Przykazaniu?

— Seks-szop?

— Ja nawet nie chcę wiedzieć jak się to paskudztwo nazywa, ja tylko chcę wiedzieć czy to prawda.

— Prawda, proszę księdza.

— A ludzie przychodzą?

— Jeszcze jak! Przez Rynek przejść nie można, taki tłok.

— No to my też musimy taki sklep przy Parafii otworzyć.

— Seks-szop parafialny? Przecież taki towar to grzech!

— A od czego przyroda? Wszystko można bez grzechu przedstawić biorąc jako przykład zjawiska naturalne. No, wiecie, kwiatki i ptaszki... One tak samo, zapylają się i tak dalej. U nas będzie to samo co w tym sklepie przy Rynku, ale bez żadnej pornografii, cnotliwie, po chrześcijańsku. Wy, jako zakrystianin, taki sklep mi zorganizujecie.

— Ale po co, kiedy przy Rynku już jest!

— Nic nie rozumiecie. Trzeba ludzi ratować przed potępieniem wiecznym. Przy Rynku jest Sodoma i Gomora, a u nas będzie po bożemu. Jak już ludzie koniecznie tego chcą, no to u nas też znajdą, ale bez grzechu, nie narażając zbawienia duszy. To się każdemu opłaci i każdy do nas przyjdzie. W ten sposób odbierzemy im klientelę.

— Zrobiłem co mogłem. Wybrałem parę kwiatków, takich co mi się wydawały bardziej od innych lubieżne, posadziłem je w doniczkach i wstawiłem do lokalu. Powiesiłem też klatkę z dwoma kanarkami, zachowywały się wobec siebie obojętnie, ale przecież nie mogłem ich zmusić do kopulacji. Po czym usiadłem przy kasie i czekałem na klientów.

Egzorcyzmy

Skończył się komunizm bezbożny i nasza parafia swoje mienie odzyskała. Był to dom murowany, piętrowy, zbudowany niegdyś ze składek ludności. Sala zebrań w nim była i pokoje liczne, różne imprezy parafialne się w nim odbywały. Ale potem Partia go Parafii zabrała i urządziła w nim siedzibę swojego Komitetu Partyjnego. Teraz ów dom z powrotem miał się stać Domem Parafialnym.

Przedtem jednak należało go pokropić wodą święconą, żeby go oczyścić z komunistycznych miazmatów. Sam Ksiądz Biskup kropił specjalnie przybyły na tę uroczystość. Już za pierwszym kropnięciem coś zapiszczało pod podłogą, materializm dialektyczny z dziury wybiegł, przez okno poleciał do ogrodu i schował się w krzakach. Po nim Dzierżyński, co w piecu się ukrywał, przez komin i po dachu do lasu uciekł.

— Z wiadra go! — krzyknął ktoś z tłumu, widać kiepski katolik, bo nie wiedział, że tylko kropidła wolno używać, a tym mniej węzów strażackich, choć były w remizie i przy ich pomocy poszłoby znacznie szybciej.

Po Dzierżyńskim tylko pomniejsze plugastwo, jakieś Bieruty i Gottwaldy, z kątów pierzchało, choć tyle tego było, że wody święconej zaczęło brakować i do sąsiedniej parafii musielibyśmy konny beczkowóz posłać. Żaden większy upiór już się nie pokazał, aż to zaniepokoiło Księdza Biskupa.

— Muszą gdzieś tu być, zejdźmy do piwnicy.

Wtedy krzyk się rozległ:

— Nie kropić! Zaraz wylezę!

I w drzwiach Engels się ukazał, z białą chusteczką na patyku.

— Poddaję się — powiedział.

— No dobrze — na to Ksiądz Biskup — Ale gdzie jest Mr Marks?

- No i jak tam? — zapytał ksiądz nazajutrz.
 — Nikt nie przyszedł.
 — To wasza wina, nie umiecie odpowiednio eksponować.
 — Co ja mam eksponować? Żeby chociaż Maryśkę, gospodynię księdza...
 — Co takiego?
 — Nie, nic takiego, będzie sobie siedziała w kącie cała ubrana i robiła na drutach.

Nie zgodził się. Następnego dnia i później także nikt nie przyszedł i po tygodniu zrezygnowałem z posady. Nie tylko kierownika parafialnego seks-szopu, ale także z posady w zakrystii. Sklep przy Rynku poszerzał asortyment i potrzebował personelu, więc się zgłosiłem.

Praca lekka i ciekawa, a co najważniejsze czuję się potrzebny społeczeństwu.

Sławomir MROŻEK

LEKARSTWA

Przodujących fabryk Europy, Ameryki i Japonii
 WYSYŁAMY BEZ ZWŁOKI

— Recepty i zamówienia realizujemy do wysokości \$ US 50,00 natychmiast — nie czekając na wpłatę. • Odczytywanie recept krajowych. • Wszelkie aparaty medyczne. • Okulary. • Aparaty słuchowe. • Preparaty dentystyczne.

Cenniki i wyceny przesyłamy natychmiast.

Największy Polski Dom Wysyłkowy.

TAZAB LTD.

Tazab House, 273 Old Brompton Road,
 London SW5 9JB, England.

Tel.: (01) 373 48 81

oraz informacje

Madame C. Piquard-Zabłocki,
 12, rue Condorcet, 75009 Paris, France,

Tel.: 42 85 79 45

Z archiwum Zygmunta Haupta

Poniższy tekst pióra Zygmunta Haupta (1907–1975) pochodzi z archiwum pisarza, założonego przez wdowę po nim i syna w Bibliotece Uniwersytetu Stanford w Kalifornii.

Haupt, przypominę w tym miejscu, wydał za życia jedną tylko książkę, „Pierścień z papieru”, IL, Paryż 1963, i był laureatem nagrody *Kultury*. Przygotowując do druku jego „Szpicę”, IL, Paryż 1989, korzystałam z niepełnego maszynopisu autorskiego złożonego w redakcji *Kultury*, do którego dodałam niektóre opowiadania drukowane uprzednio w periodykach emigracyjnych, głównie w miesięczniku *Kultura*. Ponieważ nie zachowała się strona tytułowa maszynopisu Haupta, tytuł „Szpica” został temu zbiorowi nadany.

Już po ukazaniu się tej książki zdołałam odwiedzić Stanford w trakcie krótkiego pobytu w Kalifornii. Dlatego zaledwie pobieżnie mogłam się zapoznać z archiwum Haupta. Znalazłam tam m.in. nieco nieogłoszonych opowiadań lub odmiennych wersji opublikowanych tekstów literackich. Z relacji syna pisarza, Arthura Haupta, wynika, że miał on zwyczaj wielokrotnego przepisywania wersji roboczych i cyzelowania zdań. Pierwsza wersja opowieści powstawała zazwyczaj szybko, natomiast obróbka tekstu ciągnęła się miesiącami, a nawet latami.

Prócz tych nielicznych zresztą ineditów literackich, archiwum Zygmunta Haupta w Stanford zawiera sporo dokumentów (w tym papiery z wojska, zgodę na zawarcie ślubu z obywatelką amerykańską, zdjęcia rodzinne, wycinki prasowe dotyczące wystaw malarskich Haupta, fotografie i in.) oraz dość obfitą korespondencję. Natrafiałam m.in. na całość korespondencji Haupta z Jerzym Giedroyciem — pisarz zachował kopie swoich listów do redaktora *Kultury*. W jednym z pudeł znalazłam bodaj ostateczną redakcję zbioru opowiadań, które stanowią trzon tomu „Szpica”, z krótkim wstępem, który zginął lub nie był dołączony do maszynopisu przesłanego przez autora do redakcji *Kultury*.

Szczegółowe zapoznanie się z archiwum Zygmunta Haupta pozwoli na uzupełnienie ciągle skromnej wiedzy o życiu i twórczości

pisarza, na nowo odkrytego po latach. Wymaga to jednak dłuższego pobytu w Stanford, co niestety nie było moim udziałem. Z utworów, które odnalazłam w tym archiwum, pochodzi krótkie opowiadanie „Cyrk”, ogłoszone w *Kulturze* nr 6/513 z 1990 r.

Z ineditów tylko jeden ma charakter skończonej pracy i tytuł — „Ulan Czuchnowski”. Nawet w tym krótkim tekście, jeszcze nie do końca oczyszczonym stylistycznie, dostrzec można całą maestrię opisu. Jak już dawno zauważył Paweł Hostowiec, proza Haupta „jedynie rozmiarem przypomina opowiadania” — są to raczej obrazy, a związki między malarstwem a literaturą wręcz narzucają się czytelnikowi. Opis przedmiotu — czy to lampy gazowej w przedziale kolejowym, czy rośliny polnej — jest szczegółowy i plastyczny, poparty wiedzą oraz obserwacją. Z tego mikrokosmosu rzeczy sporządza Haupt rodzaj literackiego inwentarza Galicji Wschodniej, nakładając na tamten krajobraz kolejne krajobrazy doświadczone i zapamiętane z fotograficzną precyzją.

R.G.

Ulan Czuchnowski

Nieskończenie długo ciągną się godziny zimowych nocy. Przez niedomknięte wrota stajni, w pogodne, bezchmurne niebo grudniowe, w gwiazdozbiory wirujące na granatowych jego polach patrzy i kontempluje je ulan Czuchnowski.

Inaczej i ubogo nazywa je kosmogonia ludowa. Ulan Czuchnowski nie wie, że „Kosiarze”, gwiazdy kolejno ukazujące się zza widnokręgu, są świetnym Pasem Oriona, a rzadkie „Sito” ma inną, barokową nazwę Plejad. Konie parskają i dzwonią łańcuchami o żłoby jak skrzypce rezonujące, przestępują głucho podkowami w słomą oplecionych boksach i przenikliwie ćwierka świerszcz, przebudzony ciepłem stajni.

Gwiazdy urzekły dziś ulana Czuchnowskiego. W codziennym trudzie żołnierza, wśród zgrzebeł, rzemieni, między ostrym, zimowym wichrem ujeżdżalni, twardym łóżkiem izby żołnierskiej, przez pustkę pogranicza i twardą służbę na placówce drąży się jego myśl.

Jeżeli przegrodzić życie człowieka banalnymi faktami urodzin, opuszczonego dzieciństwa, szarej, zagonionej do pracy młodości, przedwczesnej, zepsutej dojrzałości, życie obracające się między dniówkami, zepsuciem i nędzą przedmieścia, pogranicza

wielkiego miasta i wsi, między ubogą radością dni świątecznych i sobót zakropionych lichą wódką, to życie ulana Czuchnowskiego było nijakie. Ulan Czuchnowski powoli dorabiał się własnego światopoglądu. W poborowej wiosnie życia był już spopielaty i spłowiwały pod nalotem młodzieńczego zgorzknienia i cynizmu jak bezlistne drzewko w podwórzu kamienic przedmieścia.

Naturalnie w szwadronie, pod twardą pięścią wachmistrza Rojka, między rzędami siodła, w rytmicznie pulsującym życiu wojskowym, życiu które absorbuje i wchłania całego człowieka samolubnie i bezapelacyjnie, ulan Czuchnowski nie miał czasu na swoje filozoficzne dygresje. Czerwone wschody słońca, zadeszczone horyzonty jesiennych dni, krwawe sęki sosnowej podłogi, strażnicy KOP-u, muzyka popularna radia i ciężki kożuch wartowniczy opłatały jego życie i przybierały w nowość niefrapującą i obojętną dla jego wzwyż wzmiankowanego cynizmu. A jednak...

Była jedna rzecz, sytuacja szczególna, która zmieniała i przeinaczała ulana Czuchnowskiego radykalnie. Była to służba na granicy.

Przed nim szedł rozprawdzający, ospowaty kapral Tymiański. W grubym płaszczu wydawał się mimo średniego wzrostu wyższy. Może dopełniały to grube rysy jego twarzy, okuty daszek ciężkiej czapy kopisty. Niósł na rzemieniu pod pachą Mauzera z nasadzonym bagnietem, z matowo błyszczącymi częściami zamka i wyślizganym drzewem ujęcia pistoletowego. Harmonijkowate fałdy i przeguby cholew ginęły pod połam płaszczu.

Ulan Czuchnowski szedł za nim w trop, oglądając się w prawo i lewo. Przechodziło się podmokłą łąką, potem kawałek dróżką w świerkowym lesie, gdzie ślisko było od spadłych szpilek. Pod wiadomym drzewem czerniła się postać wartownika w płaszczu ściśniętym mocno w pasie i fantastycznie dużych buciorach. Kabin trzymał między kolanami i ocierał krople zwisające ze zsiniałego nosa.

Kapral odprawiał normalny rytuał zmiany, ulan Czuchnowski niecierpliwł się do samotności. Jeszcze trzask oddalających się kroków po spadłych gałęziach drzew i zapadało się w las.

Las wyrastał wprost z mokradeł. Smukłe piękne trzony drzew wystrzeliwały po kilka z rozlewisk wody. Olchy czerwieniły się soczyście spod kory, brzozy cienkie jak w tundrze wydawały się przy nich dziwnie suche, wisząc miotłami guzowatych długich gałązek. Bardzo w lewo jaśniała łąka z zapłutą przez deszcz kopicą siana.

Jakieś niewiadome koleiny, jakby Wielki Wóz w pochmurne noce przetaczał się między lasami, znaczyły zarośniętą linię. Dojmujący chłód i wilgoć były jakieś rzeźwe i przyjemne. Masy spadłych liści tworzyły wilgotny i miękki materac pod nogami. Ostra trawa bagienna rosła pękami. Chyliły się miotły długich traw z wywianym już nasieniem i żółto połyskiwały nad czarną wodą. W lesie było tak cicho, że furkot jakiegoś małego ptaszka wydawał się jak łopotanie skrzydeł orła. Daleko na łące polatywały sroki.

Kiedy się stoi na takiej wysuniętej placówce, chwilami z niewiadomej części lasu dochodzą odgłosy, których rodzaju i powodu nie można się dopatrzeć. Wydaje się że jakiś indywidualny potwór przeciska się między drzewami, albo że czyjaś ręka porozwieszała wśród drzew ich gałęzi harfy eolskie, które trąca nadlatujący wiatr. Albo monotony skrzyp obracanego toczydła, na którym Parki ostrzą swe nożyce. Drzewa stoją nagię i nieme. Trzymany na „gotuj!” karabin wędruje pod pachę, nie można go utrzymać długo w męczącym chwycie — i marzenia ogarniają ułana.

Nagle! — spóźnione przebudzenie i — cztery sarny, szare i płaskie, jak wycięte z blachy, przeskoczyły przez linię.

Na patrol na wybrzeżu szło się zawsze wtedy, kiedy wypadały imieniny kolegi, albo kiedy najniespodziewaniej zaczynały boleć zęby trzonowe, albo kiedy z wydm piaszczystych północno-wschodni, zimny wiatr porywał zacinające jak bicz flagi kurzawy.

Dwucalowa warstwa śniegu okrywającego wzgórze na horyzoncie nie dochodziła do morza. Mały, trzywierzchołkowy Ford, huśtał się na wybojach, po zjechaniu z asfaltowej szosy. Ruda trawa trzymała się uparcie jałowego gruntu. Długie kałuże pokryte były lodem, który pod kołami samochodu łupał się w tafle jak szyby wystawowe.

Podjeżdżało się pod wydmy, gdzie dalej nie było już przejazdu i patrol zbierał się, automatycznie odwracając się tyłem do siekającego wichru. Potem brnęło się pod górę i z jej grzbietu odkrywało się nagle morze, jakby ktoś nagle uchylił pokrywę gigantycznego kotła. Szum i huk przyływu należy już do natury rzeczy i jest monotonnym tłem, jednym drganiem dźwięków, podtrzymywanym przez szturmujące fale na dziesiątkach mil wybrzeża.

Idzie się wzdłuż zasieków z drutów kolczastych wydeptaną w piasku ścieżką i zapada się nagle w schronie, który magazynuje w sobie jeszcze ciepło ludzi, których się luzowało przed chwilą.

Czuchnowski znajduje znany przełaz i schodzi na wilgotny, wyszorowany piasek wybrzeża. Blask słońca, przebijający przez indygowego koloru chmury, stokrotnie powtórzony przez ruchliwe morze, utorował sobie drogę na wprost i przedłużył się w schlastanym przez fale piasku plaży. Na tej srebrzystej drodze urządzają swoje milczące *meetingi* mewy, nurki, kormorany. Te *sea-gulls* obojętnie raczej niżeli nieprzychylnie znoszą obecność obcego człowieka.

Czasem długie dymy rozwleka na horyzoncie leniwy, jak z kartonu wycięty transportowiec, czasem wiatr doniesie warkot silników wodnopławca, który przekreśli srebrne *halo* światła, przesączające się w miejscu gdzie winno być słońce.

Czuchnowski odnajduje się w swym świecie samotności.

W tym czasie okrąg świata, jak toczydło na którym Parki ostrzą swe nożyce, obrócił się setki razy. Odmieniały się wschody i zachody i przyływ jak olbrzymie westchnienie morza zalewał wybrzeża łądów.

Przyszła chwila, kiedy Czuchnowski, wraz z innymi, przekraczał granicę. Był wtedy wieczór i zapamiętał sobie, jak wzdłuż stojącej kolumny wozów szedł tabun koni. Jakaś stadnina państwowa przeprowadzała przez granicę remonty. Młode konie, zakurzone po grzywy, w zmęczonym chrapaniu, stłoczone i spotniałe od długiej wędrowki szły w tętnięcie i szczękę podków. Ta stłoczona kolumna dwulatków, żyjąca metafora, nie łagodził widok jej goryczy i żali ułana. Nie broniła go warstwa izolacyjna cynizmu o którym wżwyzł wmiankowaliśmy. Najbardziej może sprzyjało mu zmęczenie.

A potem właściwie nie mógł się nawet bardzo uskarżać. Ludzie mijani byli ludźmi zwykłymi, a dla ułana byli takimi, jakimi kazał im być sentyment, dobre czy złe trawienie, samopoczucie. Ludzie obcy. Trzymał się swoich. Razem z nimi znosił złe, razem z nimi dążył do dobrego.

W ten sposób dojrzał nawet do starożytnej Caledonii czyli Szkocji. I tutaj, po kryjomu, na marginesie swego młodocianego cynizmu, który pozostał mu z nielicznych drobiazgów przyniesionych aż tu z kraju, przebudowywał swój światopogląd.

Jeżeli miał kiedyś marzenia, a w to przychodzi nam wątpić, od czasu jak dotrzywaliśmy mu towarzystwa na samotnej placówce nad wschodnią granicą, to obcując z zimnymi i rzeczowymi mieszkańcami Caledonii, potrafił wyczuć ich pogardę dla jakichkolwiek *wishful thinking*. Mógł mu ten czy ów ze współrodaków zgorzkniały czy zniecierpliwiony nagadać o tym, że jest wykolejńcem, że służy rzeczy, która jest celem sama w sobie,

że jest narzędziem reakcji, że jest więźniem paradoksu, że podczas gdy on służy inni nie, że jest symbolem, że to psu na buty, że tysiące innych rzeczy jakie ślina demagogii, słabeuszostwa albo po prostu gadulstwa przynosi ludziom na język. Tu jego młodociany cynizm, źródło goryczy i pesymizmu, znajdował przyjazną atmosferę. Ale jak wtedy, tak i teraz nie potrafiło to mu odebrać jednej rzeczy.

Jak wtedy, kiedy w grudniowe noce szedł na służbę na granicy tak teraz, idąc piaskiem wybrzeża zmywanym przez słońca wodę, odnajdował najtajniejszą satysfakcję, z jakiej nie zwierzyłyby się nawet największemu przyjacielowi. Stał na straży między dobrem i złem. Stał w tej służbie najbardziej bezinteresownie. Wiedział, że przestoi w ten sposób najpiękniejszą swą młodość, że powróci do nędzy przedmieścia, skąd wyszedł, jeżeli los każe mu przetrwać, że nie dosłuży się korzyści, że jednak danym mu jest pilnować granicy światła i ciemności. Ta służba najtwardsza i najbardziej odległa od patosu, ta służba najbardziej bezinteresowna była mu nagrodą, jaką nie zamieniłby się z nikim.

Była już noc. Chmury niepostrzeżenie zrzedły i poprzez ich welon świeciła nad nim konstelacja Oriona i drżały gwiazdy w znaku Plejad.

Pisane w latach 1940-44

Zygmunt HAUPT

WAWEL

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA

w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Archiwum polityczne

Widziane z Brukseli

SPÓŹNIONY WIELBŁĄD MAHOMETA

Motto:

Mahomet miał kilka ulubionych wielbłądów. Najszybszym był Al Adha, który w trakcie ucieczki proroka przebył całą trasę z Mekki do Jerozolimy w czterech susach, co zapewniło mu po śmierci miejsce w niebie, razem z oślicą Balaama, psem „siedmiu śpiących z Efezu”...

(Władysław Kopaliński, „Słownik mitów i tradycji kultury”).

Prolog:

„Wasi arabscy sojusznicy was porzucą, oni nie będą zabijać innych Arabów. Wasz sojusz się rozleci i zagubi w piaskach pustyni. Nie macie pojęcia o tym, czym jest pustynia, nigdy bowiem nie siedzieliście na koniu ani na wielbłądzie”. (Tarik Aziz, minister spraw zagranicznych Iraku do Jamesa Bakera, sekretarza Stanu USA, 9 stycznia 1991, w Genewie).

Kopaliński ma naturalnie rację, to Tarik Aziz się mylił. Wielbłądy jako sposób i instrument załatwiania skomplikowanych kwestii międzynarodowych funkcjonują już tylko w niebie, a i to nie jest pewne. Na ziemi zaś decydują — jak się okazało — satelity, samoloty i rakiety.

Marszałek Dimitri Jazow świetnie to rozumie. Nie bez powodu został już dwa razy mianowany ministrem obrony ZSSR. Oba razy w dziwnej atmosferze napięcia i kryzysu. I oba razy „w temacie” wielbłąda, to znaczy niesprawności sowieckiego systemu obrony przeciwlotniczej.

Pierwszy raz stało się tak na tle przygody młodego pilota, wówczas jeszcze zachodniemieckiego, Mathiasa Rusta, który w maju 1987 roku ośmieszył sowiecką obronę przeciwlotniczą, lądując bezkarnie na pokładzie małej Cesny na placu Czerwonym pod oknami Kremļa.

Gorbaczow, jak pamiętamy, natychmiast skorzystał z okazji aby, pod pretekstem kompromitującej klapy systemu obronnego przestrzeni powietrznej ZSSR, zdekapitować ministerstwo obrony i zastąpić zniedołężniałego breżniewowca, marszałka Sokolowa, ściągniętym z dalekowschodnich rubieży imperium, wówczas jeszcze generałem Jazowem.

Drugi raz, już marszałek, Jazow został ministrem obrony ZSSR w dniu końca wojny nad Zatoką Perską. Z tym tylko, że mianowany został na nowo ministrem nie z powodu, a mimo kompromitującej klapy sowieckiego systemu obrony przeciwlotniczej. Nie chodziło, co prawda, o powietrzną przestrzeń sowiecką a iracką, ale *sur le fond* różnica jest niewielka: obrona była nieskuteczna, kłapa całkowita.

Marszałek Jazow starał się ulepszyć dane, ale nie pomniejszał rozmiaru afery. Według marszałka, sowiecki system obrony przeciwlotniczej zainstalowany w Iraku, składający się z rozmaitego typu słynnych z Wietnamu radarowych rakiet SAM, stracił 93 maszyny koalicji antyirackiej. Tylko, po pierwsze, nie wiadomo skąd marszałek wziął tę liczbę, albowiem według Bagdadu straconych maszyn było ok. 500, a według koalicji tylko 42, a i z tego dwie trzecie spadły nie z powodu SAM-ów, i po drugie, nawet gdyby Jazow się nie mylił, to i tak wynik byłby kompromitujący, jeżeli zważyć, że samoloty koalicji dokonały ponad 100.000 lotów nad terenem bronionym przez SAM-y.

Zresztą Jazow sam nie potraktował poważnie swoich danych. Ani on, ani inni generałowie sowieccy, cywile zresztą też nie, nie ukrywali bowiem zasadniczego wniosku: należy zbadać bardzo troskliwie wszystkie okoliczności awantury arabskiej i wysnuć z niej bardzo daleko idące wnioski, nie tylko przeciwlotnicze, a nawet nie tylko wojskowe. Sprawa wojny z Irakiem jest bowiem także wewnętrzzną sprawą Związku Sowieckiego.

1. DYPLOMACI Z TACA

Jaki jest sowiecki bilans wojny z Irakiem? Powiedzmy w skrócie, że jest on — jak mawiał ksiądz Pirożyński — moralnie i politycznie dwuznaczny. Z jednej strony Gorbaczow znowu pokazał, że umie wypłytywać się z bardzo nawet gęstych sieci dyplomatycznych. Dokonał tego drogą wielostopniowej operacji.

a) Ukarac zwycięstwo

Po pierwsze więc, podjął misterną próbę wyrwania Amerykanom zwycięstwa, ratowania Iraku i Saddama. To mogła być pokazowa lekcja taktyki dyplomatycznej. Że się nie całkiem udało, to nie wina Gorbaczowa. On próbował wszystkiego. Interweniując tam, gdzie dwóch się kłóciło, w odpowiednim momencie i w odpowiedniej formie, Gorbaczowowi udało się przekształcić, na krótko, ale wyraźnie, Moskwę, stolicę zbankrutowanego kraju, symbol wszystkich klęsk, królestwo pustych półek i wypalonych idei, w centrum światowej polityki. Udało mu się także, też na krótko, ale spektakularnie, usadzić w prestiżowym fotelu pośrednika między wojną a pokojem. Chciał, aby frak laureata pokojowej Nagrody Nobla, mocno splamiony krwią w Wilnie i Rydze, a przedtem w Baku czy Tyflisie, nadawał się znowu do użycia. Może się jeszcze przydać, chodzą bowiem słuchy, że Gorbaczow chciałby się jednak udać do Oslo, aby osobiście odebrać prestiżowe insygnia.

Saddam Hussein, albo ci, którzy przemawiali w jego imieniu, nie krępowali się. Nie wiem, czy Kreml znał dokładnie od początku iracki scenariusz i tylko odgrywał przez kilka dni rolę naiwnej uwiedzionej, czy też został, tak jak inni, zaskoczony kolejnymi pomysłami Saddama. Wszyscy rzecznicy Moskwy bili się bowiem i ciągle biją w piersi przysięgając, że w żadnym wypadku i w żadnym momencie dyplomacja sowiecka nie wyszła poza granice wytyczone przez literę i ducha rezolucji Rady Bezpieczeństwa ONZ. Ale, przy najlepszej woli, trudno to brać poważnie.

Przecież od razu, od pierwszego (12 lutego 1991) komunikatu Saddama z aluzją do ewentualnego wycofania się z Kuwejtu, mgła się podniosła. Kiedy Irak leżał już prawie w ruinie, atak lądowy był nieunikniony, to Saddam ogłosił, że łaskawie godzi się na współpracę ze Związkiem Sowieckim w osiągnięciu pokojowego rozwiązania wszelkich problemów regionu, m.in. także wojny nad Zatoką Perską. Otóż, od pierwszych słów swojego komunikatu, z którego miało wynikać, że w związku z kolosalnym zwycięstwem Bagdadu nad koalicją niewiernych i zdrajców, Irak skłonny jest, pod wieloma oszołamiącymi warunkami, ewakuować Kuwejt, Saddam postawił Kreml przed lustrem. Saddam bowiem od razu, od pierwszego zdania uroczyście oznajmił, że wspaniałomyślna propozycja Iraku powstała, cytuję, w uznaniu inicjatywy ZSSR przekazanej przez wysłannika kierownictwa sowieckiego. Jeżeli słowa mają jeszcze jakiś sens, to znaczy to, że albo Saddam kłamał, a wtedy Moskwa powinna była natychmiast to zdementować, albo Saddam mówił

prawdę, a kłamała Moskwa. *Démarche* Iraku było bowiem absolutnie sprzeczne ze wszystkimi dwunastoma wówczas obowiązującymi rezolucjami ONZ i nie mogło powstać w uznaniu inicjatywy żadnego z państw, które, tak jak ZSSR, głosowały za rezolucjami ONZ. A na to przecież Saddam się powoływał.

Wspomniałem szerzej o tej manipulacji Saddama, bo od niej właściwie można zacząć poważnie analizować podwójną grę Moskwy w Zatoce Perskiej. Kilka zdań, a ile pytań? W świetle tej pierwszej pseudooferty Saddama, która ujawniła zasięg dyplomatycznej akcji Moskwy, wszystkie wątpliwości, które wymieniano przedtem w trybie warunkowym lub pytającym, nabrały od razu cech aktualności i wiarygodności.

Te na przykład, które dotyczyły obecności doradców sowieckich w Iraku już po ogłoszeniu ich całkowitego wycofania. Moskwa dementowała, ale fachowcy uśmiechali się dodając, że byłoby dziwne, gdyby eksperci sowieccy byli nieobecni na największym poligonie świata, gdzie weszły do akcji najbardziej wyszukane rodzaje broni sowieckiej i amerykańskiej. Jasne, my wiemy, że bronie te szykowane były na inne, europejskie główne, okazje, ale historia sprawiła, że to w Zatoce Perskiej zostały one pierwszy raz wypróbowane oko w oko, w że tak powiem, prawdziwych kostiumach, w naturalnym wymiarze, z ostrymi nabojami, z udziałem setek tysięcy, obecnie częściowo martwych statystów.

Dziś, po wszystkim, inaczej traktujemy opowieści o przechwyconych przez amerykański nasłuch rozmowach pilotów bojowych Iraku prowadzonych po... rosyjsku, chociaż normalnie lotnicy iraccy porozumiewają się po arabsku albo angielsku. Dokąd zmierzał statek sowiecki wypełniony bronią i czołgami, przyłapany przez blokadę niedaleko Akaby? Jak to, zdziwiła się Moskwa, przeznaczony był naturalnie dla Jordanii. Otóż tak się składa, że Jordania nie miała ani jednej sztuki broni produkcji sowieckiej i nie potrzebowała wobec tego części zamiennych ani nowych, i że z drugiej strony to przez Jordanię wiódł jeden z głównych szlaków kontrabandy broni sowieckiej do zablokowanego Iraku. Rozwiały się dziś także wątpliwości, z czym i dokąd zmierzać mogła długa karawana ciężarówek sowieckich przyłapanych przez amerykańskiego satelitę na drodze wiodącej przez Iran do Iraku. Na pewno wieźli mleko w proszku....

Mniejsza o detale, ważne że Moskwa przystąpiła do ratowania Iraku od nieuchronnej i totalnej klęski. 18 lutego Gorbaczow lansuje pierwszy, a potem następny projekt natychmiastowego zawieszenia broni. Historia nabiera przyspieszenia. Zaczyna się wyścig Bush-Gorbaczow. 22 lutego Bush rzuca ultimatum. Saddam ma 24 godziny na kapitulację. „Pustynna burza” uderza na Irak. Resztę państwo znają...

b) *Saddam, connais pas*

Kiedy jednak okazało się, że nie powiodły się perfidne wysiłki sowieckie zmierzające do wyrwania Amerykanom zwycięstwa, to Gorbaczow dał od razu znać, że nic go z dyktatorem z Bagdadu nie łączy. Jewgienij Primakow, stary przyjaciel Saddama i specjalny emisariusz Gorbaczowa, człowiek, który niedawno jeszcze nas przekonywał, że trzeba za wszelką cenę ratować twarz Saddama, kiedy z tej twarzy nic już nie zostało, ujawnił najpierw w *Time* a potem w *Prawdzie* swoje notatki, z których wynika, że Saddam nigdy nie był człowiekiem godnym zaufania, że był głupi i uparty, i absolutnie nieobliczalny.

c) *Ratować co się da*

To prawda, ale trzeba było jednak ratować sowieckie interesy w Iraku i szerzej w świecie arabskim i muzułmańskim w ogóle. Irak, to była ostatnia szansa sowieckiej obecności w tej strefie świata. Korpus ekspedycyjny wysłany przez Gorbaczowa na front w Zatoce Perskiej liczył tylko jednego człowieka, i to wcale nie żołnierza, tegoż właśnie Primakowa, ale korzyści jakie Moskwa postanowiła uzyskać z tej jednoosobowej ekspedycji miały być większe niż gdyby wysłano tam kilka dywizji czarnych beretów, wstawionych zwycięską ofensywą na budynek telewizji w Wilnie.

Moskwie chodziło o uratowanie Iraku, albowiem, z punktu widzenia interesów Moskwy, z Saddamem lub bez, Irak powinien pozostać regionalną potęgą wojskową i przemysłową. To ostatni kraj arabski, na jaki ZSSR może jeszcze liczyć. Układ o przyjaźni z 1972 roku jest ciągle aktualny. Irak był najbliższym arabskim wojskowym partnerem ZSSR i najlepszym klientem jego przemysłu zbrojeniowego. Aby istniała niewielka choćby szansa, iżby tak mogło być i w przyszłości, Moskwa powinna była udowodnić, że potrafi prowadzić własną dyplomację prorabską, niezależną od linii amerykańskiej, odegrać widoczną i samodzielną rolę w próbach narzucenia przerwania ognia i ratowania Iraku od ostatecznego zniszczenia.

To paradoks, ale to dzięki klęsce sowieckiego przeciw Saddama Moskwa może swe pozycje uratować. Wobec Arabów i muzułmanów Moskwa może bowiem powołać się na fakt, że Związek Sowiecki był jedynym mocarstwem, które chciało uniemożliwić zwycięstwo wojskowe koalicji, że robił do ostatniej chwili wszystko, aby nie dopuścić do lądowego natarcia i wyparcia Saddama z pustyni, że Gorbaczow był tym jedynym białym

i północnym politykiem, który rzucił Saddamowi ostatnią deskę ratunku. Tylko on, Gorbaczow, ofiarował Saddamowi szansę wyjścia w tym sensie, w jaki jest to rozumiane w świecie arabskim.

Krótko mówiąc, Gorbaczow próbował wszystkiego. Długo po klapie wszystkich swych manewrów Gorbaczow pozostanie w wyobraźni Wschodu protektorem Arabów. Nie wszystkich Arabów naturalnie. To bardzo wrażliwy na cierpienia Saddama i jego poddanych Gorbaczow nie uronił nawet jednej łezki nad losem nie mniej poniżanych, gwałconych i mordowanych Arabów z Kuwejtu.

Że się to wszystko nie udało, mówi się trudno, ale nie można powiedzieć, że się nie starał. W ten sposób ZSSR chciał — i wcale nie wykluczone, że mu się to udało — zarezerwować sobie możliwie najlepsze miejsce przy stole, przy którym decydować się będzie powojenny geopolityczny i geostrategiczny układ sił na Środkowym Wschodzie, to znaczy w rejonie o zasadniczym znaczeniu wojskowym i gospodarczym. Byłoby to poważne osiągnięcie, jeżeli zważyć, że aż do chwili klęski Iraku ZSSR był właściwie w urzędzaniu tej części świata wykluczony i wydawało się, iż urządzającymi tutaj pokój będą wyłącznie Amerykanie i ich sojusznicy z wojny. Osiągnięcie tym poważniejsze, że chodzi o zmęczone, rozlatujące się imperium, które w wojnę o Zatokę Perską nie wniosło żadnych inwestycji i nie poniosło żadnych bezpośrednich strat, albowiem w żadnej formie i pod żadnym (uczciwym) względem nie brało udziału w walkach o ten nowy układ.

c) *Od razu z tacą*

No i najważniejsze. Gorbaczow, który nie wystrzelił ani jednego naboju, od razu zgłosił się z tacą i podłączył się do pochodu zwycięzców. Nic tak nie pomaga w powodzeniu jak sukces, nawet cudzy, pomyślał Kreml za Aleksandrem Dumas, w związku z czym, od razu po kapitulacji Saddama, usłyszeliśmy przewodniczącego Rady Najwyższej Łukianowa, proklamującego, że pokój nad Zatoką Perską to wielkie zwycięstwo polityki zagranicznej Gorbaczowa. Jego minister spraw zagranicznych, Biessmiertnik, przetłumaczył ten okrzyk na język polityczny. Stwierdził, że żaden kraj nie może sam oddzielnie rewindykować zwycięstwa, że zwycięstwo nad Irakiem jest historycznym precedensem zbiorowego sukcesu, jest w równym stopniu zasługą wojskowej akcji amerykańskiej co dyplomatycznej akcji Związku Sowieckiego, że potrzebna jest stabilizacja i system zbiorowego bezpieczeństwa, że Irak nie może być wykluczony z tworzenia

tego systemu i że jest rzeczą samą przez się zrozumiałą, iż Moskwa gotowa jest odegrać w tym dziele rolę, jaka przypada wielkiemu mocarstwu, to znaczy zająć swoje miejsce przy stole, między innymi z okazji wielkiej międzynarodowej konferencji na temat Bliskiego Wschodu, przy którym decydować się będą losy tego ciekawego rejonu świata.

II. HUMANIZM GENERALÓW

Ale dyplomacja to tylko jedna strona medalu, na dyplomacji sprawa się nie kończy. Podwójna gra jest stosunkowo łatwa na scenie międzynarodowej. Na scenie wewnętrznej trudniej jest wyciągać karty z rękawa. Klęska Iraku wpisana jest w wielki proces przemeblowania układu sił w Moskwie, którego ostatnia faza stała się wyraźna od razu po dymisji Edwarda Szewardnadze, byłego ministra spraw zagranicznych.

I tu wracamy do marszałka Jazowa. Ze swojego punktu widzenia wojskowi sowieccy mają rację: Zatoką Perską groziła przekształceniem się w Berezynę generałów. Spójrzmy na szczegóły.

Zwycięstwo amerykańskie było totalne. W Zatoce Perskiej zanosi się na dłuższy, a nawet długi pobyt sił wojskowych USA. Geostrategicznie biorąc, kontrola amerykańska nad dostępem do ciepłych oceanów jest w Moskwie oceniana na tle faktu, iż od Pakistanu po Iran i Irak, poprzez Afganistan, pas muzułmańskich niestabilizowanych krajów graniczy z południowymi rejonami ZSSR, to znaczy z azjatyckimi republikami sowieckimi też muzułmańskimi, no i z szyckim Azerbejdżanem na Kaukazie. To niewesoła perspektywa.

Za pośrednictwem Iraku klęskę ponosi sztab sowiecki. W ciągu kilku lat przez Irak przewinęło się 50.000 sowieckich doradców, sprzedaż broni Irakowi przynosi 2 miliardy dolarów rocznie. Na nic więc tłumaczenia, że Irakijczycy nie chcieli czy nie umieli się bić: wojnę na pustyni przegrały strategia sowiecka — bo to na niej uczyli się dowódcy armii Saddama, sprzęt sowiecki — bo to Moskwa dostarczała ponad 80% uzbrojenia i wszystkie ponad 4.000 rozbitych czołgów, no i sprawność oficerów, bo w ogromnej większości wykształceni byli albo wprost w ZSSR, albo przez tak zwanych doradców sowieckich.

Argumenty te wykorzystywane będą głównie w nieuniknionej walce o budżet. Wyższość wojskowej technologii zachodniej użyta będzie naturalnie jako argument przeciw obcinaniu wydatków na sowieckie wojsko, choć to właśnie miało być jednym z zasadniczych elementów *pieriestrojki*.

Ale nie łudźmy się, to będzie walka pozorna. Głównym tere-

nem starcia będzie nie budżet, a polityka. Bitwa toczyć się będzie o pozycje i wpływy wojska na Kremlu. Z tego punktu widzenia Irak, podobnie jak przedtem Wilno czy Ryga, to tylko epizod w wielkim natarciu wojskowych na politykę wewnętrzną i na ostatni stojący jeszcze filar *pieriestrojki*, to znaczy politykę zagraniczną Gorbaczowa.

a) Proza generała Filatowa

Nie wiem w jakim stopniu generał Wiktor Filatow jest reprezentatywny dla poglądów sowieckiej kasty wojskowej. Wadim Zagladin, jeden z doradców Gorbaczowa, z którym rozmawiałem w Brukseli, twierdzi, że Filatow to folklor i reprezentuje tylko siebie. Być może... Nie wiem zresztą, z jakich czynów wojennych słynie ten mocno udekorowany weteran wojny w Korei i Wietnamie. Ale znam sławę, jaką zdobył sobie jako redaktor naczelny miesięcznika sztabu generalnego poświęconego historii wojskowości. On mianowicie opublikował niedawno *Mein Kampf* Adolfa Hitlera i zamierza niedługo wydrukować pracę pod tytułem „Protokoły Mędrców Syjonu”.

Otóż tym razem generał Filatow sam wziął pióro do ręki. Jako reporter z pola walki dla najbardziej obskuranczej gazety, to znaczy *Sowieckiej Rossiji*. W ogniu wojny pojechał mianowicie do Bagdadu (za czyją zgodą?), skąd nadesłał reportaż pod tytułem „O tych, którzy przelewają cudzą krew”. Kilka godzin przed kapitulacją Saddama, zniszczeniem jego armii i poddaniem się ponad 150.000 jeńców Filatow zdążył jeszcze wydrukować artykuł, w którym słał brawurę żołnierzom irackim, zdolności organizacyjne generałów irackich i potępił żołnierzów amerykańskich jako barbarzyńców XX wieku.

Nie chodzi o opisy sukcesów wojska irackiego, chodzi o politykę. Filatow mianowicie proponuje nową tezę. To nie Saddam jest winny, pisze generał Filatow. Winni są ci, którzy komfortowo zainstalowani w fotelach, podnieśli rękę głosując za zniszczeniem narodu irackiego, za katastrofą ekologiczną, za ruiną gospodarczą wielu krajów i za interesami imperialistycznymi Stanów Zjednoczonych, które nie mają niczego wspólnego z uniwersalnymi wartościami humanizmu.

A kto tak głosował? Czyja polityka kazała podnosić rękę w komfortowym fotelu? Wiadomo, najpierw Szewardnadze, a potem sam szef. Nie wiem, powtarzam, w jakim stopniu Filatow reprezentuje myślenie kierownictwa wojska, ale kilka uwag się narzuca.

b) Trzy razy nie

Po pierwsze, Filatow nie jest sam. Jazow i wojskowi na kierowniczych stanowiskach w armii muszą zachowywać ostrożność, ale inni się nie krępują. Nawet marszałek Achromiejew, doradca Gorbaczowa, nie mówiąc już o pułkownikach Alsknisie czy Petruszenko z osławionego prawicowego ugrupowania Sojuz, manifestują otwarcie swą sympatię dla Iraku, bo to aktualne, ale w istocie atakują całe tzw. nowe myślenie dyplomacji Gorbaczowa. Alsknis subtelnie zauważył, że właśnie wali się ostatni mit *pieriestrojki*, mit jej nowej polityki zagranicznej.

Po drugie, choć więc ataki na politykę Gorbaczowa są znane, to nigdy jeszcze żaden generał nie posunął się tak daleko jak Filatow. Jego reportaż, żeby go tak nazwać, wart jest przeczytania. Słownik i idee pochodzą z czasów zimnej wojny. Są w duchu sloganów, jakie ujrzyć można było w czasie niedawnej manifestacji wojskowej w Moskwie, gdzie niektóre transparenty proklamowały: „Nigdy nie prowadziliśmy wojny z Arabami. Mamy z nimi wspólnego wroga, to znaczy syjonizm”.

Po trzecie, atak Filatowa jest wpisany w nowy etap nastrojów w wojsku. Cechuje je niewątpliwie zaostrenie kursu. Kiedyś ataki wojskowych, np. generała Nakaszowa, też zresztą przyjaciela Iraku i Saddama, dotyczyły wojskowych aspektów sytuacji, na przykład utraty strategicznych pozycji w Europie wschodniej. Dziś biją wprost w politykę. Gen. Filatow w tych, którzy podnieśli rękę, aby głosować w ONZ razem z Amerykanami; gen. Dubinin w Polsce w tych, którzy zmuszają go do poniżającej ewakuacji z terytoriów byłych satelitów.

c) W obronie humanizmu

Nagrodę roku otrzyma jednak generał Łobow, były szef byłego sztabu generalnego byłego Paktu Warszawskiego. Generał Łobow był niedawno w Brukseli, gdzie bardzo się gniewał na tych, którzy oczerniają jego były pakt. Generał Łobow mianowicie słał, cytując humanitarną misję z honorem wypełnioną przez Pakt Warszawski. W Brukseli natychmiast się domyślono, że generał Łobow miał na myśli humanizm operacji w roku 1956 w Budapeszcie, w 1968 w Pradze i z lat 1980 i 81 wokół i na terenie Polski.

Zauważono także, iż w swoim reportażu z Bagdadu generał Filatow również użył słowa humanizm. Widocznie, pomyślano, to taki zwyczaj i ulubione słowo sowieckich generałów. Generał Filatow powinien więc zaangażować generała Łobowa do pracy w swojej redakcji. Jest on już chyba bezrobotny.

III. ŚLISKIE PASO DOBLE

Naturalnie, rola Gorbaczowa w bliskowschodnim przedstawieniu zapewne nie wystarczy, aby go całkowicie zabezpieczyć przed intrygami w kremlowskim karawanseraju. Być może, choć i to nie jest pewne. Uda mu się na jakiś czas, dłuższy może (ale co to znaczy dłuższy w jego sytuacji?) odłożyć chwilę prawdziwej i groźnej próby sił.

I tu dochodzimy do sedna. Operacja pod tytułem „wielbłąd Saddama” nie była dla Gorbaczowa bez ryzyka. Według zgodnych informacji z kilku źródeł, kiedy Bush wyrażał się z uznaniem o „pokojowych” inicjatywach Gorbaczowa, to po prostu robił dobrą, no powiedzmy nie najgorszą minę do bardzo złej gry. Według tej wersji, a choć smutna to wydaje się ona przekonywująca, pokojowy manewr Gorbaczowa stanowił zaskoczenie dla Waszyngtonu. Nikt się go tam nie spodziewał.

Zdaniem wielu fachowców Gorbaczow prowadził podwójną grę i podwójną buchalterię dyplomatyczną. Mniejsza w tej chwili o rozpaczliwy wniosek z faktu, iż mimo ogromnych funduszy zainwestowanych w CIA, można dziś jeszcze w prosty sposób i w tak ważnej sprawie Waszyngton zaskoczyć. Ważne natomiast, że przedstawienie planu Gorbaczowa jako alternatywy do całej wojskowej i dyplomatycznej strategii Busha, jako sowieckiej próby pozbawienia prezydenta USA prawdziwego zwycięstwa nad Irakiem, próby uniknięcia załamania wojskowej maszyny Iraku i likwidacji szefa gangu, zmusiło chyba wówczas Biały Dom do nagłej zmiany planów i do pociągnięć które nie figurowały zapewne w podstawowej wersji amerykańskiego *Kriegsspiel*.

Toutes proportions gardées inicjatywa Gorbaczowa równała się propozycji nowego Monachium. Historyczne analogie są zawodne, ale jak zareagowałby Polacy, gdyby w 1944 roku Szwecja czy Szwajcaria zaproponowały, aby w zamian za wycofanie się Hitlera do granic Rzeszy z 1939 roku, świat pozostawił Hitlera u władzy, wymazał zniszczenie Warszawy, Oświęcim i eksterminację Żydów?

Pytanie teraz, czy się to Gorbaczowowi opłaci? Co okaże się bardziej intratne z jego punktu widzenia: poprawa stosunków z tak zmienionym światem arabskim czy też pogorszenie stosunków ze Stanami Zjednoczonymi?

a) Gorbaczow first

W chwili, kiedy piszę te słowa, na dokładną odpowiedź jest za wcześnie, ale są trzy szkoły myślenia.

Pierwsza jest, nazwijmy ją z grubsza, sowiecka, choć jest też

wielu fachowców zachodnich, którzy myślą podobnie. Wychodzi ona z założenia, że z punktu widzenia interesów Zachodu, ryzyko gorbaczowowskiej podwójnej gry jest raczej ograniczone. Według tej szkoły Gorbaczow zasługuje na przyznanie mu i utrzymanie wobec niego klauzuli domniemania niewinności. Nikt tak przecież nie rozbił komunizmu jak właśnie Gorbaczow.

Próba zbiccia kapitału na konflikcie arabskim przez Gorbaczowa została w tej wersji wymuszona przez wojskowych. Nie powinna więc stanowić wystarczającego dowodu dla przekonania Zachodu o niepodważalnym znaczeniu jego obecności u steru ZSSR i jego kontroli atomowego guzika na Kremlu.

Stąd także tolerancja wobec hucpy Gorbaczowa, który posunął się do dania, przy okazji konfliktu arabskiego, Zachodowi do zrozumienia, że, mówiąc po angielsku, moskiewska *nuisance value*, to znaczy zdolność szkodzenia i komplikowania dyplomatycznego porządku świata jest daleka od wyczerpania. Że, inaczej mówiąc, zasięg jego podwójnej gry wobec Zachodu zależy jest między innymi od stopnia zainteresowania się Zachodu sprawami na przykład Bałtów.

Nie jest to rozumowanie lekkomyślne ani bezzasadne. Po styczniowych zajęciach w Wilnie i Rydze wspólnota europejska zawiesiła prace nad uruchomieniem wielkiego programu pomocy żywnościowej i technicznej dla ZSSR. W miesiąc później, już po podjęciu proirackiej i antyamerykańskiej ratowniczej akcji Gorbaczowa w Zatoce Perskiej, wystarczyła godzinna rozmówka trzech ministrów spraw zagranicznych wspólnoty (tzw. trójka, czyli Włochy, Luksemburg i Holandia: były, aktualny i przyszły przewodniczący EWG) z Gorbaczowem, aby ten program natychmiast na nowo uruchomić.

Cynizm, *real* polityka? Naturalnie, ale także logika dogmatu, że Zachód nie powinien zrobić niczego, co mogłoby zaszkodzić niezastąpionemu Gorbaczowowi. Niezastąpionemu w czym?

b) Interes first

I to jest właśnie drugi rozdział tego rozumowania. Chodzi tu o przekonanie, że współpraca, albo przynajmniej nieprzeszkadzanie czy nieszkodzenie przez Związek Sowiecki, gwarantowane właśnie, częściowo choćby, przez obecność Gorbaczowa, będą niezbędne przy wygrananiu pokoju, to znaczy przy regulowaniu innych wielkich problemów Wschodu, w terenie lub w ONZ. W tym rejonie świata, nie tylko zresztą w tym, zwycięstwo polityczne jest bowiem równie ważne co wojskowe, ale z reguły jest trudniejsze.

Przerwanie ognia nad Zatoką Perską było jak gość zaproszo-

ny na weekend, który przyjechał w czwartek, za wcześniej, kiedy pokój jest nieposprzątany, gospodarze są w pracy i wychodzą na wieczór. Przyspieszony presją Moskwy koniec działań sprawił, że długa lista spraw do załatwienia wyszła nagle, za wcześniej, z fazy obietnic do fazy realizacji.

Bush, jak pamiętamy, odrzucił wszelkie propozycje Saddama łączenia sprawy wyzwolenia Kuwejtu z innymi rozdziałami epopei Bliskiego Wschodu, a przede wszystkim ze sprawą palestyńską. Ale Bush wiedział, że tych spraw odłączyć się nie da i obiecał, że jak tylko skończy z Saddamem, to weźmie się za wszystkie inne sprawy. A są one trudniejsze niż eksploatacja pola naftowego zwanego Kuwejtem.

Zbiorowe bezpieczeństwo

Łatwo powiedzieć: zrobimy bliskowschodnie Helsinki. Każdy to popiera, ale nikt nie wie jak to zrobić. USA czy Anglia chcą jak najszybciej wycofać swe wojska. No i co potem? Muszą w jakiś sposób zostać na morzu i w bazach lotniczych, inaczej cała wojna okaże się na nic. Stratedzy wspominają o strefach zdemilitaryzowanych i o arabskich siłach nadzorujących granice. W rejonie świata, gdzie wszystkie granice są sztuczne i żadna granica nie jest powszechnie uznana, to zwyczajne mrzonki. Siły nadzorujące muszą być właśnie spoza rejonu.

Optymiści powiadają, że ostatnia wojna będzie miała kolosalny wpływ odstrasżający i że każdy dyktator *in spe* teraz się dwa razy zastanowi, zanim uderzy.

Pesymiści powiadają, że dyktatorów cechuje niechęć do zastanawiania się i że gdyby się zastanawiali, to nie byłiby dyktatorami. Spodziewać się więc należy wszystkiego najgorszego niedługo po ewakuacji wojsk koalicji.

Realiści zaś powiadają, że katastrofy będą tu nieuniknione tak długo, jak długo rejon będzie podzielony na bogatych feudałów i biednych fanatyków i jak długo Arabowie nie nauczą się żyć w demokracji. Tylko kto ma zaproponować demokrację i podział bogactw: feudałowie z Saudii czy Omanu? Prezydent Syrii, opiekun terroryzmu światowego i okupant Libanu? Prezydent Algieru, gdzie mniej więcej demokratyczne wybory doprowadziły do władzy (na razie samorządowej) integrystów muzułmańskich? (Polecam *à propos* lekturę najlepszego artykułu o arabskich problemach w *Le Monde* z 7 marca 1991 pióra Gilles Kepela, autora także znakomitej książki o problemach islamu). I jak długo fabrykanci broni będą sprzedawać sprzęt do zabijania się i jednym i drugim. A na razie nikt nie tylko nie wymyślił, ale nawet nie zaproponował wojennego embargo. Cała reszta to bajki.

Arabowie i Izrael

Prasa amerykańska uważa, że po tej wojnie tzw. umiarkowane kraje arabskie podejść do Izraela z większym zrozumieniem. Tylko co znaczy umiarkowane? Dla kogo tak, a dla kogo nie? Francja i ZSSR nadal upierają się przy międzynarodowej konferencji pokojowej. Izrael jest jej zdecydowanie przeciwny. Waszyngton proponuje rozmowy wprost między państwami arabskimi a Izraelem. Coś w rodzaju Camp David i umowy egipsko-izraelskiej. Ale Izrael nie uważa, aby dziś model Camp David, terytoria w zamian za pokój, nadawał się do ogólnego powielenia. Czy ktoś pamięta, że kraje arabskie są w stanie wojny z Izraelem od... 1948 roku? Dlaczego nikt z tych, którzy ganią nieustępliwość Izraela nie przypomina, że wszystkie rezolucje ONZ w sprawie palestyńskiej domagają się najpierw uznania państwa Izrael, jego prawa do istnienia w bezpiecznych i uznanych granicach? Czy ktoś może wymienić choćby jedno państwo arabskie, które jest skłonne dziś się pod tym podpisać?

Palestyna

Jest to kwestia numer jeden, matka, jakby powiedział Saddam, wszystkich problemów. Jest to rana, bez zagojenia której Bliski i Środkowy Wschód będzie nadal krwawić. Generalne poparcie Arafata i Organizacji Wyzwolenia Palestyny dla Saddama odrzuciły *ad calendas graecas* wszelkie szanse (jeżeli w ogóle istniały) kontaktu Izraela z obecnym kierownictwem OWP. Ogólna radość Palestyńczyków z Cisjordanii czy Gazy przy każdym SCUD-zie walącym się na Izrael umocniła przeciwników wszelkich ustępstw terytorialnych, w tym nawet zwolenników masowego wysiedlenia Palestyńczyków, i wpędziła resztki izraelskich zwolenników dialogu z OWP w prawdziwe podziemie. *Time* relacjonuje wojnę w palestyńskiej wersji, jaką jego reporter zanotował w Gazie: SCUD uderzył w lotnisko w Tel-Awivie zabijając 400 sowieckich syjonistów, inny SCUD zniszczył atomowy ośrodek w Dimonie, Amerykanie stracili 100.000 zabitych. Saddam musi zwyciężyć, bo ma tajną broń... Ta zdolność do negocjowania rzeczywistości wydaje się absurdalna, ale jest głęboko zakorzeniona w arabskiej mentalności i stale obecna w palestyńskiej retoryce. Bardziej realistyczny rozmówca *Time* powiedział, że Saddam odbuduje Irak i znowu podejmie próbę wyzwolenia Palestyny. O tym, że można by się dogadać z Izraelczykami, nie wspomniał ani jeden rozmówca amerykańskiego reportera.

Bush zapowiada konieczność kompromisów na Bliskim Wschodzie. Z kim? Bush uważa, że Arafat się zużył, że nie nadaje się już do niczego, że zraził do siebie nawet tych na Zachodzie, którzy się z nim jakoś liczyli. A Izrael miałby z nim negocjować? I uznać w tym bezkompromisowym sojuszniku Saddama prezydenta nowego państwa palestyńskiego, wykrojonego wzdłuż granic państwa izraelskiego?

Po to aby stawić czoła groźbie Saddama trzeba było koalicji 28 państw, strasznej wojny, dziesiątków tysięcy ofiar. I wynikiem tej hekatombi miałyby być utworzenie państwa z małym Saddamem na czele, instalującego swą stolicę po wschodniej stronie na nowo wybudowanego muru poprzez Jerozolimę?

Niektórzy powiadają, że trzeba zastąpić Arafata. Słusznie, ale kim, skoro on właśnie uniemożliwia terrorem wybory, które wysunęłyby jego następcę? Wojna zakończyła się zwycięstwem umiarkowanych Arabów, ale nie zmniejszyła przepaści między Palestyńczykami a Izraelem. Odwrotnie, niefuocność i, nie ma co się łudzić, nienawiść są większe niż przedtem.

America first

Ale jest także druga szkoła myślenia, która dopuszcza myśl, że Gorbaczow poszedł za daleko, że Bush mu tego nie wybaczy i że kiedy tylko sytuacja na to pozwoli, Waszyngton wystawi rachunek za sowiecką próbę krzyżowania amerykańskich planów doprowadzenia do trwałej stabilizacji nad Zatoką Perską. Dopóki amerykańscy *boys* ginęli w arabskich piaskach i dopóki Waszyngton uważa, że Gorbaczow jest nie do zastąpienia, Bush może tylko zacisnąć wargi. Ale kto oglądał na żywo owo słynne przemówienie Busha i widział jego twarz, kiedy na chwilę przed proklamowaniem ultimatum dziękował przez zęby za pośrednictwo Gorbaczowa, ten rozumiał, że miodowy miesiąc czy rok amerykańsko-sowiecki jest bliski wyczerpania.

Niektórzy w Waszyngtonie są przekonani, że na swojej proirackiej akcji Gorbaczow *per saldo* więcej stracił niż zyskał, że jeżeli chodzi o sowiecki *image* na Zachodzie, to skutki tej podwójnej gry okażą się na dłuższą metę gorsze niż nawet po masakrze w Wilnie. Uważają oni, że mija już czas zafascynowania Gorbaczowem w Waszyngtonie. Na razie Gorbaczow ciągle jest człowiekiem, który zwałił mur berliński i rozluźnił pancierz doktryny Breżniewa. Na razie także brak wyraźnej i interesującej personalnej alternatywy do Gorbaczowa nie pozwala na zdecydowaną zmianę kursu wobec ZSSR. Ale stosunek do Gorbaczowa jest dziś daleki od dawnych uniesień i uścisków, tym bardziej że jest on coraz wyraźniej (*vide* Zatoka Perska, ale i roz-

brojenie) zakładnikiem wojska i KGB, szefem coraz bardziej zbankrutowanej *pieriestrojki* i jest coraz mniej popularny i u siebie w kraju, i na świecie.

Stąd należy z powagą śledzić nowy typ refleksji w USA na temat stosunków z ZSSR. Nawet ci, którzy nie wydali jeszcze wyroku co do kierunku zmian w ZSSR i polityki Gorbaczowa, już jednak dochodzą do wniosku, że nie zawsze leży ona w interesie Stanów Zjednoczonych, że ZSSR to potęga o interesach kolidujących z interesami USA, że stosunki amerykańsko-sowieckie weszły, mówiąc językiem *real* polityki, w fazę „normalnej rywalizacji”.

Ci, którzy jeszcze niedawno proklamowali prawdziwy koniec zimnej wojny, a nawet w ogóle koniec historii czy ostateczne zwycięstwo wolnego rynku i demokracji, coraz szybciej wychodzą z uniesienia. W dyskusji na temat ostatnich wydarzeń w ZSSR jeden z proroków po-zimnowojennej euforii westchnął: „sceptycy mieli rację”.

To nie znaczy naturalnie, że już wracamy do zimnej wojny. Ale to znaczy, że nie ma jeszcze pokoju. Jak mi powiedziała przez telefon z Tel-Awivu Rysia T.: „Weszliśmy w okres normalny, to znaczy międzywojenny”.

IV. ROZUM DROŻEJE

W każdej wojnie, nawet najbardziej sprawiedliwej, jest za dużo zabitych. Każda bitwa to godzina prawdy, rozpad mitów. Ale nie każde zwycięstwo ratuje świat.

Świat uratować może tylko rozum.

Po pierwsze więc, ostrożnie ze złudzeniami. Na surmy i dzwony za wcześnie. Kilka miesięcy temu, w pierwszym artykule w *Kulturze* o awanturze Iraku, napisałem, że nie wolno ulegać kliszom: to nie będzie wojna północy z południem, mówiłem, ani wojna biednych z bogatymi, ani wojna gojów (Żydów trzymano z boku) z muzułmanami. Tu chodzi o nowy, po-bipolarny typ konfliktu. I rzeczywiście. To nie ostatnia wojna z tej serii. Saddam to nie ostatni Frankenstein.

Kiedy padł mur w Berlinie, nieoceniony *Der Spiegel* ogłosił 1 stycznia 1990 r., że historia dzieli się na dwie części. Od Aleksandra Wielkiego do 1990 roku to okres zamieszania i konfliktów zbrojnych. Od Gorbaczowa naprzód: okres idylli i nirwany. Po nieco więcej niż roku okładka tego samego tygodnika przecięta była tytułem „Piekiło”, wzywała na świadka Dantego, a na dowód — Zatokę Perską i... gaz. Uprezdam więc, że już gdzieś, nie wiem gdzie, rodzi się nowy Saddam. Historia bowiem nie tylko nie ma końca, ale nie ma nawet *happy endu*. Ja

zaś nie mam pewności, że Amerykanie zawsze zechcą gasić pożar daleko od domu.

Po drugie, ludzka głupota i zaślepienie też nie mają końca. Nie chodzi mi dziś i tu o arabskie ulice i bazy, które szalały z miłości do Saddama, świętowały każdego SCUD-a i ziały niewiścią do Zachodu, niewiernych i Żydów. Chodzi mi o Zachód i część jego tzw. intelektualistów, odpowiedzialnych za manipulację prawdy, oglupianie Arabów, fałszowanie historii.

André Glucksman, jeden z nielicznych prawdziwych intelektualistów francuskich, jeden z najbardziej jasnowidzących filozofów europejskich zauważył, że XX wiek wyprodukował trzy wielkie transkontynentalne, jak je nazywa, fale prostackiego antyokcydentalizmu (anty Zachodniactwo brzmiałoby źle).

Pierwsza, powiada, zbudowała mur atlantycki i zgasła pod zgłiszczami hitlerowskiej III Rzeszy. Druga padła pod gruzami muru berlińskiego i szczyła na ruinach komunizmu. Trzecia fala powołuje się na Koran, jej prorocy nie noszą ani swastyki, ani sierpa i młota, a noszą turbany, ale popełniają zbrodnie pod hasłami znowu antyamerykanizmu i antysemityzmu, przeciw burżuazji, laicyzmowi i deprawującym wolnościom demokracji.

Przypominając hitlerowską przeszłość swego kraju, pisarz niemiecki Hans Magnus Enzensberger zawołał: „Wszyscy byliśmy Irakijczykami między 1938 a 1945 rokiem”. Sołżenicyn mówi to samo na temat paru dziesięcioleci swego kraju. Ale czy znajdzie się ktoś, kto powie coś takiego wśród i do Arabów i muzułmanów? Gdzie są Sołżenicynowie i Enzensbergerowie między Algierem i Pakistanem? Gdzie byli, kiedy wybuchła sprawa Rushdiego? Na co czekają teraz?

Poniżenie jest dziś w języku intelektualistów muzułmańskich i ich europejskich przyjaciół pojęciem najbardziej używanym i nadużywanym, mającym w braku racjonalnych argumentów uzasadnić wszystkie klęski świata arabskiego. To zwyczajna intelektualna manipulacja, która prowadzi naturalnie do nowych klęsk.

Tym muzułmanom, którzy tłumaczą ślepą, samobójczą pasję arabską poniżeniem, trzeba po prostu powiedzieć, że nie ma większego poniżenia niż samoponiżenie, to właśnie, w które się wpada przez fanatyzm i nietolerancję.

Po trzecie, to wszystko powoduje, że czas pośredników się skończył. Arabowie i Żydzi muszą zacząć rozmawiać nie jak Polak z Polakiem, a jak polityk z politykiem. Saudyjczycy i emiryaty przeżyli SCUD-y razem z Izraelem. Syria była po tej samej stronie barykady co Izrael, Kuwejt zna dziś Arafata i ludzi z jego organizacji lepiej nawet niż Izrael. Jordania wysłała cało z ogromnego ryzyka tylko dzięki spokojowi Izraela. Na co czekają, żeby po takim wspólnym doświadczeniu usiąść razem i

pomyśleć, jak zrobić, żeby czegoś takiego móc uniknąć w przyszłości?

Jeżeli Arabowie spod znaku Saddama i Arafata mogli popełnić takie zbrodnie na Arabach z Kuwejtu czy na Kurdach, to można sobie wyobrazić, czego dokonałoby państwo innego Saddama czy Arafata na Żydach! Czy Palestyńczyków rzeczywiście nie stać na innych przedstawicieli niż tych, którzy popierali wysyłanie ślepych SCUD-ów, topienie kuwejskich Arabów i gazowanie Kurdów? I żalowali, że nie udało się, jak obiecywał Saddam, wygazować połowy Izraela?

EPILOG

Czy państwo lubią Bacha? Czy znają jego sonaty na skrzypce solo? Izraelczycy nigdy ich nie zapomną. Weszły do historii Żydów razem z raketami SCUD. Alarm został ogłoszony w czasie koncertu Izaaka Sterna w filharmonii w Jerozolimie. Dyrygował Zubin Mehta. Orkiestra musiała, taka jest instrukcja, przerwać koncert, zejść z estrady i założyć maski. Słuchacze, dwa tysiące, też musieli założyć maski, ale zostali na sali. Zostali, bo został na estradzie Stern, sam jeden i sonaty Bacha, jedyna chyba muzyka zdolna naprawdę zwyciężyć strach. Grał i płakał, a ludzie na sali słuchali i też płakali.

W Jerozolimie historia, wojna i symbolika zderzają się na każdym kroku. Ale to spotkanie było wyjątkowe: po pięćdziesięciu latach Żydzi znowu otarli się o gaz. Po odwołaniu alarmu Stern otarł łzy i powiedział: „Oto, w skrócie, historia Żydów”.

Żydzi, naród wybrany? Czas już, aby Bóg i historia wybrali sobie inny naród.

Pisane 11 marca 1991

Leopold UNGER

bardzo burzliwe i wielogodzinne. Z perspektywy czasu mam świadomość, że jednak wiele się wtedy nauczyłem.

M.H.-P.: — *Ale wcześniej zdążył Pan wstąpić do ZMP. Co Ojciec na to?*

R.F.: — Zapisalem się na zasadzie typowego młodzieżowego kontestatorstwa. Ojciec mi odradzał... Potem, na przełomie 1953/54 r., został aresztowany. W więzieniu spędził ponad trzy lata. Następnie został zrehabilitowany itd., itd. Ja w tym czasie byłem studentem Szkoły Głównej Służby Zagranicznej, na wydziale dyplomatyczno-konsularnym. I zostałem relegowany z uczelni.

M.H.-P.: — *Za to, że Ojciec poszedł do więzienia?*

R.F.: — Formalny powód był oczywiście inny. Wyleciałem za tzw. „oderwanie się od kolektywu i skłonności do burżuazyjnego stylu życia”. Przejawiało się to przede wszystkim w zamiłowaniu do jazzu i chodzeniu we w miarę odprasowanym garniturze oraz czystej koszuli. To mocno odbijało od stylu życia i ubioru moich kolegów z uczelni. Oczywiście główną przyczyną było więzienie Ojca... Potem, po wielu perturbacjach, udało mi się dostać na wydział ekonomiki produkcji SGPiS, który skończyłem w 1957 r. I w tym samym roku dostałem propozycję od rektora, wtedy już likwidatora SGSZ, dokończenia przerwanych na tej uczelni studiów. Szkołę formalnie zlikwidowano w 1961 r., zamiast np. powrócić do przedwojennej Akademii Nauk Politycznych, cieszącej się wielkim prestiżem i znanej uczelni o bardzo wysokim poziomie naukowym.

M.H.-P.: — *A po wojnie ten wysoki status naukowy przerobiono na ideologiczny?*

R.F.: — Była to faktycznie chyba jedna z najbardziej ideologicznych szkół wyższych. Z zapamiętaniem przestrzegano czystości ideowej. Stale poszukiwano wrogów klasowych. Polowania na czarownice odbywały się na każdym prawie zebraniu ZMP.

M.H.-P.: — *I Pan był do tej ideologii przywiązany, skoro pozostawał Pan członkiem ZMP?*

R.F.: — Wtedy ta ideologia, jak i cała doktryna, bardzo mnie frapowały. Wydawało mi się to twórcze i przyszlóciowe. Większość

Wywiady „Kultury”

Refleksje przychodziły później...

ROZMOWA Z AMBASADOREM R.P. W PARYŻU,
PANEM RYSZARDEM FIJAŁKOWSKIM —
OBECNIE DYREKTOREM GENERALNYM MSZ

MARIA DE HERNANDEZ-PALUCH: — *Jaki był rodowód polityczny Pana Ojca? Pytam o to, raz: z ciekawości, dwa słyszałam, że Pana Ojciec był porządnym, przedwojennym PPS-owcem. A syn, czyli Pan, poszedł w ZMP i PZPR.*

RYSZARD FIJAŁKOWSKI: — Ojciec wstąpił do PPS w 1918 r. Nade wszystko zajmował się działalnością związkową w środowisku warszawskich tramwajarzy, którzy w okresie międzywojennym dysponowali bardzo mocnym związkiem zawodowym. W momencie wybuchu II wojny Ojciec sprawował funkcje jego wiceprzewodniczącego. Był związkowcem z krwi i kości. Praktycznie nigdy nie było go w domu. Moje kontakty z nim, kilkuletniego wtedy chłopca, sprowadzały się do wspólnych wyjazdów na wakacje. Dobrze też pamiętam, kiedy leżał w domu ranny w czasie obrony Warszawy w 1939 r. I to są właściwie jedyne moje wspomnienia o Ojcu z tamtych lat. W czasie wojny Ojciec należał do WRN PPS i bardzo aktywnie działał w ruchu oporu. W sumie w ciągu pięciu lat okupacji widziałem go dwa razy. Po wojnie Ojciec natychmiast włączył się w działalność społeczno-polityczną. Był zwolennikiem socjalizmu, nie komunizmu. Stale mi tłumaczył, że socjalizm ma być rządami prawa i dojść do władzy legalnie, w drodze wolnych wyborów i na demokratycznych zasadach. Wydawało mi się to wówczas odległe i nierealistyczne. Jak wiadomo, europejskie partie socjal-demokratyczne zaczęły odnosić sukcesy znacznie później niż na przełomie lat 40-tych i 50-tych... Moje dyskusje z Ojcem były

ówczesnej młodej generacji reagowała podobnie. Refleksje przychodziły później, w miarę jak ujawniły się patologie systemu. Zresztą to pisarz francuski Vercors włożył w usta jednemu ze swoich bohaterów stwierdzenie, że jeżeli ma się dwadzieścia lat i nie jest się socjalistą, to znaczy, że nie ma się sumienia... a kiedy dochodzi się do 50-tki i jeszcze się nim jest, to znaczy, że jest się pozbawionym rozumu.

M.H.-P.: — *Można więc powiedzieć, że w tamtych czasach był Pan komunistą z przekonania?*

R.F.: — Może można... Choć właściwie trudno uznać, że byliśmy komunistami. Wydaje mi się, że w ogóle w Polsce niewiele było prawdziwych komunistów. Po prostu młode pokolenie nie miało w tym czasie żadnej alternatywy ideowej. System od początku miał monopol na „rząd dusz”. Była więc praktycznie tylko ta propozycja, która wydawała się młodym i niedoświadczonym ludziom dość atrakcyjna.

M.H.-P.: — *Aresztowanie Ojca, relegowanie z uczelni niczego Panu nie uświadomiło?*

R.F.: — Miałem lat dwadzieścia i świat zawałił mi się na głowę. Znalazłem się w sytuacji niezwykle trudnej. Groziło mi coś w rodzaju śmierci cywilnej. Zanim dostałem się na SGPiS, próbowałem szczęścia na wielu innych uczelniach, m.in. starałem się na wydział dziennikarski UW. I nic, wszędzie napotykałem niewidoczną barierę nie do przebycia. Udało się dopiero z SGPiS. Dzięki temu mam wykształcenie ekonomiczne, które mi się zresztą w służbie dyplomatycznej bardzo przydało. W szczególności teraz, kiedy sprawy ekonomiczne odgrywają tak ważną rolę w polityce naszego państwa. Ale wracając do mojej uczelnianej przeszłości. Jak już wspomniałem, w 1957 r. rektor SGSZ przysłał mi pismo przeproszające za to co się stało i zaproponował kontynuację studiów. I tak na zasadzie przypadku skończyłem dwa fakultety: ekonomiczny i — używając współczesnej terminologii — politologiczny.

M.H.-P.: — *I od razu w 1959 r. zapisał się Pan do partii. Kariera? Ideologia? Przekonanie?*

R.F.: — To była reakcja na ówczesny przebłysk nadziei, który zrodził się w 1956 r. Wielu Polaków uwierzyło wtedy, że ten system można zreformować.

M.H.-P.: — *Pan wierzył?*

R.F.: — Można powiedzieć, że uwierzyłem we wczesnego Gomułkę. Może nie tyle w Gomułkę, co w symbol, jakim wówczas był. Dużo ludzi uwierzyło. Byłem wtedy, wraz z innymi, na placu przed Pałacem Kultury. Przy całym entuzjazmie czułem też niedosyt po jego słynnym przemówieniu. Ale jakaś *quasi* demokratyzacja ustroju (wtedy wydawało się, że zasadnicza!) nastąpiła. Jakiś proces narodowej emancypacji... Nadzieje były mocno rozbudzone... No i to skłoniło mnie do wstąpienia do partii.

M.H.-P.: — *Gdyby Pan nie należał, nie zostałby Pan ambasadorem w Brazylii, Indiach etc.*

R.F.: — W Brazylii nie byłem ambasadorem, bo trudno nim być, jak się ma dwadzieścia kilka lat. Pojechałem tam jako *attaché* prasowo-kulturalny. A bodaj w trzecim roku pobytu awansowano mnie na drugiego sekretarza ambasady i miałem okazję, na skutek dłuższej nieobecności szefa placówki, sprawować funkcję *chargé d'affaires*. To doświadczenie bardzo mi się na przyszłość przydało. Wcześniej zetknąłem się z poważną odpowiedzialnością. I jakoś ten egzamin zdałem... Wracając do Pani pytania — oczywiście, gdybym nie był członkiem partii, to kolejne awanse byłyby prawie niemożliwe. W resorcie spraw zagranicznych obowiązywało kryterium ideologiczne. Kwalifikacje a raczej przynależność polityczna były nadrzędne wobec umiejętności fachowych, znajomości języków, zaangażowania w pracę itd. Jeżeli chodzi o kadrę merytoryczną MSZ, to przynależność partyjna równała się prawie 100%. Było też kilku takich, którzy nie należeli — na ogół dlatego, że ich „macierzyste instytucje” uznały, że tak będzie lepiej. Byli też, z tzw. klucza, przedstawiciele „sojusznicych stronnictw”. Istotnie trudno sobie wyobrazić znaczący postęp w karierze zawodowej bez partyjnej legitymacji.

M.H.-P.: — *Nie wątpił Pan w słuszność tego wyboru?*

R.F.: — Wątpiwości narastały, kiedy system objawiał coraz wyraźniej swoje cechy negatywne. Pojawiała się refleksja. Jako pracownik tej służby miałem kontakt ze światem zewnętrznym. Zaczęłem dostrzegać ograniczenia wynikające z naszej przynależności do Układu Warszawskiego i tzw. wspólnoty socjalistycznej. Jako swoiste remedium praktykowałem to, co wielu innych zawodowych pracowników służby zagranicznej — po prostu stara-

liśmy się pracować jak najlepiej i w ramach istniejącego marginesu zrobić jak najwięcej dla polskich interesów...

M.H.-P.: — *A jaki był ten margines?*

R.F.: — Niezbyt duży, ale jednak istniał. Oczywiście trudno było wyjść poza pewną granicę, swoistą pętlę, która nas wiązała. Można było próbować poszerzać ten margines albo odwrotnie — gorliwie szerzyć „internacjonalizm proletariacki”.

M.H.-P.: — *Bardzo dyplomatyczny jest ten język, muszę stwierdzić! Jeżeli wysłano Pana do Wietnamu i mówi się, że był Pan jednym z tych, którzy negocjowali pokój — to wysoko Pana ceniono?*

R.F.: — Nie przesadzajmy! Kto inny negocjował ten pokój. Ja byłem tylko jednym z kółek mechanizmu nadzorowania ustaleń pokojowych. Zaczęto się od mojego wyjazdu do Laosu, gdzie udałem się jako szef polskiej delegacji do Międzynarodowej Komisji Nadzoru i Kontroli. Pomógł mi przypadek, bo w tym czasie zajmowałem się problematyką Ameryki Łacińskiej. Z powodu choroby ówczesnego szefa naszej delegacji potrzebny był ktoś, kto szybko mógłby go zastąpić. A ponieważ zawodowo sprawdzałem się oraz znałem języki obce, w tym przypadku chodziło o angielski i francuski, więc pojechałem. Byłem tam prawie dwa lata w randze ministra pełnomocnego. Była to dla mnie ogromna szansa zawodowa, skok w karierze.

M.H.-P.: — *Czy przed tym wyjazdem na teren bliski działaniom wojennym w Wietnamie musiał Pan przejść specjalne przeszkolenie KGB?*

R.F.: — Nie i nie słyszałem, aby coś takiego miało miejsce wobec zawodowych dyplomatów z resortu spraw zagranicznych. Trudno mi natomiast cokolwiek przesądzać w odniesieniu do różnych służb, które były reprezentowane na tego rodzaju placówkach. Nie działały one z reguły pod kontrolą szefa delegacji.

M.H.-P.: — *KGB zawodowo chyba jest lepsza od UB. Wolalibyśmy chyba u nich być szkolona.*

R.F.: — Nie podzielam tej opinii, ale to rzecz Pani gustu! Z punktu widzenia interesów narodowych SB była lepsza, bo własna, przynajmniej w dużej części...

M.H.-P.: — *Tym razem ja nie podzielam tej opinii.*

R.F.: — Wzajemne przenikanie było oczywiście bardzo duże... ale może wróćmy do Komisji w Laosie. Delegacje trzech krajów (Indie, Kanada i Polska) tworzące MKNiK miały charakter wojskowo-cywilny. Tak to zostało ustalone w Układach Genewskich z 1954 i 1962 r. Szczególnie w grupach kontrolnych rozsianych, zgodnie z mandatem Komisji, na terytorium Laosu, wojskowi stanowili większość personelu. Do ich zadań należało głównie nadzorowanie przestrzegania zawieszenia broni przez strony walczące. W wyniku manipulacji strony komunistycznej, która nie była zainteresowana skutecznością międzynarodowej kontroli, grupy te zostały stopniowo zlikwidowane. Analogiczny proces powtórzył się w latach 1973–75 po Układach Paryskich w sprawie Wietnamu. Ale wracając jeszcze na chwilę do struktur komisyjnych i spraw szkolenia: trzon kierowniczy wszystkich delegacji w Płd. Wietnamie stanowili kadrowi pracownicy MSZ tych krajów. Polscy pracownicy wojskowi, nie mający odpowiedniego doświadczenia w pracy za granicą, z reguły przechodzili przed wyjazdem przeszkolenie, zapoznając się z zadaniami Komisji, techniką pracy grup kontrolnych oraz warunkami miejscowymi.

M.H.-P.: — *Na czym konkretnie polegała Pańska misja w Wietnamie?*

R.F.: — Trafiłem tam na przełomie 1974/75 r., czyli był to już finalny moment wojny indochińskiej.

M.H.-P.: — *Nie bał się Pan? Gdyby Pana ustrzelili, byłaby to niepowetowana strata.*

R.F.: — Wzruszony jestem tą sarkastyczną troską. Określony procent ryzyka i zagrożenia osobistego są częścią składową służby dyplomatycznej. Jak wiadomo, wielu dyplomatów przypłaciło ją utratą zdrowia lub życia.

M.H.-P.: — *Polacy też?*

R.F.: — Ostatni przypadek dotyczy ubiegłego roku. Kiedy Polska podjęła się przewożenia sowieckich Żydów emigrujących do Izraela, w Bejrucie zraniono polskiego dyplomata i jego żonę. Był to oczywiście odwetowy zamach terrorystyczny. Na przestrzeni ok. dwudziestu lat w Indochinach zginęło kilku Polaków. Toczyły się wszak działania wojenne, z różną intensywnością, na

poszczególnych obszarach tych krajów. Stan zagrożenia był znaczny. Wszyscy udający się do Indochin wyjeżdżali samotnie, bez rodzin. Mnie też zdarzyło się kilkakrotnie znaleźć w stanie bezpośredniego zagrożenia. Np. z 28 na 29 kwietnia 1975 r. Rozpoczęła się wówczas ofensywa na Sajgon. Jedną z rakiet 122 mm, produkcji sowieckiej, którymi dysponował Vietkong, trafiła w hotel, jedno piętro nad moim pokojem. Zginęły trzy osoby.

Moja praca w Wietnamie ściśle wiązała się z wykonywaniem mandatu, jakim Konferencja Paryska obdarzyła MKNiK. Składała się ona początkowo z Kanady, Indonezji, Węgier i Polski. Potem Kanada wycofała się i została zastąpiona przez Iran. Generalnie rzecz biorąc naszym zadaniem było nadzorowanie przestrzegania Układów Paryskich przez ich sygnatariuszy, czyli dwie strony pld.-wietnamskie, Wietnam Płn. i USA. Nie było zadaniem Komisji narzucenie czegokolwiek czy zastępowanie sygnatariuszy. Tylko obserwowanie i raportowanie o ewentualnych naruszeniach Układów Paryskich przez wykonujące je strony. Także pewnego rodzaju pokojowa mediacja między nimi. W praktyce były to zadania bardzo trudne i złożone.

M.H.-P.: — *Bo nie wiedzieliście komu raportować?*

R.F.: — Raczej o czym. Skład Komisji prowadził do sytuacji patowych. Były w niej dwa kraje, w tamtym czasie w pewnym sensie neutralne, czyli Indonezja i Iran. I dwa kraje — Węgry i Polska — reprezentujące tzw. socjalistyczną wspólnotę. *De facto* były więc sojusznikami ideowymi strony płn.-wietnamskiej i zajmowały często stanowisko pośredniej obrony interesów komunistów wietnamskich. Prowadziło to do stałej blokady prac Komisji i jej ewentualnych orzeczeń.

M.H.-P.: — *I Pan jako szef do tego dopuszczał?*

R.F.: — Jeśli chodzi o polską delegację pod moim kierownictwem, to zawsze staraliśmy się trzymać litery mandatu i nie robić niczego takiego, co w sposób ewidentny naruszałoby ją. Zresztą Polsce bardzo wtedy zależało na dobrych stosunkach ze Stanami Zjednoczonymi. Był to czas wręcz idylli amerykańsko-polskiej. Gierek jeździł do Waszyngtonu, prezydenci amerykańscy przyjeżdżali do Polski. Stąd Polska starała się nie antagonizować Amerykanów i zachować minimum bezstronności i obiektywizmu.

M.H.-P.: — *A subiektywnie był Pan za wycofaniem się Amerykanów?*

R.F.: — Przecież sami Amerykanie tego chcieli. W Paryżu zdecydowali się na wycofanie, z zachowaniem określonych warunków. I o te warunki toczyła się gra. Podczas moich wszystkich (dość zresztą nieprecyzyjnie cytowanych w licznych książkach, które ukazały się po zakończeniu wojny wietnamskiej) rozmów z zainteresowanymi stronami, m.in. z ambasadorem G. Martinem, przekonywałem o potrzebie położenia akcentu nie na rozwiązanie militarne, a na wykonanie tzw. klauzul politycznych Układów Paryskich. Sądzę, że gdyby podjęto rzeczywiście taką poważną próbę, to losy Indochin, losy Wietnamu mogłyby potoczyć się inaczej.

M.H.-P.: — *Komuniści, jak w Jaltcie, obiecaliby i na tym pewnie by się skończyło.*

R.F.: — Nie można wykluczyć, że po zrealizowaniu klauzul politycznych, komuniści wietnamscy złamaliby przyjęte zasady i dokonali przewrotu politycznego. W pewnym sensie coś takiego stało się w Laosie. Początkowo doszło do porozumienia zainteresowanych stron, utworzenia koalicyjnej formuły władzy itd. Po czym nastąpił faktyczny zamach stanu i czasowo wyeliminowano demokratyczne ugrupowania laotańskie ze sceny politycznej. Zakładam, że scenariusz wydarzeń w Wietnamie mógłby być podobny. Ale byłaby jakaś szansa, żeby zaoszczędzić wielkiej ilości ofiar i być może skierować wewnętrzny rozwój tego i pozostałych krajów indochińskich na nieco inne tory. Może w tej chwili Wietnam, obok Kuby i paru innych „niezłomnych” krajów, nie byłby bastionem resztek systemu socjalistycznego na świecie. Ale, jak wiemy, rozwiązanie militarne wzięło górę. 7 maja 1975 roku, w tydzień po upadku Sajgonu, nasza i węgierska delegacje opuściły pld. Wietnam.

M.H.-P.: — *Potem był Pan wicedyrektorem i dyrektorem departamentu azjatyckiego MSZ, później ambasadorem w Indiach. I ostatnio dwa lata ambasadorem w Paryżu (do 15 stycznia 1991 r.). Czyli już za pierwszego niekomunistycznego rządu. Czy metody Pana pracy uległy wtedy zmianie?*

R.F.: — Oczywiście tak. Przypomnę jednak, że pewne techniki czy metody pracy są wspólne dla wszystkich służb dyplomatycznych, niezależnie od systemu czy ustroju, jaki reprezentują. Tak jak tabliczka mnożenia, która służy zarówno komunistom jak i demokratom. Natomiast to, co się w zasadniczy sposób zmieniło, to przede wszystkim pęknięcie pancerza ideologicznego, w którym trzeba było do tej pory pracować i funkcjonować.

M.H.-P.: — *Co to praktycznie znaczy?*

R.F.: — Przede wszystkim oznacza to pełną swobodę wypowiedzi (z zachowaniem oczywiście tajemnicy państwowej) i nieporównywalne z dotychczasowym stanem rozszerzenie kontaktów. Diametralnie zmienił się stosunek do naszego kraju i chęć współpracy z nim. Zniknęły opory przed bywaniem w komunistycznej ambasadzie. Powstały liczne potencjalne możliwości korzystnego angażowania się naszych partnerów zagranicznych w Polsce. Można wobec rozmówców i kontrahentów obiektywnie (a więc bardziej przekonująco) przedstawiać polską rzeczywistość.

M.H.-P.: — Czyli, jak rozumiem, wreszcie mógł Pan stać się sobą?

R.F.: — Tak to można nazwać.

M.H.-P.: — *To ciężko musiało się Panu pracować przez minionych lat bodaj trzydzieści. Czy Talleyrand, którego duch unosi się w tym pałacu — ambasadzie RP (przy ul. Talleyranda) jest dla Pana ideałem dyplomaty?*

R.F.: — Trudno znaleźć archetyp postaci, który w sposób absolutny wciela określone *credo* zawodowe czy życiowe. Trudno założyć, że taki idealny wzorzec istnieje. Ale... w moim odczuciu dość blisko do tego ideału zbliża się właśnie Talleyrand. Oczywiście znane są jego liczne zwroty polityczne, jakie w czasie swojej działalności państwowej wykonał.

M.H.-P.: — *Co jest ostatnią instancją oceniania działań polityków?*

R.F.: — W ostatniej instancji polityka powinna być podporządkowana moralności, inaczej może być groźna i niebezpieczna w skutkach. Są na to liczne przykłady w historii ludzkości, zwłaszcza najnowszej. Nie oznacza to jednak, że każdy manewr polityczny jest w założeniu niemoralny.

M.H.-P.: — *U Talleyranda polityka miała służyć interesowi kraju — czyli Francji?*

R.F.: — Właśnie. On przy wszystkich meandrach swojej drogi życiowej, przy wszystkich zakrętach historii, w których brał udział lub nawet je kreował, a były to często zakręty o 180°,

potrafił zawsze służyć i nie zgubić z pola widzenia nadrzędnych interesów Francji. Sądzę, że jest to podstawowym zadaniem każdego dyplomaty.

M.H.-P.: — *On przeszedł do historii...*

R.F.: — Niestety nie wszyscy dyplomaci mają szansę przejścia do historii. Byłoby w niej wtedy zbyt tłoczno i zapewne nudnawo. Zresztą na ogół do historii przechodzą politycy, a nie dyplomaci.

M.H.-P.: — *A co Pan myśli — pytanie z ducha talleyrandowskiego — o takim dyplomacie, jak były ambasador Rurarz, który wydał książkę?*

R.F.: — Pan Rurarz był przez długi czas pracownikiem resortu spraw zagranicznych. Skończył zresztą tę samą uczelnię co ja — mianowicie Szkołę Główną Służby Zagranicznej. Był w niej aktywnym działaczem partyjnym.

M.H.-P.: — *Pan nie był funkcyjnym?*

R.F.: — Nie. Wracając do Rurarza. Porzucenie służby w czasie pełnienia obowiązków budzi wątpliwości.

M.H.-P.: — *Chciał Pan powiedzieć, że zdradził?*

R.F.: — Tak to można nazwać w kategoriach etyki służby zagranicznej. Nie chcę osądzać jego motywacji, tym bardziej, że działał wówczas w modelu zideologizowanej i spolityzowanej służby państwowej. Ale nawet w takim modelu, jeżeli zachodzi zasadniczy konflikt sumienia między osobistymi przekonaniem i aktualną polityką rządu, który się reprezentuje, urzędnik państwowy powinien podać się do dymisji. A potem może robić co chce. Oczywiście w ówczesnych warunkach podanie się do dymisji oznaczało zapłacenie niezwykle wysokiej ceny osobistej... nie każdy był gotów ją zapłacić.

M.H.-P.: — *Czy czuł się Pan człowiekiem zsovietyzowanym?*

R.F.: — Zdecydowanie odpowiadam — nie, chociaż może to zabrzmieć obecnie koniunkturalnie. W szczególności nie poddałem się — jak sądzą najbardziej groźnej — sowietyzacji psychicznej. Wydawało mi się, zwłaszcza w okresie lat 1956/57, że zre-

formowanie tego systemu jest nie tylko niezbędne, ale i możliwe... I jeżeli teraz wielu twierdzi, że takich złudzeń nie mieli, to jestem przekonany, że nie jest to w pełni zgodne z prawdą i ich własnym sumieniem. Miliony ludzi w Polsce miało te złudzenia.

M.H.-P.: — *Potem, jak Pan twierdzi, te złudzenia minęły. Dlaczego więc nie przeszedł Pan do opozycji?*

R.F.: — To bardzo trudna sprawa... Może to problem pewnego oportunistu, który cechuje większość ludzi, chociaż się do tego nie przyznają. Ale także kwestia pewnego mechanizmu psychologicznego, który nie bardzo pozwala mi być opozycjonistą. Z natury jestem raczej legalistą poszukującym rozwiązań konstruktywnych, a nie negacji... chociaż rozumiem, że nieraz droga musi prowadzić od całkowitej negacji do konstrukcji. Być może w tym przypadku nie dojrzałem do wyciągnięcia praktycznych wniosków ze zrozumienia tej prawidłowości. Ciążyły też resztki przekonania, że system jest reformowalny...

M.H.-P.: — *Ale tworzenie czego? Potiomkinowskich wiosek? Legalizm wobec czego? Skoro Pański Ojciec był skazywany przez tych, których Pan swoją wiedzą, znajomością języków legalizował? Jakie Pan znalazł rozwiązanie konstruktywne? To inni je znaleźli i Pan, zawsze au courant, odetchnął: teraz pokażę, że zawsze taki byłem. Zadowolony Pan z siebie?*

R.F.: — Chyba nie oczekuje Pani odpowiedzi potwierdzającej. Przeszedłem określoną drogą życiową, o której tu mówiłem i określoną — może zbyt wolną — ewolucję. Nie udaję kogoś innego niż jestem. Wolę jednak dojrzałe i przemyślane postawy niż występowanie w roli takich, co to zawsze i wszędzie mieli rację i byli jedynymi sprawiedliwymi, jak to teraz jest bardzo w modzie. Tych autentycznie „sprawiedliwych” było tak naprawdę bardzo mało i na pewno należy im się wielki szacunek i uznanie za determinację i odwagę. A przy okazji, jeżeli mówimy o zadowoleniu z siebie, to uważam, że takie uczucie nie jest najlepszym stanem w jaki można popaść, niezależnie od okoliczności towarzyszących. Nigdy siebie nie przeceniałem, a już szczególnie nie pretendowałem do posiadania monopolu na prawdę.

M.H.-P.: — *Pan ma jedną czy dwie osobowości? Prywatną i dyplomatyczną, czy też złąło się to już w całość?*

R.F.: — Wydaje mi się, że wyraźnie mam dwie osobowości. Mam nadzieję, że nie jest to przypadek dr Jeckylla i Mr Hyde'a, ale

wyraźnie te dwie płaszczyzny rozgraniczam. Ale przenikanie następuje z natury rzeczy. Indywidualna osobowość zawsze rzutuje na to, jak się wykonuje swoje obowiązki. W sferze czysto zawodowej reprezentuję model postępowania oparty o dużą i świadomą samodyscyplinę. Na płaszczyźnie osobistej staram się być swobodniejszy i bardziej niezależny. Jak wiadomo, służba dyplomatyczna narzuca bardzo rygorystyczne wymagania.

M.H.-P.: — *Co Pan robił, kiedy wybuchł stan wojenny?*

R.F.: — Byłem ambasadorem w Indiach.

M.H.-P.: — *Pana pragmatyzm pozwolił na zaakceptowanie tego wydarzenia?*

R.F.: — Starałem się... rozumieć motywacje polityczne tego co się stało. Mam na myśli przede wszystkim zagrożenie interwencją sowiecką. Dobrze zdawałem sobie sprawę, że nie jest to hipotetyczne, lecz rzeczywiste niebezpieczeństwo. I traktowałem stan wojenny jako wybór tzw. mniejszego zła. Trudno powiedzieć, że w kategoriach moralnych, humanistycznych i osobistych akceptowałem takie rozwiązanie. Ale, podkreślam, myślałem kategoriami racji stanu, tak jak ją wówczas pojmowałem.

M.H.-P.: — *Dla mnie jest Pan straconym przypadkiem: o wszystkim dobrze, wszystko załatodzić. Tak dyplomatycznie, żeby nic nie zostało powiedziane.*

R.F.: — W jakimś sensie taka jest rola dyplomaty. Podstawowym zadaniem dyplomaty jest zawsze łagodzenie, co nie znaczy poświęcenie zajmowanych pozycji.

M.H.-P.: — *A może zagmatwywanie?*

R.F.: — Z tym bym się raczej nie zgodził. Czasem, dla dobra sprawy, jeżeli coś trzeba koniecznie zagmatwywać, to się to robi. Ale głównym zadaniem dyplomaty nie jest zrywanie mostów lecz ich budowanie, a co najmniej utrzymywanie istniejących. Poszukiwanie kompromisowych rozwiązań na styku sprzeczności interesów.

M.H.-P.: — *Jest Pan optymistą czy pesymistą?*

R.F.: — Umiarkowanym optymistą.

M.H.-P.: — *I z tym umiarkowanym optymizmem opuszcza Pan ambasadorskie stanowisko w Paryżu 15 stycznia br. Co Pan tutaj zrobił szczególnego w ciągu dwóch lat?*

R.F.: — Przypadło mi być we Francji i zajmować się stosunkami polsko-francuskimi w okresie ich niezwykłego rozkwitu. Francja powróciła na miejsce jednego z naszych najważniejszych partnerów za granicą. Dawało to i szereg możliwości działania i satysfakcję z tego, co się udało osiągnąć...

M.H.-P.: — *Co? Była np. taka sytuacja, kiedy przyjechali przedstawiciele krajów bałtyckich do Paryża. Niezbyt dobrze przyjęci przez prezydenta Francji. Potem odbyło się spotkanie, na którym Pana nie było, mimo zaproszenia przysłanego do ambasady. Jak Pan to tłumaczy?*

R.F.: — Po pierwsze nasza polityka wobec krajów bałtyckich nie należy do sfery stosunków dwustronnych polsko-francuskich. Już bardziej dotyczy zupełnie innego naszego partnera, położonego dużo bardziej na wschód niż Francja. A po drugie — okazuje się, że nie tylko dyplomaci bywają niedoinformowani! Na tym spotkaniu byłem i przeprowadziłem lub uczestniczyłem w szeregu rozmów, w tym z wydającymi przyjęcie ministrami spraw zagranicznych krajów bałtyckich. Tyle że przybyłem w ok. godzinę po rozpoczęciu, kiedy mogłem już opuścić salę obrad paryskiego szczytu KBWE, po zamknięciu sesji popołudniowej.

M.H.-P.: — *Jak Pan tłumaczy fakt, że po dwóch latach odwołuje się Pana z Paryża, z tzw. „kopem w górę”, ale na miejsce w centrali?*

R.F.: — Zadaniem każdego dyplomaty jest wykonywanie poleceń swego rządu.

M.H.-P.: — *Te rządy zdaje się pozmieniały się?*

R.F.: — Powiem inaczej: stałym elementem naszego zawodu są przyjazdy i odjazdy. A decyzje dyktowane są szeregiem przesłanek i wynikają z potrzeb polityki zagranicznej i uwarunkowań danej placówki. Po prostu kandydat do pracy na danym stanowisku w centrali lub na placówce, musi odpowiadać szeregowi kryteriów personalnych i politycznych. W tej chwili nastąpiło ich wyraźne zobiektywizowanie. Zmalało też znaczenie, nadrzędnego poprzednio, czynnika politycznego. Trzeba zdać sobie spr-

wę, że jest to jednak trudne do osiągnięcia, szczególnie w momencie, kiedy Polska stała się ustrojowo nowym krajem i jej reprezentacja za granicą musi ten fakt, również w wymiarze personalnym, odzwierciedlić. Myślę, że po ugruntowaniu się i okrzepnięciu ustroju demokratycznego w naszym kraju, zdecydowane pierwszeństwo w systemie selekcji kadr dyplomatycznych będą miały kryteria profesjonalnej przydatności.

M.H.-P.: — *Są to Pana zawodowe marzenia i aspiracje, po obejrzeniu kilku zachodnich krajów. Ale wiemy, że na razie działają nie tylko elementy profesjonalne. Bo UNRRA profesjonalistów z nieba do nowej III Rzeczypospolitej nie zrzuciła. Tak więc nie oszukujemy się. Teraz „idzie” nowy kalendarzyk znajomych — uczciwych, oddanych, szlachetnych — ale wcale nie znaczy to, że merytorycznie przygotowanych, bo niby gdzie? A Pan mówi, że decydują względy merytoryczne. A niby skąd miałyby decydować, jak ich nie ma. Na razie za przynależność do partii zdejmuje się ze stanowisk. I słusznie, może jest to ten pierwszy objaw tzw. względów merytorycznych.*

R.F.: — Nie żyjemy w świecie idealnym. Pewno w ogóle nie jest on możliwy. W każdym bądź razie, jeśli chodzi o szeroko rozumianą sferę służby państwowej — to kryterium politycznego doboru powinno być całkowicie wyeliminowane. Administracja państwowa winna mieć charakter zawodowy, być dobierana a następnie oceniana w oparciu o kryteria umiejętności zawodowych, osobistego zaangażowania się w wykonywanie obowiązków służbowych, osiągniętych wyników i lojalności wobec polityki rządu pozostającego przy władzy. Taki model służby istnieje we wszystkich krajach o okrzepniętym ustroju demokratycznym. I właśnie taki model służby państwowej zapewnia im możliwość skutecznego funkcjonowania i strzeżenia ciągłości interesów państwa — niezależnie od takich czy innych perturbacji politycznych i zmian rządów, które w systemie demokratycznym są na porządku dziennym. Często przytacza się przykład Włoch. Przez wiele dekad rządy zmieniały się tam jak przysłowiowe rękawiczki. A jednocześnie Włochy wykonały coś, co można nazwać cudem gospodarczym. Myślę, że niemała w tym zasługa aparatu państwowego zapewniającego stabilne reguły gry i sprawne sterowanie nawą państwową. I żeby zakończyć ten temat: zjawisko biurokracji, na które wszyscy tak narzekają i które stało się dyżurnym kozłem ofiarnym, jest w obecnych czasach zjawiskiem nieuniknionym. Nawoływanie do likwidacji biurokracji to czystej wody demagogia, bo jest to fenomen immanentnie związany z modelem cywilizacyjnym, w którym żyjemy.

Chodzi tylko o jej rozmiary i o to czy jest sprawna czy nie. Ażeby była sprawna, musi być profesjonalna. I do takiego modelu powinniśmy w Polsce dążyć.

M.H.-P.: — Mam nadzieję, że pamięta Pan o tym, że w Polsce biurokracja znaczyła to samo co partyjni?

R.F.: — Nie jest to ani pierwsza ani ostatnia sprawa, którą w Polsce trzeba zmienić. Nie da się tego jednak zrobić za jednym pociągnięciem. A wylewanie dziecka razem z kąpielą też byłoby niesłuszne i niewykonalne. Nie da się z dnia na dzień zmienić całego aparatu państwowego dlatego, że przez wiele lat zrosnięty był z aparatem partyjnym... Stosowanie przy rekrutacji i formowaniu kadry państwowej kryteriów politycznych jako nadrzędnych byłoby w gruncie rzeczy kontynuowaniem starej, zdyskredytowanej i wysoce szkodliwej na dłuższą metę praktyki.

Styczeń 1991

Rozmawiała Maria de HERNANDEZ-PALUCH

Polnische Buchhandlung

KSIĘGARNIA POLSKA

Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria

Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater

Tel. i fax: (1) 52 63 114

Konta pocztowe

Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556

Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.

Bezpłatne katalogi na żądanie

Sprawy i troski

Wszyscy jesteśmy ludźmi, ale...

W czerwcowym numerze *Kultury* z ubiegłego roku ukazały się odpowiedzi uczniów i uczennic trzech szkół warszawskich w wieku od 10 do 15 lat na ankietę, przeprowadzoną przez Agatę Tuszyńską. Ankieta obejmowała dwa pytania: *Niemcy, Rosjanie, Żydzi. Co o nich wiesz? Co o nich myślisz?* Autorka przytoczyła w skrócie uzyskany materiał i analizując go wykryła w wyrażonych opiniach przewagę nietolerancji, poczucia wyższości, niechęci, a czasem nienawiści w stosunku do „obcych” lub „innych”.

Redaktor Giedroyc zasugerował mi podjęcie podobnej próby w szkołach niemieckich (oczywiście z wymianą Niemców na Polaków). Udało się to po dłuższym czasie dzięki dobrej woli i gotowości zainteresowanych tematem nauczycieli. Odmowy współpracy w kilku wypadkach pochodziły z terenu byłej NRD, co uzasadniano napiętą tam pod każdym względem sytuacją.

175 uzyskanych przez nauczycieli odpowiedzi, z minimalnymi wyjątkami anonimowych, pochodzi z kilku szkół: z Kolonii i Duisburga, z dwóch małych miasteczek na terenie Nadrenii-Westfalii i Nadrenii-Palatynatu, oraz z wschodniej, a więc NRD-owskiej do niedawna części Berlina. Są to szkoły o różnym profilu: gimnazja, 10-klasowe szkoły ogólnokształcące, w tym tzw. realne, wreszcie specjalistyczne zawodowe. Wynika stąd większe niż w ankiecie warszawskiej zróżnicowanie pod względem wieku: od 13 do 22 lat, przy czym granice wieku w tutejszych szkołach zawodowych bywają płynne, nawet w ramach poszczególnych klas¹.

1. Szkolnictwo zawodowe jest w Niemczech bardzo rozbudowane. Szkoły te, obowiązujące równolegle do praktycznej nauki zawodu, przyjmują bądź absolwentów 10-klasowych szkół ogólnokształcących, bądź uczniów po 10 klasach gimnazjum, względnie po skończonym już gimnazjum z maturą lub bez matury. W skład programu, obok części zawodowo-specjalistycznej, wchodzi obszerny materiał ogólnokształcący.

W odróżnieniu od warszawskiego materiału tutejszy ogranicza się dość często do zestawu informacji. Uczniowie powtarzają po prostu fakty, których się nauczyli, a więc, jeśli o Polaków i Rosjan idzie, wymieniają liczbę mieszkańców, stolicę, główne działy gospodarki, walutę, ewentualnie pewne wiadomości z historii itd. Z Żydami trudniejsza sprawa, chociaż zdarza się utożsamianie wszystkich w ogóle Żydów z państwowością Izraela. O tym jednak później.

Z jednej strony rozpiętość wieku, a więc nierówność etapów rozwoju, różnorodność szkół i przypadkowość ich doboru, a z drugiej strony otwarty charakter pytań i akcent na informację w części zebranego materiału, utrudnia tak porównania, jak i dokładniejsze obliczenia statystyczne. Utrudnia je też czasem, zwłaszcza wśród roczników młodszych, brak dyscypliny myślowej, powodujący np. pojawienie się w tym samym tekście dwóch wykluczających się nawzajem ocen. Poza odpowiedziami, występującymi rzadko lub co najwyżej kilka razy, używam zatem określeń przybliżonych, np. *przeważnie, w większości, kilkakrotnie, czasem*. Toteż poniższego zestawu nie należy w żadnym razie traktować jako reprezentacyjnej ankiety socjologicznej, lecz tylko jako bardzo luźno pomyślany sondaż².

Błędy, luki, kurioza

Warstwa informacyjna nie wymaga przytoczeń, ma raczej znaczenie wtedy gdy informacje są błędne lub szokująco błędne (*nota bene* dotyczące czasem i historii własnej). Kilkakrotnie więc Polska określana jest jako kraj jeszcze komunistyczny. Dwukrotnie, w wypowiedziach uczniów gimnazjalnych w wieku 15 i 16 lat, Waclaw Havel występuje jako prezydent Polski, a Praga trzykrotnie (raz nawet u 18-latką) jako stolica Polski. Dowiadujemy się, że:

Polacy i Rosjanie należą do ludów *słowackich i mongolskich* (szkoła zawodowa, lat 19);

Sacharow był Polakiem (gimnazjum, lat 15);

Kultura polska była kształtowana głównie przez Rosjan i Niemców (gimnazjum, lat 15);

2. Przytaczam wypowiedzi uczniów bądź w wielkim skrócie, bądź w wybranych fragmentach, dotyczących określonych problemów. Ponieważ odpowiedzi są anonimowe, używam form męskich, żeńskich zaś tylko wtedy, gdy płęć żeńska wynika wyraźnie z tekstu. Wiek pomijam w wypadkach, kiedy oceny identyczne treściowo powtarzają się w różnych klasach wieku. Zaznaczam zawsze, gdy wypowiedzi pochodzą z Berlina wschodniego.

W Polsce nie ma prawie intelektualistów, gdyż wszyscy zostali wymordowani za Stalina (szk. zaw., lat 21);

Kijów jest stolicą republiki rosyjskiej (gimn., lat 17);

Rosjanie ustanowili w roku 1956 bezprawne państwo NRD (gimn., lat 15);

Komunizm rozpadł się w Rosji wcześniej niż w Polsce (gimn., lat 17);

Większość Polaków to katolicy i tacy, którzy *wystąpili z Kościoła* (szk. og., lat 13);

Reichskristallnacht miała miejsce w r. 1933 (gimn., lat 13);

Hitler był pół-Żydem (szk. zaw., wiek niepodany);

Większość Żydów żyje w Izraelu (gimn., lat 17);

Zdarza się kilka razy utożsamienie okupacji z przynależnością terytorialną, jak też w ogóle pomieszanie kategorii etnicznych i terytorialnych w odniesieniu do obszarów Polski i Niemiec:

Cała Polska należała dawniej do Rzeszy Niemieckiej (szk. zaw., lat 21);
3/4 dzisiejszego terytorium Polski należało do Rzeszy Niemieckiej (szk. zaw., lat 20);

Obywatele polscy byli dawniej Niemcami (szk. zaw., lat 21);

Polska to państwo, którego właściwie nie ma, gdyż przed pierwszą i drugą wojną światową dzisiejsze terytorium Polski należało do Niemiec. Pierwotny obszar Polski należy dziś do ZSSR (szk. zaw., lat 19, matura);

Przyznawana nieznanostwo, deklarowany brak zainteresowania

Błędy i luki są jaskrawe, ale nie najważniejsze dla charakterystyki wypowiedzi. Ostatecznie wiemy z doświadczenia, że przejawy ignorancji, przeinaczania i pętania faktów wykrywa się wśród uczniów, a nawet studentów wszystkich krajów. Toteż uwaga moja koncentrowała się przede wszystkim na ocenach wartościujących i postawach, zabarwionych mniej lub bardziej emocjonalnie. Zanim spróbuję je uszeregować chcę podkreślić, że niektórzy uczniowie piszą po prostu, iż ich kontakt osobisty z wymienionymi grupami był i jest nikły lub żaden:

Nie miałem żadnego kontaktu z kimkolwiek z nich;

Rosjan nie znam żadnych, Polaków i Żydów bardzo mało;

Nic nie wiem, są mi obcy (o wszystkich trzech grupach);

Nie znam żadnego Żyda, nie wiem, jak się z nimi rozmawia;

Czasem ankietowani deklarują wręcz, w formie łagodnej lub niechętniej, brak zainteresowania tematem, tłumacząc to różnymi względami:

Chętnie bym się nawet bliżej o Rosjanach poinformował, ale dotąd zawsze wygrywała dyskoteka. Niestety (szk. zaw., lat 22);

Rosjanie w ogóle mnie nie interesują, może dlatego, że pracowali razem z NRD (Berlin wsch., szk.og., lat 13);

Polacy i Rosjanie to komunistyczni bracia, a takich mam w ogóle za nic. Także Żydzi prawie mnie nie interesują (gimn., lat 14);

O Żydach nie wiem nic oprócz spraw religijnych, ale nie chce mi się tego wypisywać (gimn., lat 14);

Statystyczny udział podobnych uwag w całości materiału jest nikły. Przytaczam je mimo to, gdyż należy przyjąć, że także w innych wypadkach brak kontaktu z wymienionymi grupami, choć nie wyrażony, odgrywa jednak rolę.

Jak ty i ja — oraz niezupełnie...

W przeważającej części wypowiedzi uczniowie deklarują swoje zasadniczo, ponadnarodowe poglądy. „Wszyscy są przecież równi”, „Ludzie jak ty i ja” — to typowe, najczęściej spotykane twierdzenia. Jeśli w wielu ocenach stanowią one tło dla postaw wyraźnie cudzoziemcom sprzyjających i tolerancyjnych, to w innych występują równoległe z obiegowymi, negatywnymi uogólnieniami. W bardzo rzadkich wypadkach wydaje się, że służą za zabieg usprawiedliwiający: „Nie posądzajcie mnie o uprzedzenia, ale”...

Przytaczam kilka wypowiedzi, w których nastawienie tolerancyjne wydaje się najbardziej szczerze, zabarwione emocjonalnie, a także polemiczne w stosunku do ryczałtowych potępień:

Te trzy narody przetrwały ciężkie czasy, trzeba je podziwiać (gimn., lat 13);

Polacy i Rosjanie mają bardzo złe warunki mieszkaniowe, dlatego uważam, że uciekinierów stamtąd trzeba przyjąć (gimn., lat 14);

Jeszcze dziś stosunek do tych trzech grup bywa wrogi (szk.zaw., lat 18);

To niestuszne, że Polacy, Rosjanie, Żydzi to u nas obelżywe określenia (Berlin wsch., szk.og., lat 16);

Myszę o nich wszystkich, że to tacy sami ludzie, ja my. Jest mi obojętne, do jakiego narodu kto należy. Chodzi w końcu o inne wartości niż narodowe. Jeśli chcecie wiedzieć, czy jestem rasistką — to nią nie jestem (gimn., lat 14);

Mówi się o cudzoziemcach, że kradną i że są brudni, a przecież wśród Niemców też są tacy co są brudni i kradną (gimn., lat 13);

We wszystkich narodach są ludzie dobrzy i źli. Wszyscy są równi, chociaż różni (gimn., lat 15);

Ludzie powinni przecież dążyć do wzajemnego zrozumienia (gimn., lat 14);

Nie brak ocen samokrytycznych:

Niestety jestem Niemką, lepiej bym się czuła np. jako Australijka.

Niektórzy Niemcy zachowują się za granicą jak świnię, hochsztaplerzy... Chępią się swoimi g... pieniędzmi. Jestem przerażona, że tyle ludzi staje się znowu nacjonalistami i rasistami. Myślałam, że Niemcy już się nauczyli, ale do tego są o wiele za głupi (Berlin wsch., szk.og., lat 16);

Dlaczego Niemcy popadają raz po raz w rasizm i nacjonalizm? (Berlin wsch., szk.og., lat 16);

Raz nawet pochwała „inności”:

Oczywiście oni mają inną mentalność (mowa o Rosjanach — K.Ch.), są inni niż my. Ale właśnie to jest wspaniałe. Po prostu nie potrafię sobie wyobrazić, żeby wszyscy ludzie mieli być tacy sami jak Niemcy. Cieszę się, kiedy schodzą się ze sobą ludzie, którzy inaczej wyglądają, mówią innym językiem i mają inną wiarę (Berlin wsch., szk.og., lat 15);

Z kolei relatywizacja w stosunku do cudzoziemców:

Polacy wszystko wykupują, ale w ogóle to nie mam nic przeciw Polakom, Rosjanom, Żydom. Wyglądają tak samo jak my (Berlin wsch., szk.og., lat 15);

Nie mam nic przeciw cudzoziemcom, jak długo zostają u siebie, nie przyjeżdżają wykupywać towarów i zabierać nam pracy (Berlin wsch., szk.og., lat 14);

Nie mam nic przeciwko cudzoziemcom, tylko przeciw oszustom (Berlin wsch., szk.og., lat 13);

Zdarzają się jednak wybuchy nienawiści, dalekie od szablonu „jak ty i ja” i rozszerzone na inne grupy narodowościowe:

Uważam to za bezczelność, że np. Bułgarzy i Rumuni podchodzą pod nasze drzwi i wciskają się bez pardonu do naszych mieszkań. Stają się przez to znienawidzeni. Trzeba wyjąć pistolet lub nóż, gdyż inaczej nie można się ich pozbyć. Nie może ich więc dziwić, gdy się im nie otwiera. Jeśli będą się zachowywali jak ludzie, a nie jak aspołeczni albo kompletnie stuknięci, będę ich uznawał za „braci”. Ale tak to nie! A więc poprawcie się, a wtedy OK na Zjednoczoną Europę (Berlin wsch., szk.og., lat 14);

W końcu paroksyzm:

Szkoda, że padł mur. Zostańcie tam gdzie jesteście (szk.og., lat 14).

Polacy

Poglądy na Polaków wiążą się najściślej z aktualnością. Uczniowie ocierają się konkretnie o problemy najnowszych emigrantów polskich, legalnych i nielegalnych. Toteż wysuwają się tu na czoło problemy gospodarcze i bytowe. Chociaż zasługi „Solidarności” w ubiegłych latach otrzymują wysoką ocenę, a zdarza się nawet, że ankietowani biorą jej deklarowane cele za

rzeczywistość i twierdzą, że w Polsce sytuacja materialna się poprawiła — to jednak w przytłaczającej części wypowiedzi główne refleksje dotyczą niskiego poziomu życia. Najczęściej już w pierwszych zdaniach czytamy, że Polska to kraj biedny, Polacy są nawet biedniejsi od Rosjan, żyje się tam znacznie gorzej niż na Zachodzie, ceny są wysokie, płace niskie, samochody złe, bruki i domy niszczeją, po wszystko trzeba stać w kolejce. Te same notoryczne określenia znajdujemy we wszystkich szkołach. Łączy się z tym — jak wyżej — sprawa przyjazdów Polaków do Niemiec, traktowanych jako konkurentów na rynku pracy i rynku mieszkaniowym. Występuje więc tutaj najbardziej aktualna ksenofobia w postaci chemicznie wypracowanej, uderzająco podobnej do ataków na różne grupy cudzoziemców w różnych krajach. Jednak w to na wskroś aktualne tło „międzynarodowe” wczepiają się dawne, ryczałtowe sądy o Polakach, powszechne jeszcze w Niemczech wilhelmińskich, a potem hitlerowskich, lecz dziedziczone i formułowane teraz, bądź jako własne, bądź z powodzeniem się na opinie obiegowe. A więc mieszanka współczesności z kontynuacją, najprawdopodobniej zresztą nieświadoma:

Polacy to naród bardzo, ale to bardzo leniwy, wciąż strajkują i chcą więcej, a tego nie można wymagać, jeśli nie zostanie wypracowane. Pompujemy w nich miliardy, ale robią coraz większe długi, to becinka bez dna, jakbym im nie pomagał... Oczywiście są między nimi i dobrzy ludzie, ale dotychczas widziałem tylko ich złe strony (Berlin wsch., szk.og., lat 16);

O Polakach mówią, że robią lichwiarskie interesy... (szk.zw., lat 17);

Dziś przebywa u nas wiele polskich robotników, którzy w swoich naladowanych Fiatach jeżdżą tam i z powrotem (szk.zw., lat 19);

Darmozjady, przyjeżdżają tutaj i żebrzą o mieszkania i zasiłki, zamiast zostać u siebie i coś stworzyć (szk.zaw., lat 16);

Przesiedleńcy z Polski budują tu domy, a moi rodzice nie mogą sobie na to pozwolić (szk.zaw., lat 19);

Przesiedleńców się faworyzuje, a to mnie złości (szk.zaw., lat 18);

Żyją z naszych podatków (szk.zaw., lat 15);

Nazywa się ich „die Polaken”. Są niepożądani, pracują w Niemczech za małe pieniądze, polscy mężczyźni nagabują niemieckie kobiety i dziewczęta, zdarzyło mi się to samej. Polacy to komuniści (szk.zaw., lat 18);

Mieszkają tu w swoich tzw. „autach”, a potem wieczór idą na cmentarz, żeby się umyć. Wykupują wszystko u „Aldiego”. Mają dużo dzieci (szk.zaw., lat 20);

Polskie targi (*Polenmärkte*) — to nie jest w porządku. Polacy powinni się lepiej zachowywać, są przecież u nas gośćmi. (Berlin wsch., szk.og., lat 15).

Inni uczniowie traktują jednak przyjazdy Polaków z pobudek materialnych bardziej wyrozumiale:

3. ALDI — sieć sklepów, głównie spożywczych, z niskimi cenami.

Pracując u chłopów dostają 7 marek za godzinę, co dla nich jest dużo. To co tu zarabia wystarczy im w Polsce na rok (szk. zaw., lat 18);

Dorabiając sobie tutaj mogą utrzymać rodzinę (szk.zaw., lat 20);

Polacy są u nas niesłusznie uznawani za darmozjadów, po prostu chcą żyć bardziej po ludzku (Berlin wsch., szk.og., lat 16);

Przecież także wielu Niemców jeździ do Polski, żeby tam taniej kupować (Berlin wsch., szk.og., lat 16);

Ale poza gadaniem względnie usprawiedliwianiem Polaków jako konkurentów czy handlarzy, pojawiają się oceny z szerszym zakresem problemów. I tu jednak przeziiera często poczucie wyższości:

Oczywiście popierałem odwrócenie się Polski od komunizmu, uważam jednak, że Polacy powinni z własnej inicjatywy zrobić więcej dla swego kraju, a nie starać się o przewycięzanie trudności za pomocą darów i kredytów (gimm., lat 18);

Wiem, że Polacy pozostali w tyle (szk.zaw., lat 18);

Prawdopodobnie Polacy upodobniliby się do nas, ale w swoim sposobie myślenia nie doszli jeszcze tak daleko (gimm., lat 16);

Starsi ludzie w Polsce mają nastawienie nihilistyczne, młodszy — hedonistyczne (gimm., lat 16);

Równocześnie nie brak przejawów sympatii o charakterze towarzyskim lub osobistym („Bardzo ich lubię”, „Są bardzo mili”, „Łatwo nawiązują kontakty”, „Mam w Polsce przyjaciółkę i troskliwie pielęgnuję przyjaźń z nią i z mieszkańcami jej kraju”).

Najbardziej rzeczowe okazują się ściśle polityczne poglądy ankietowanych. Uczniowie przypominają kilkakrotnie, jak brutalne i zbrodnicze było państwo hitlerowskie, przypominają, że Niemcy napadali na Polskę, że Hitler i Stalin podzielili ją między siebie i że za Stalina Polska była tak samo uciskana jak NRD. Podkreślają też szereg razy, że aktualnie Polacy obawiają się zjednoczonych Niemiec. Raz krytykuje ktoś uproszczenia ze strony polskiej i wyraża żal, że dla Polaków Niemcy to albo faszyści, albo komuniści.

Charakterystyczne, że wśród 175 wypowiedzi nie znajdujemy ani jednej kwestionującej granicę na Odrze i Nysie. W dwóch wypadkach uczniowie zauważają ruchy odśrodkowe wśród mniejszości niemieckiej w Polsce względnie przewidują powstanie takich ruchów w przyszłości:

Kiedyś zachodnie tereny Polski należały do Niemiec. Po zjednoczeniu ich niemieccy mieszkańcy byli oburzeni uznaniem granicy. Chcą należeć do Niemiec ale, jak sądzę, bardziej ze względów gospodarczych niż patriotycznych (gimm., lat 16);

Gdy w przyszłości była NRD osiągnie poziom zachodni, myślę, że mieszkańcy Pomorza i Śląska powiedzą, że należeli do Niemiec i sami

zechcą rozwiązać problem granicy, co znowu stworzy problemy. Strona niemiecka nie podejmuje już żadnych starań, granica została zaakceptowana i tak też zostanie. Nie uważałbym za dobre, gdyby nagle Pomorze i Śląsk znów miały należeć do Niemiec. Poza tym najczęściej ludzi mówi tam i tak już tylko po polsku. Polacy muszą mieć własne państwo ze stałą walutą, wtedy Europa jeszcze silniej będzie się zrastać (gimn., lat 16);

Na koniec polskiego „podrozdziału” przytaczam — dla ostrego wyodrębnienia — jedyną wypowiedź, w której przy odrzuceniu hitleryzmu jako całości, powtarzają się konstruowane w roku 1939 kłamstwa, mające uzasadnić atak hitlerowski na Polskę:

Historycznie biorąc, jestem zdania, że wprawdzie zaatakowaliśmy Polskę, co stało się startem do wojny, ale to tylko uprzedziliśmy Polaków. Ze względu na ówczesne polityczne kierownictwo Niemiec trzeba dziękować Bogu, że przegraliśmy wojnę, ale *atak na Polskę uważam za uprawiony* (podkr. K.Ch.). Jest w końcu historycznie udowodnione, że ówczesny polski przywódca kazał już drukować mapy, na których Niemcy były włączone do Polski, albo mówił, iż zagarnie Niemcy w ciągu trzech dni, a stało się przeciwnie. To samo już tłumaczy, dlaczego Polacy nie robią na mnie szczególnego wrażenia (gimn., lat 17).

Rosjanie

Ogólnie można zauważyć, że oceny Rosjan są bardziej umiarkowane niż oceny Polaków. Choć nie brak poglądów negatywnych, nie wykazują one, jak w stosunku do Polaków, klasycznych cech ksenofobii. Jest to o tyle zrozumiałe, że nie wystąpił do tej pory ani w zachodnich, ani nawet we wschodnich Niemczech, znaczniejszy napór Rosjan na rynek pracy czy rynek mieszkaniowy. Natomiast, poza minimalnymi wyjątkami, równie krytycznie jak na Polskę, zapatrują się uczniowie na aktualny stan Związku Sowieckiego jako kraju. Gospodarka zacofana, żyje się prymitywnie, wielkie bogactwa naturalne nie przysparzają ludziom pożytku, fatalna infrastruktura i niskiej klasy budownictwo, złe jedzenie lub w ogóle brak żywności, Rosjanie nie umieją kierować samochodami itd. Kilkakrotnie zwraca się uwagę na różnicę w poziomie życia między Moskwą, czy w ogóle wielkimi miastami, a wsią, np. w Kazachstanie lub w innych republikach. Wspomniane parę razy przez uczniów z Berlina wschodniego wycieczki wakacyjne nie zmieniają zasadniczo obrazu. Czasem, podobnie jak w stosunku do Polski, ankietyowani wyrażają nadzieję na szybkie pozytywne zmiany, gdyż jeszcze wierzą, że dzięki reformom zapanuje szybko gospodarka rynkowa. Gorbaczow (ceniony skądinąd za pomoc w zjednoczeniu Niemiec) uchodzi zresztą ciągle za symbol nadziei — wyraźne zapóźnienie w informacji:

Nic przeciw „Gorbi” (gimn., lat 13);

Cieszę się dla Rosjan, że mają u władzy Gorbaczowa, który da im wreszcie więcej wolności, nawet jeśli w sprawach wyżywienia nie wszystko jest w porządku. Ale ufam, że się to możliwie szybko zmieni, bo słyszę od wielu ludzi, którzy byli w kontakcie z Rosjanami, że są już tam pozytywne zjawiska (gimn., lat 17);

Dzięki reformatorskiej polityce Gorbaczowa następuje ostrożne i stopniowe otwieranie się w stronę kapitalizmu. Ktoś, kto stoi z boku musi to ocenić bardzo wysoko, ale jak wysoko oceniają to sami Rosjanie? Sądzę, że Gorbaczow zrobił pierwszy krok, teraz trzeba, żeby za nim poszli inni (szk.zaw., lat 18);

Gdziekolwiek więc tylko czytamy o wewnętrznych sprzecznościach proklamowanej reformy, o ofensywie konserwy i cofaniu się Gorbaczowa, a tylko sporadycznie o ruchu autonomicznym w republikach bałtyckich i innych, czy też o antagonizmach między grupami międzynarodowymi.

Wyraźniej także niż w stosunku do Polaków występuje współczucie z powodu trudnych warunków życia („Właściwie Rosjanie nie byli nigdy naprawdę szczęśliwi, wciąż musieli zaczynać od zera, żal mi ich). Równocześnie rzadziej przypisuje się przyczynę katastrofalnego stanu kraju indywidualnym cechom ludzkim. Niemniej zdarzają się i takie oceny, niepozbawione czasem elementów humorystycznych:

Przeciętny Rosjanin to dla mnie błądy, brodaty mężczyzna w futrzanej czapce, który utrzymuje się przy życiu dzięki kawiorowi i wódce, by móc w swoim kołchozie zbierać zboże (szk.zaw., lat 19);

Mówi się o Rosjanach, że cały dzień, a także podczas pracy piją wódkę (szk.zaw., lat 19);

Już słowo Rosjanin jest według mnie obelgą (Berlin wsch., szk.og., lat 13);

W kilku wypadkach uczniowie z Berlina wschodniego, bądź też pochodzący z byłej NRD, wręcz demonstrują przekorę wobec odgórnej indoktrynacji:

Ponieważ w szkole tak nam wbijano do głowy, że ZSSR to dobry i bogaty kraj, więc wiem o nim tylko same dobre rzeczy i nie wiem czy to się zgadza (Berlin wsch., szk.og., lat 16);

Rosjanie byli u nas sławieni jako wyzwolicieli od faszyzmu. Zdobyli Berlin, zatknęli tam swój sztandar. Budowano im pomniki, zakładano niemiecko-sowieckie stowarzyszenia. Byli wielkimi bohaterami. Ale co jeszcze robili Rosjanie? Gwałcili np. kobiety i dzieci. Czytałem w pewnej książce, jak poćwiartowali piłą niemieckiego żołnierza. No więc, czy zawsze jeszcze byli bohaterami? (uczennica szk.zaw., pochodząca z NRD, lat 17);

Wymowniej, niż wobec cech jednostkowych, formułują uczniowie krytyczne stanowisko wobec struktury państwowej, wobec ciężenia historii nad człowiekiem, a wreszcie wobec samego systemu komunistycznego:

Systemy komunistyczne pozbawiają człowieka wolności, zabierają mu wszystko co wykracza poza zaspokojenie podstawowych potrzeb. Zabrania mu się otwierania ust, poruszania pewnych tematów, wypowiedziania się negatywnie o rządzie... Przede wszystkim nie popiera się go w stosowaniu jego praktyk religijnych. Także luksus i dobrobyt to dla niego obce słowa (gimn., lat 17);

Uważam, że Rosjanie są zbyt podlegli komunistycznym władcom. Nie są moim zdaniem dosyć odważni. Ponieważ jest wielu Rosjan bardzo przywiązanych do swojej wiary, ale z powodu ucisku państwowego boją się chodzić do kościoła (gimn., lat 16);

Nazwy *Rosja* i *Rosjanin* oznaczają często organy władzy, a nie zbiorowości ludzkie:

Rosja traktuje wielu ludzi, np. pisarzy, jako wrogów państwa (gimn., lat 15);

Rosjanie są głupi, najprzód, po wojnie, nie chcieli oddać NRD, a teraz chcieli zjednoczenia Niemiec (gimn., lat 13);

A oto próba interpretacji historycznej i wyraźnego rozróżnienia między władzą a społeczeństwem:

Rosjanie to byli w drugiej wojnie światowej ci „źli”, czytaj: komunistyczni wrogowie Niemiec, chociaż sam naród był już od wieków relatywnie nie-wolny i od dawna poddany indoktrynacji komunizmu. Stąd powstała moim zdaniem pewna obojętność, akceptowano system tak, jak to zadecydowała warstwa rządząca (szk.zaw., lat 22, matura);

Wreszcie szczególnie nabrzmiała w Niemczech motyw (występujący zresztą w wypowiedzi tego samego ucznia, który „cieszysz się dla Rosjan, że mają Gorbaczowa”):

Uwzględniając rosyjskie zbrodnie wojenne uważam, że nie jest to w porządku, że Rosjanie nas osądzają. Niech najprzód zrobią porządek we własnym domu (gimn., lat 17).

Żydzi

W wypowiedziach na temat Żydów (najtrudniejszych, jak zwykle, do sklasyfikowania) dominują wiadomości o zbrodniach hitlerowskich. Nie ma prawie tekstu, w którym prześladowania Żydów nie wysunęłyby się na czoło. Ankietowani znają dobrze szczegóły martyrologii żydowskiej za Hitlera i wymieniają je tak często, że przytaczanie ich wydaje się zbędne.

Występują natomiast różnice w natężeniu uczuciowym. Jeśli część uczniów przede wszystkim rejestruje fakty, względnie etapy prześladowań, a potem masowego mordu Żydów, to inni wyrażają swój silny emocjonalny stosunek do ich losów. Jako

symbol tych losów pojawia się kilkakrotnie postać Anny Frank:

Przy słowie Żydzi wpada mi od razu na myśl Anna Frank. Jako 13-letnie dziecko dostałam tę książkę od matki na urodziny. „Pamiętnik Anny Frank” tak mnie fascynował, że czytałam go na pewno ze sto razy. Wczoraj, leżąc w łóżku, musiałam wciąż o niej myśleć. Czasem nawet płakałam, miała przecież takie ciężkie życie (szk.zaw., lat 18);

To jest źle, moim zdaniem, jeśli jakaś grupa ludzi jest przez całe życie prześladowana i wciąż musi żyć z tą myślą (gimn., lat 18);

Hitler uważał Żydów za rasę przeciwstawną Niemcom. Jego teorią była eksterminacja. W moich oczach zbrodnie popełnione na Żydach nie będą nigdy do odrobienia (szk. zaw., lat 19);

Miliony Żydów zostały zagazowane i zamordowane. Co oni z nimi zrobili! Strasznie mi żal! (gimn., lat 13);

Żydzi zostali przez Hitlera zgładzeni. Niestety musi się użyć tego wyrażenia, gdyż było to nieludzkie, brutalne, bestialskie (szk.zaw., lat 18);

W obozach koncentracyjnych strażnicy byli okrutni, bez skrupułów, sadystyczni (gimn., lat 15);

Osobiście bardzo, bardzo mi żal Żydów, bo Niemcy są tacy szaleni i wtedy ich wszystkich wymordowali... Nienawidzę nazistów (gimn., lat 13);

Tyle przeszłość. A teraźniejszość? Szereg uczniów pisze, że do dziś jeszcze antysemityzm ani rasizm nie został wytrzebiony:

Już po Hitlerze także uważano, że poza najwyższą rasą „aryjską” istnieją liczne „rasy niższe”, np. Żydzi lub Cyganie (szk.zaw., lat 22);

Piętnowanie Żydów jako „złej” rasy utrzymuje się częściowo do dziś. Są jeszcze ludzie, których hitlerizm bardzo pociąga. Ci ludzie dzisiaj jeszcze utrudniają życie Żydom (szk.zaw., lat 18);

Dzisiaj istnieją znowu prawicowo-radykalne grupy, które publicznie proklamują nienawiść do Żydów (gimn., lat 15);

Nawet dzisiaj nienawiść do Żydów żyje jeszcze w wielu głowach. Zwłaszcza na prawicowym końcu kulturyuje się pieczołowicie te poglądy (Berlin wsch., szk.og., lat 16);

Jak widzimy, uczniowie ostro potępiają antysemityzm „innych”. Czy znajdujemy jednak wypowiedzi, w których przejawiają się, bezpośrednio czy pośrednio, antysemickie poglądy własne? Choć statystycznie rzadkie, to jednak parę razy poglądy owe występują z całą brutalnością:

Już w Biblii Żydzi byli znienawidzeni. To byli bardzo źli ludzie, ponieważ pożyczali pieniądze na wysoki procent. Hitler miał rację, że chciał ich wypędzić z kraju. Tym niemniej nie powinien był ich zagazować... Nie musiało dojść do 6 milionów śmiertelnych ofiar. Trzeba im było dać inną nauczkę za ich niegodziwość (gim., lat 17);

Żydzi to bardzo religijny naród. Hitler chciał ich zgładzić, to mu się nie udało. Czy było to szczęście, czy też pech dla ludzkości? W tej sprawie każdy musi dojść do zgody z samym sobą (szk.zaw., matura, lat 22).

Kilkakrotnie też uczniowie sprzeciwiają się, by po 45 latach wciąż jeszcze mówić o hitleryzmie i żądać od Niemców usprawiedliwienia się za ten okres. Otrzymujemy więc osobliwą mieszankę odruchów zaczepno-odpornych z „humanitarną” przyprawą:

Prawie wszyscy Żydzi zostali zagazowani przez Hitlera. Reszta rozjechała się po wszystkich krajach... Większość z nich nienawidzi nas za okres 1933-1945 (gimn., lat 15);

To z Żydami to przeszłość. Kogo jeszcze interesuje, co się zdarzyło Żydom 40 lat temu? (szk.og., lat 14);

Tysiące Żydów, jak też Polaków i Rosjan, zostało spalonych w Buchenwaldzie i w Sachsenhausen. Ja sam nic za to nie jestem winien. Akceptuję i uważam za słuszne, że ich przepraszone i że się z nimi utrzymuje przyjazne stosunki. Ale nie uważam za słuszne, że Żydzi wymagają od nas, byśmy się w 45 lat po wojnie wciąż jeszcze za te zbrodnie usprawiedliwiali. Dziś to już inne pokolenie, którego nie można dłużej czynić odpowiedzialnym (Berlin wsch., szk.og., lat 15);

Mówiłem już z wieloma Żydami, częściowo w Niemczech, częściowo we Francji na urlopie. Wszyscy Żydzi chcą od razu rozmawiać o zagładzie. Żeby, jak mówią, nie pozwolić tej sprawie przejść do przeszłości. Nie wiem, czy to jest rozwiązanie... W ten sposób podsyca się znowu nienawiść do Żydów. Uważam także, że nasza telewizja pokazuje za dużo filmów, które mają wciąż naciskać na nasze gruczoły łzowe (gimn., lat 19);

Autorzy dwóch ostatnich wypowiedzi, jak też paru innych, sięgają do konfliktu izraelsko-palestyńskiego⁴, by wyładować agresje własne. Powstaje wtedy znana zbitka atmosferyczno-pojęciowa. Nie chodzi o jakąkolwiek próbę refleksji, chociażby najbardziej krytycznej, chodzi natomiast o odwet psychologiczny. Oto najdrastyczniejszy przykład:

To co robią dziś Żydzi w swym własnym państwie można już prawie porównać do działań Niemców przed 45 laty. Niech pilnują swego nosa i zrobią porządek u siebie (Berlin wsch., szk.og., lat 15).

Niewątpliwie podobne postawy wywodzą się z atmosfery domu rodzicielskiego, przy czym warto zauważyć, że owi rodzice to tylko *spadkobiercy* ideologii hitlerowskiej. Bezpośrednio w nią zaangażowane mogły być już jedynie pokolenia dziadków. Zdarza się, że odcinając się sami od poglądów hitlerowskich, uczniowie bądź tylko rejestrują, bądź traktują z pewną dozą tolerancji opinie swoich protoplastów:

Żydzi byli napiętnowani, nie byli akceptowani. Moim zdaniem nie wolno, zwłaszcza w młodym wieku, pozwalać sobie na klasyfikowanie ludzi.

4. Ankieta była przeprowadzana przed wybuchem wojny ze Irakiem. Brak więc jakichkolwiek implikacji tego wydarzenia.

Ale trzeba też zrozumieć starsze generacje, które reprezentują jeszcze czasem rasistowskie poglądy (szk. zaw., lat 18);

Kiedy słyszę słowo Żyd, nie myślę od razu o antysemityzmie, lecz o pracowitych, zapobiegliwych mieszczanach średniowiecznych. Słyszeliśmy od dawna, jak rodzice mówili „on handluje jak Żyd” i naturalnie szukaliśmy przyczyny tego powiedzenia. Potem myślę oczywiście o prześladowaniach Żydów w Trzeciej Rzeszy, o wychudłych ludziach z ogolonymi głowami, o obozach koncentracyjnych, o gwiazdach żydowskich i płonących synagogach (szk.zaw., lat 19).

Raz tylko występuje wyraźne skonstrastowanie własnej postawy z postawami starszych:

Te smutne losy Żydów jeszcze dziś skłaniają do namysłu i skruchy. Ale z rozmów ze starszymi ludźmi, którzy żyli w tamtych czasach, wynika, że reprezentują oni ciągle nastawienie narodowo-socjalistyczne (gimn., lat 16).

Czy ankietowani zastanawiają się nad źródłami antysemityzmu, historycznego jak i współczesnego? Znajdujemy w wypowiedziach dwa główne motywy: ekonomiczny (Żydzi, nie dopuszczani do wielu zawodów, osiągnęli wielkie sukcesy w aktywności gospodarczej już dawno, a także później, co budziło zazdrość lub wręcz nienawiść) oraz *religijny* (wyznawali *inną* religię). O ile pierwszy z tych motywów wydaje się *wyuczony*, prawdopodobnie na lekcjach historii, a czasem w świadomości niektórych uczniów stopniowo upraszczany i deformowany („Żydzi mają niedobry *image*, jeśli idzie o pieniądze”) — o tyle motyw drugi pobudza do wyrażania poglądów własnych. I okazuje się wtedy, że problem odmiennej religii uchodzi wielokrotnie za *najważniejszy*. Wprawdzie sporadycznie przypisuje się Żydom pewną przesadę w postawach religijnych, co *nota bene* świadczy ponownie o niedostatkach informacji („Są fanatycznie religijni”; „Podobni w tym do wyznawców islamu”; „Ich problemem jest utożsamianie religii z państwem”; „Mają zbyt surową religię, która pozostawia im za mało wolności”) — ale przeważa decydująco *pełna akceptacja pluralizmu religijnego*. („Może byli prześladowani dlatego, że nie chcieli wyrzec się swej wiary, za co ich podziwiam”; „To bardzo źle, że prześladowuje się kogoś za inną religię”; „Żydzi nic złego nie zrobili, też wierzą w Boga, tyle, że nie w Chrystusa”; „Żydzi, to przecież też Niemcy, tylko mają inną religię”; „Chrystus był Żydem i wśród nich dorastał”; „Mówienie że zabili Chrystusa, to idiotyzm, przecież Chrystus sam był Żydem”; „Religia żydowska to podstawa chrześcijańskiej”) — oto kilka przykładów nieklamanej tolerancji.

Ale kto to są w końcu ci Żydzi, o których chodzi? Czy uczniowie, określający ich losy i ich cechy, zdają sobie sprawę, jakie wewnętrzne spoidła wiążą tę zbiorowość?

Kilka wypowiedzi:

Polacy i Rosjanie to są głównie Żydzi (Berlin wsch., szk.og., lat 13);
Wielu polskich obywateli to byli podczas drugiej wojny światowej Żydzi (szk.zaw., lat 18);

Żydzi są rozproszeni, nie mają stałej siedziby (Berlin wsch., szk.og., lat 15);

Wszyscy Żydzi wyemigrowali po wojnie do Izraela (Berlin wsch., szk.og., lat 13);

W Izraelu walczą o swoją samodzielność (Berlin wsch., szk.og., lat 13);

Tacy sami ludzie jak my, tylko mają inne obyczaje (Berlin wsch., szk.og., lat 13);

Żydów można najczęściej rozpoznać po pewnych cechach charakterystycznych, a to znaczy, że się za mało przystosowują i to jest moim zdaniem powód, który utrudnia zaakceptowanie ich przez otoczenie (gimn., lat 17);

Stosują się do nakazów Tory. Dla nich Zbawiciel jeszcze nie przyszedł. Sabat zaczyna się w piątek i nie wolno wtedy pracować. Chłopcy są w dzieciństwie obrzezani (gimn., lat 15);

Przedtem uważałem Żydów tylko za ortodoksów. Ale gdy poznałem młodzież z Izraela, zobaczyłem, że oni są tacy sami jak my, i ubierają się też tak samo (gimn., lat 18);

Mój brat żyje z Żydówką i mam z nią bardzo dobre stosunki (szk.zaw., lat 21).

A więc wyróżniają się czy integrują? Są swoi czy obcy? Tacy sami czy inni? Należą do Izraela, do narodów, wśród których żyją, czy też nie należą nigdzie?

Jak widzimy, informacje bywają nieścisłe, pojęcia nieostre, granice płynne.

Wnioski bez korelacji

Co z tego wszystkiego wynika? Może dość ciekawe jest i to, co nie wynika. Oczywiście w podobnej ankiecie trudno uchwycić wszelkie możliwe korelacje, wzdłuż, wszerz i na krzyż. Lecz poza pewnym naturalnym u uczniów z Berlina wschodniego wspólnym spojrzeniem, nie udało mi się też wykryć zależności zdawałoby się prostych, a więc np. jednokierunkowych związków między dojrzałością poglądów i sposobem sformułowań a wiekiem względnie typem szkoły. Ponieważ przemieszania bywały zaskakujące, poprzestaną na wnioskach, bez korelacji.

Wypowiedzi wykazują, że zasady *równościowe* weszły dość głęboko w myślenie tutejszej młodzieży. Na ogół zwrot „człowiek jak ty i ja” nie wydaje się obowiązkowo odbębnianym frazesem, lecz pojęciem akceptowanym także uczuciowo. Nie znaczy to wcale, że wszyscy ludzie są równi, znaczy tyle tylko, że różnice między ludźmi nie stanowią o większej wartości jednych

niż drugich. Dopiero z tej, prawie powszechnie przyjętej platformy, dokonuje się różnicowanie, które mieści się w prawidłach poszanowania człowieka, chociaż nierządno, w obliczu konkretnych sytuacji, powoduje chwiejność i bezradność. A zdarza się — jak widzieliśmy — że deklarowaną zasadę równości grzebią doszczętnie sformułowania pogardliwe czy wreszcie — w skrajnych wypadkach — zaczadzone tradycją hitlerowską.

Nie ma to nic wspólnego z „socjalistyczną” walką starego z nowym, kiedy to stare musiało koniecznie kapitulować, a nowe koniecznie zwyciężać. Okazało się, że uprzedzenia stare, prawie historyczne, idą czasem w parze z odczuciami najnowszymi. Wolno raczej przypuszczać, że w świadomości uczniów rozgrywa się konfrontacja między przyswojoną już sobie i bliską emocjonalnie teorią *równościową* a przeżywaną różnorodną praktyką. Jest to konfrontacja wcale nie łatwa, przez jednych podejmowana z powodzeniem, ale innym przysparzająca kłopotów. Można tę huśtawkę zaobserwować dokładnie na przykładzie materiału z Berlina wschodniego, czasem tak humanitarnego, że aż rodzi podejrzenia o konformizm, a czasem napastliwego do potęgi.

Łatwo zauważyć, że strona materialna odgrywa u ankietowanych rolę absolutnie nadrzędną, przy zupełnym prawie pominięciu problemów kultury. Ewentualnie sport jeszcze budzi zainteresowanie — polscy piłkarze, sowieccy lekkoatleci i hokeiści uzyskują u uczniów dobre lokaty. Ale bodaj tylko po jednym razie dla każdej z trzech grup natknęłam się na uwagi w rodzaju: „Polacy mieli wybitnych poetów”; „Rosjanie wielkich pisarzy i wielką kulturę”; „Żydzi byli wykształconymi ludźmi”. Zaledwie dwie czy trzy wymienione książki — obok „Pamiętnika Anny Frank” zaskakuje znieścacka, na tle kontekstu całej ankiety, przytoczenie tytułu „Pojęcie Boga po Oświećmie” Hansa Jonasa. O filmie, teatrze, potrzebach wymiany kulturalnej — ani słowa. W jakim stopniu zawinił tu dom rodzicielski, a w jakim szkoła — nie wiadomo, trzeba by badać oddzielnie. Tak czy owak, głównej wymowy tekstów nie da się podważyć. Podstawowym kryterium oceny⁵, stosowanym nieskończenie częściej niż nawet sprawa wolności, jest rozmiar dostępu do dóbr materialnych. Konsumenci zaspokojeni patrzą na niezaspokojonych. To może najjaskrawsza różnica w stosunku do ankiety warszawskiej.

Jeszcze, jeszcze tli się tu i ówdzie wspomnienie „Solidarności”. Jeszcze nie wygasły do końca nadzieje związane z Gorbaczowem (choć rychło pewnie wygasną). Poza jedyną wzmianką o uczuciach zemsty w stosunku do zwycięzców w wojnie u in-

5. Chodzi o poglądy na Polaków i Rosjan.

nych kolegów, nie ma w ankiecie śladu myśli „rewanżystowskich”, nawet — nie jedyny to paradoks — u obrońcy ataku hitlerowskiego na Polskę. Uderza np., że uczniowie z Berlina wschodniego skarżą się częściej na skutki indoktrynacji *domorosłej* niż na rolę Sowietów jako okupanta. Szczerze i przyjaźnie brzmią też życzenia dla Polaków i Rosjan, by udały im się gospodarcze i polityczne przemiany. Jednak nie ma co się łudzić. Jak długo trwać będzie nierówność materialna, jak długo Polacy, czy od jutra może obywatele sowieccy, przyjeżdżać będą jako konkurencji do pracy, mieszkań i — jeśli idzie o tereny byłej NRD — do towarów, tak długo w umysłach wielu tutejszych ludzi, młodszych jak i starszych, utrzyma się ów *image* biednych społeczeństw wschodnich, które przegrały wyścig do osiągnięcia cywilizacji przemysłowej. Przypisywany winie tych społeczeństw czy też własnym winom, konstatowany z zalem lub bez — służy on za pożywkę dla poczucia własnej wyższości.

Smutno i przykro, że pierwszą ofiarą podobnych uczuć stają się Polacy. Równocześnie poglądy na Polaków w swoich odmianach tak piętnujących, jak i obronnych, wydają się najbardziej bezpośrednio. Obraz Rosjan bywa już przefiltrowany. Tendencję lekceważącą łągodzi tu niezakwestionowana dotąd przez uczniów ranga sowieckiego supermocarstwa, a zatem świadomość pewnej zależności, jak także brak aktualnej konkurencji w codziennym bytowaniu. Co do Żydów, przebywających tu *nota bene* w liczbie znikomej, to do takiej konkurencji nie stają oni wcale. A o szukaniu ich przez łupę jako kozłów ofiarnych za wszystko, co się aktualnie nie udaje, ani się śni ankietowanymi uczniom. To też różnica w porównaniu z Polską. Niestety.

Skądinąd stosunek do Żydów przedstawia się swoiście. Z jednej strony pamiętajmy, że ankieta wykazała szeroką tolerancję religijną. Pewnie, można ją przypisywać daleko wśród Niemców posuniętemu indyferentyzmowi w sprawach religii. Niemniej w ramach dwuwyznaniowego społeczeństwa, które w wielu sytuacjach życiowych odczuwa konkretnie niewygody podziałów religijnych, ta młodzieżowa, spontanicznie-naïwna pochwała rozszerzonego ekumenizmu powinna cieszyć.

Z drugiej strony zaobserwowaliśmy jednak, że uczniowie nie bardzo wiedzą, gdzie Żydów przyporządkować. Nawet na myśl im nie przychodzi, jak nieprzydatne są tu *wyłącznie religijne kryteria*, jak gruntownie rozmijają się z historią i ze współczesnością. W opisach niedalekiej przeszłości (aż do Hitlera) ankietowani traktują Żydów jak gdyby z perspektywy *etnograficznej*. Absolutnie wyodrębniona z reszty społeczeństwa grupa religijna, obyczajowa, językowa, prawie zawsze ortodoksyjna. Ocena w kategoriach prawie „skansenu” przesłoniła drugą część prawdy,

te mianowicie, że tuż obok działała całkowicie zintegrowana, żydowska część tej samej co inni obywatele niemieccy zbiorowości, czasem religijna, czasem świecka część liberalnej inteligencji, a także elit intelektualnych w Republice Weimarskiej. To wszystko zginęło w ciemnej przepaści, wypełnionej już tylko statystyką umarłych.

Spośród wypowiedzi, które starałam się rozgryźć, wiele — jak pisałam — miało charakter rejestracyjny, inne promieniowały ciepłem ludzkim, niektóre wreszcie mogły przerazić, a wiadomo, że przekazy negatywne bardziej wdrażają się w pamięć niż pozytywne. Sądzę jednak, że gdy pozytyw i negatyw wziąć na szalę, widać z tej ankiety, jaki na przekór wszystkiemu wysiłek wychowawczy się w Niemczech dokonuje. Z tym oczywiście, że do ponad-narodowej, wspaniałomyślniej Europy, a cóż dopiero do harmonijnego współżycia wszystkich numerowanych dzisiaj światów, jest w głowach tej młodzieży tak samo daleko, jak w rzeczywistości.

3 marca 1991

Kamila CHYLIŃSKA

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île, 75004 Paris, France.
Métro: Pont Marie. Telefon: 43-26-51-09.

KSIĄŻKI POLSKIE □ KSIĄŻKI FRANCUSKIE
DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ □
PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA FRANCUSKI.
KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE ŻĄDANIE.
KSIĄŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT.
WSPÓŁCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ
GALERIE LAMBERT

Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzili najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej Wyspie Świętego Ludwika.

Kraj

Z ukosa

Wir konfliktów od chwili, gdy władza wpadła w nasze ręce, wyrzucił do góry fontanny błota. To poruszenie gleby obudziło kreatury, całe zastępy, które przycupnęły w szczelinach, teraz wystawiają pyski, wachają, a czując ten swojski zapach paskudztwa i widząc, że „czyści” ochlapują się błotem, podciągają wyżej tułowia pewni, że już teraz nikt ich nie odróżni.

Triumf ludzi wczorajszego reżimu wywiesza sztandary. We wszystkich kioskach mieni się barwami kloaki pismo Jerzego Urbana *Nie*. A w nim znakomicie dobrany zespół asenizatorów ma pracy po łokcie. Jak się zdaje, właśnie ten uroczy basenik pozwolił sfinansować Rakowskiemu pismo *Dziś*. Poważny periodyk. Jego powaga na dzisiejszym tle doprawdy wzrusza. Rakowski jak pouczał tak poucza. Przypomina znanego z miliona gończych listów gwałciciela rozpruwacza, który jakby nigdy nic udał się do pensji dla panienek robić publiczny wykład o dobrym prowadzeniu się. Cytując, zapewne niedbale, prof. Geremka — jesteśmy społeczeństwem do demokracji niedojrzałym — Rakowski, który jak wiadomo zawsze szanował demokratyczne aspiracje naszego społeczeństwa pisze: „Wypowiedź prof. Geremka uważam za znamienne, ponieważ w gruncie rzeczy jest ona przejawem wyniosłego stosunku do mas ludowych — czyli jak to się teraz mówi — społeczeństwa”. I dalej, ze wzruszającą nutką współkrytyczną: „Ale chodzi o to, czy oni (Solidarność) będą żyć z nas, jak my z sanacji przez dwadzieścia lat?”

Pytanie zresztą zasadne, a padliny doprawdy starczy na stulecie.

Kłótnie wczorajszych towarzyszy broni, weteranów 10-letniej wojny z reżimem, otworzyły linie frontu na szerokich przestrzeniach wygranej kampanii. Powszechnie ujawnia się zjawisko, które nazwiemy „efektem Tymińskiego”. Gdzie dwaj się

klóć, wygrywa trzeci, nikomu nie znany, człowiek znikąd, wielce podejrzany.

W dzienniku *Czas* napisano, że w swoim tekście bluźnię przeciwko Ojczyźnie, gdzie indziej ktoś twierdził, że nie lubię Polski. Problem bluźnierstwa niech podpira zmurszałą ścianę naszego zaścianka, natomiast sam jestem ciekaw, jaki jest stan mojego ducha wobec Polski. Nie zajmowałbym się załatwianiem publicznie swoich potrzeb duchowych, gdyby nie podejrzenie, że w tym ustępie nie jestem sam. Mamy jak się zdaje dosyć Polski, jak ma się dosyć nieznośnej żony, ale cóż z tego... nie ma szansy na drugie mieszkanie, chyba, że na innej planecie, a do tego tyle pięknych wspólnych przeżyć, takie udane dzieci, i mimo wszystko nie wyobrażamy sobie życia bez niej. A więc to dożycie. Na dodatek coraz częściej odkrywamy, że nie tylko ona jest nieznośna, że my nie lepsi. A pod podszewką codziennych kłótni i zgrzytania zębów jest po prostu miłość. I okrutny żal, że ta którą kochamy nie spełnia naszych oczekiwań.

Gdyby zapytać jakiegoś prawdziwego Polaka, choćby to był minister mecenas Chrzanowski — czy Norwid, Piłsudski, Gombrowicz, Miłosz są dobrymi Polakami, odparłby — tak — z lekkim wahaniem, bo oprócz Norwida wszyscy niepraktykujący. Gdyby temu samemu Prawdziwemu Rodakowi przeczytać bez podania nazwisk, co ci Wielcy o Polsce pisali i mówili, gdyby nasz Rodak przeżył taką kurację, wykrztusiłby jęk oburzenia: — „tak może myśleć tylko obcy i śmiertelny wróg Polski”. Zdumiewające, jak wielbi się u nas wielkich, nie słuchając ich. Jak obrzuca się błotem małych i jak pilnie ich się słucha.

Prowincjonalność Polski. Reżim roztrzaskał się u naszych wybrzeży wylewając tony paskudztwa. Wielka katastrofa ekologiczna. Jedną z substancji zalegających nasze wody jest prowincjonalność. Prowincjonalność naszej produkcji, naszych intelektualistów, Kościoła, polityków. Uprzednio wszystko stłoczone w zamknięciu, niewidoczne, teraz jesteśmy wolni i wolne są nasze demony.

W kilka tygodni po wyborach niewiele zostało z wielkich emocji. Z ukrycia wypelzli zapomniani Żydzi, Niemcy, Ukraińcy. I nieustannie gdzieś dzwoni, ale nie wiadomo gdzie i na co. Strach gasić światło, strach je zapalać.

Tadeusz Mazowiecki bez wątpienia zasłużył na klęskę, ale czy Wałęsa zasłużył na zwycięstwo? Chyba wątpię w to już nawet jego wczorajsi apologety. Z przyspieszenia zostało tylko sapanie, z wymiecienia nomenklatury trzonek miotły, który może się przydać, by łać swoich niesfornych po karku. A więc trzeba

było wspiąć się na prezydencki fotel, by stwierdzić, że właściwie niczego zmieniać nie trzeba.

Najbardziej banalny scenariusz zdarzeń jest teraz realizowany. Wkrótce wszystko jednak pójdzie w zaskakującą stronę, to pewne, ale początek mdły. Wokół Wałęsy tworzy się mocny ośrodek władzy, zwany coraz częściej przez złośliwych biurem politycznym. Z Gdańska przyjechało kilka pociągów, w których jednak tylko kilka przedziałów było pełnych. Wyszli z nich dosyć młodzi ludzie, dosyć przestraszeni i bezradni. Udali się do Urzędu Rady Ministrów i dopiero tam wpadli w panikę. A ten stukot młotków w pobliskim Belwederze — to jeszcze nie wybijają niczego z głowy, to tylko budowana jest kaplica dla Prezydenta. Początek władania bardzo jednak ekumeniczny, żadnego „wietrzeńca Warszawy”. Świta Prezydenta, której marzyło się trzepanie skóry przeciwnikom cierpi na ból zębów, a Porozumienie Centrum nawet bąka nieśmiało, że przepelźnie do opozycji. Króluje polityka obłaskawiania — nawet śmiertelni wrogowie Wałęsy dostali niezwykle prezent w postaci telefonu od Prezydenta. Do Walentynowicz i Gwiazdy dzwonił Belweder podobno aż po pięć razy, a i Geremek z Michnikiem otrzymali propozycje tak czułe, że za Boga nie chcą się do nich przyznać. Tak oto wielka pewność siebie i jej brak połączyły się w jednym człowieku w jedno. Ludzi można obłaskawić, ich próżność najpierw się nastroszy, a potem zacznie jeść z prezydenckiej ręki. Ale co zrobić z demonami, z milionem małych demonów, które legły się w trakcie kampanii wyborczej, dojrzewały na wiecach, by w końcu wyfruwać ze szczelin w nieprzemysłanych zdaniach? Prezydent chce wędrować po kraju, by zbierać głosy ludu. On nie da się nabrać, będzie się przebierał, będzie spadał jak jastrząb na nieprzygotowane fabryki, ale czy przewidział worek na demony? Jedną z takich form wędrówek są audycje w radio. Dół dzwoni, a góra odpowiada. Oto Prezydent deliberuje z niewiastą, której nagromadziły się zapasy koperku. Jak go teraz sprzedać? Pytany o żonę, czy prawda, że jest w 8 miesiącu ciąży, wesoło zaprzecza: — „Teraz warsztat jest już na górze”. (Lud ten dowcip zrozumie, a intelektualistom wyjaśniam — Prezydent miał na myśli, że teraz „produkcją” Wałęsów zajmie się Lechowe potomstwo.) Szanuję intencje nieodrywania się od mas, ale boję się, że to wszystko realizacja wizji kraju jako dużego gospodarstwa rolnego, tu świnie kwiczą, trzeba dosypać paszy, tam krowie przed dojeniem nie umyło wymion — kto jest winien? — a sami znajdźcie winnego. Coraz bardziej widać, że co miało być ukrytym programem, tajemną bronią nowej ekipy, jest okrzykiem: „Są problemy? Bierz Pan je w swoje ręce i rozwiąż”.

A nowy Premier? Raczej sympatyczny. Sam przepasza, że się pojawił, on tylko na chwilę.

Obecny młody rząd w ciągu dwóch miesięcy zestarzeje się i okrzepnie, a wtedy nieuchronny konflikt z Prezydentem jak plama ropy wypłynie na wierzch. (Ciekawe, jak się rozwinie podskórny konflikt nowej ekipy z grupą Balcerowicza, która trzyma pieniądze, a więc ma władzę). Nasza przekora narodowa zacznie wkrótce budować parlamentarną przeciwwagę dla coraz obfitszego urzędu Prezydenta. Zacznie się wojna Prezydenta z Parlamentem, a rządy będą, jak mówił Wałęsa — zderzakami w samochodach (model przedwojenny — należy dodać). Czym będzie trzecie wcielenie „Solidarności”? Czy włoży swój kij w mrowisko, zalewając kraj falami strajków i niemożliwych do spełnienia żądań socjalnych? Podobieństwa do przedwojennej choroby staną się uderzające, podobnie jak różnice. Bo czyż nasz organizm narodowy, chory po czterdziestu latach hibernacji, nie próbuje nieświadomie odtworzyć tego, co było przed zabiegiem?

Powszechnie mówi się o nieuchronnej dyktaturze, intelektualści unoszą ostrzegawczo brwi, nawet bracia Kaczyńscy przed nią ostrzegają, Wałęsa kręci głową — ja nigdy — i ogląda się, bo to ma być ktoś spoza naszych coraz szczuplejszych solidarnościowych pleców.

Otóż nie będzie dyktatury, będzie tylko bałagan, i ewentualnie bałaganiarska dyktaturka, ale dyktatura, nigdy. Jakoś dziwnie jestem pewien, że nie będę wypluwał tych słów wraz z zębami.

Znowu urzędy, korytarze, z wykładziną, która wydaje się być wytartą sierścią wielogłowego potwora biurokracji, cieknące krany, bolesny brak papieru toaletowego i znajomi w gabinetach jak pająki zaplątane w własną sieć. X. był jeszcze miesiąc temu w świetnej formie, fascynowała go nowość własnej sytuacji i te bezmierne przestrzenie możliwych zmian, tytaniczna praca rozkładała powabnie nagie wdzięki na kanapie przyszłości. Teraz, co wydawało się powabem, okazało się starą na wpół sparaliżowaną kobietą, a odległe horyzonty podeszły i zamknęły się w ścianach, gdzie ciężko wiszą niegustowne obrazy nad meblami, które ujawniły swoją ociężałość. Niemal wszyscy nowi ludzie niedawno przez niego zatrudnieni okazali się nieudacznikami. Poczucie, że wokół wszystko zastyga, a on pomału staje się częścią tej niemożności, że zaczyna się przyzwyczajając, albo zaczyna się przyzwyczajając, że nie może się przyzwyczać. Wczorajsza wizyta w pewnym ministerstwie spędziła mu tej nocy sen z powiek. Przybyła tam grupa nowych ludzi, bo to jedno z niewielu miejsc, gdzie ktoś kogoś zmienił. Bardzo mili, kulturalni i bezradni jak zgubione w tłumie dzieci.

Dzwoni do mnie X. i mówi, że jak skończy wizytę u szefa, wpadnie do mnie na herbatę. Jako, że gabinet jego szefa mieści się w dawnym gabinecie generała Kiszczaka, czuję jak po grzbiecie przechodzi mi dreszcz, kiedyś drapieżne zwierzątko, teraz zwierzątko zdziwienia. Pamiętam światła palące się w górnych piętach Wielkiego Urzędu, czujne oko monstrum, którego macki podsłuchów nawet w nocy unosiły prześcieradła naszych mieszkań. Teraz X. jest u szefa Urzędu jako kolega. A mnie tylko brak czasu uniemożliwia, by przejść się znanymi korytarzami i pukać do drzwi, gdzie wczorajsi prześladowani, młodzi z WiPu siedzą z generalskimi gwiazdami na ramionach w pokojach gdzie jeszcze wczoraj byli przesłuchiwanymi.

X. w końcu dociera do mnie, lubię go, stwierdzam to z radosnym zdziwieniem, bo tak niewiele zostało z wielkiego wzajemnego lubienia się w naszym środowisku, on szczęśliwie ocalał. Ma dużo pracy, o takiej pracy zawsze marzył, ale nie jest szczęśliwy — jestem smutny na tle smutnego kraju — mówi.

Wymarzone przez niektórych wietrzenie, trzepanie i rozbijanie betonu ma na razie miejsce tylko w telewizji, gdzie energicznie zabrał się do pracy nowy szef. A przecież z mojego punktu widzenia to tylko jeden znajomy zastąpił drugiego. Znajomi są po obu stronach otwartej nagle przepaści i doprawdy czasami o ich pozycji zadecydowało tylko miejsce, gdzie stali, gdy otwierała się dziura. Jak zatrzważająco mała jest talia nowych politycznych kart. Terlecki na podobieństwo mitycznego rycerza ruszył na smoka i łupie go mieczem, smok co prawda związany jak baleron, ale to i tak godne podziwu, bo rąbiąc takiego potwora można się utopić choćby w jego krwi. Zresztą jak na razie odrąbano tylko jakieś małe organy. Sam zwiedzałem zdumiewające miejsca z telewizji, gdzie wskazówka zegara zatrzymała się pod koniec lat 50-tych, aż szkoda będzie burzyć taki zabytek. Jak zwykle u nas, najbardziej martwi zniszczenie ludzkiej infrastruktury. Rozmawiając z ludźmi z radia i telewizji uzyskałem jeden zgodny głos — atmosfera tam już od dłuższego czasu nie lepsza niż w stanie wojennym, lęk, podejrzliwość, donosy.

Jako że koncepcja Terleckiego skrajnie różna niż Drawicza, ciekawie będzie obejrzeć, kto miał rację. Boję się, że rację może mieć ten wielki trzeci — nasza niemożność.

ROAD, kierowany przez dwóch jeszcze młodych robotników o partyzanckiej przeszłości, skupia grupkę inteligenckich emerytów. Głowa więc nie pasuje do tułowia, a tułów sam nie wie czym ma być, trudno się dziwić, skoro głowa niepewna siebie, a lewe oko zaczyna się spierać z prawym. Ja sam ze sobą stoczyłem spór, czy pójść na obrady ROAD-u? Nie poszedłem.

Jakoś nie mogłem patrzeć na znajomych szepconych w bezradnych sporach. Kością niezgody stał się Tadeusz Mazowiecki i Unia Demokratyczna — czy skupiać się wokół tego, co przegrał? Tak oto rozeszły się drogi Frasnika i Bujaka, a to już doprawdy jakby ktoś podzielił włos na cztery. Biedny obywatel nic z tego nie rozumie, nie jest nawet w stanie zapamiętać nazw, Ruch Obywatelski — Akcja Demokratyczna, Porozumienie Centrum, Unia Demokratyczna, Forum Prawicy Demokratycznej, już od tych nazw robi się niewyraźnie, kto z kim i właściwie po co. Czym się różnią? Czy tylko gorącą wzajemną awersją liderów? O tak, na górze nadal gotują się niechęci, ale na dole już chłodno. Tam wczorajsze spory zmieniły się w bliźnię, a na tej bliźnie nie chce teraz rosnąć choćby jeden polityczny włos. Czym więc mają się żywić nasze partie? Są, jak dzieci, które od razu zmieniają się w karły. Miarą ubóstwa naszego życia politycznego jest ustawa antyaborcyjna, która staje się ostatnią deską ratunku, by się określić. Pewne szanse na określenie się daje też religia w szkołach. Ale kto się odważy być „przeciw”, może oprócz tych co i tak już wszystko stracili?

„Jedną z przyczyn patologii społecznej jest skażenie duchem ateizmu, najgorszą z religii pustoszącą umysły i serca” — takie oto słowa płyną spod skrzydeł ministra sprawiedliwości. Mówi się już, i to poważnie, o zakazie rozwodów. Znajomy ginekolog opowiada, że ma przypadki zgłaszania się kobiet, którym ksiądz polecił wyjąć spiralę antykoncepcyjną.

Pewien wybitny Polak mówi mi — „nadszedł czas, by odsunąć się od polityki i wracać do swojej pracy”. A jeszcze miesiąc temu pamiętam, jak wbrew swojej żonie, upierał się — „narozrabialiśmy, przegraliśmy, nie wolno się teraz wycofać”.

J., która była żywym świadectwem nieugiętych uczuć wobec „Solidarności”, skarży się, teraz szczególnie ciężko doświadczona. — „Kazali mi wybierać między naszymi, to było okropne, a kiedy wybrałam, nasi zaczynają się znowu dzielić, ale ja nie potrafię już wybierać, zostaję w domu”.

Wolność wychudziła u nas wszystko. To, że „prawda” tak schudła to naturalne, „prawda” ma muskuły tylko w świecie kłamstwa. Ale konsekwencje tego zabiegu okazały się ważkie dla wszystkich zawodów posługujących się słowem. Pojęcie „chudy literat” zyskuje dzisiaj nowy wymiar.

Dom Literatury stoi okrakiem nad ruchomymi schodami, pierwszymi ruchomymi schodami w Warszawie, których szum poruszał ocean moich dziecięcych emocji. Z okien biblioteki można zajrzeć w błękitne oczy króla Zygmunta stojącego na kolumnie. W sali, która wdzięcznie się zaokrąglą, odbywały się w czasach stalinowskich procesy literackich czarownic, ale nikogo

nie spalono tylko składano samokrytyki i recytowano wiersze u czci słońca ludzkości. To tam stojąc na mównicy stracił przytomność Jerzy Andrzejewski, gdy jego wzrok spotkał siumienie partii płonące w oczach Jasi Broniewskiej. Tam rzucono w paszczę partii pierwsze gesty sprzeciwu. To z pierwszego rzędu tej sali, gdzie po „Liście 34” Marię Dąbrowską gromił kłopotuchy aparatczyk Zenon Kliszko, odezwał się przenikliwy głos Belli Czajki — „głośniej, synku”. To tu rwano na strzępy duszę naszej literatury, romansowano z diabłem, tu były pierwsze szarże pisarskie na czołgi i kielkowała opozycja. W mury tej pięknej kamienicy wżarł się pasożyt stanu wojennego, „nowy” ZLP, ukradł dawnemu nazwę i skorupę. Dzisiaj nasza pełzająca rewolucja kazała zamieszkać pod jednym dachem pasożytowi ZLP i nowopowstałemu dziedzicowi prawdziwego ZLP, Stowarzyszeniu Pisarzy Polskich. Aby to się stało, musiały nagle skapnąć emocje. Jeszcze rok temu takie bytowanie pod jednym dachem było niemożliwe, już problem używania wspólnych toalet miał wymiar szekspirowskiego dramatu.

Zwiedzam po latach niebywania słynną stołówkę w podziemiach. Dzisiaj tu wszystko odkażone, odmalowane i wyparowała anatema. W tej słynnej stołówce tury, żubry i wilkołaki naszej literatury kierowały publicznie do ust łyżki pełne niezwykle taniej strawy, zawsze o tej samej godzinie wirował stolik Konwickiego, a na tle dostojnego krajobrazu zataczał się i chrypiał Himilbach, w kawiarni na górze odsłaniał swoje owłosione ręce Janusz Głowacki i przysiadł się doń Leśmiano-podobny Julian Strykowski, dopiero co wysiadły z pustej karety. Wszystko tu było prawie za darmo, może oprócz prawa wstępu zarezerwowanego dla wybranych, dla naszej słodkiej warszawskiej śmietanki, *crème de la crème*, i ten złakniony wzrok aspirantów omiatający czule salę pełną literackich skarbów, i szlachetny snobizm, który można było zeszkrobywać widelcem ze ścian, ileż on miał kalorii!

Dzisiaj ściany zostały pobielone, pawią się nowe meble, wszystko niby staranniejsze, ale zupełnie bez znaczenia. Wielkie głowy zastąpiły średnie lub anonimowe, a nawet gdy pokaże się ktoś z nazwiskiem, to też jakby chudszy, lżejszy, nieprawdziwy. Na spotkaniu, gdzie przybyli prawie wszyscy ze świata naszej literatury, chudo i mdło. A przecież to już czasami nie tylko pisarze, a wielcy politycy, prezydenci miast, przyszli dyplomaci. Ale ze ściany już nic nie zeszkrobiesz i coś szepce — to bez znaczenia.

I to samo w prawdziwym pisarskim majątku w słynnych Oborach pod Konstancinem. Odnowiono barokowy pałac, park został ostrzyżony *à la punk*, stawom dano wyraźny brzeg, a pobliski PGR, tak niegdyś starannie odgradzony, teraz bezwstyd-

nie prześwituje. Gdy wjeżdża się przez wysoką bramę drogą która otwiera pałac, harmonia tej przestrzeni gra jak w dobrych latach marsz weselny. Na ganku, dzisiaj ścietym przez mróz, pusto, ale ja widzę siwo-łwią głowę Wańkowicza i Słonimskiego, pięknego świerszcza jadącego triumfalnie na rowerze, łatwiej powiedzieć kto tu nie był, jeśli w ogóle ośmielił się istnieć taki pisarz. Aż gęsto, aż gorąco od duchów wielkich, strach iść, by nie nadepnąć na czyjaś stopę, na dopiero co zaczęta książkę z już dawno napisanym epilogiem.

Grupka manadżerów, nie wyglądających na manadżerów, odbywa kurs po angielsku, z takich kursów żyją dzisiaj Obory, ledwie żyją. Właśnie przybyła dwójka muzealników z Warszawy, oglądają i opisują resztki zabytkowych mebli ocalałych po remoncie, są czujni jak poborcy podatkowi. Nawet te resztki chcą nam zabrać i przenieść na warszawski zamek — szepce kierownik. Zagrożony jest cały pałac, bo zgłaszają się Potuliccy, dawni właściciele, zagrożona jest też kamienica na Starówce. Wszystko zagrożone, co nie zarabia na siebie.

W Ministerstwie Kultury władzę objęli muzealnicy, jakby na potwierdzenie, że jesteśmy skansenem wymagającym gwałtownej renowacji. Czy dadzą radę? Tak na razie zdają się zagubieni wśród sypiących się strzech naszej kultury.

Problemem nr 1 w Polsce jest, by ruszyła produkcja. A polskiej produkcji nie widać w warszawskich sklepach i na ulicznym bazarowisku, zaś największym bazarem jest Marszałkowska.

Podziemne koliste przejście, gdzie krzyżuje się Marszałkowska z Alejami Jerozolimskimi, przypomina niezwykłą karuzelę w jakimś handlowym Hadesie. Wydaje się, że to nieprawda, że to szalony sen kraju środka Europy, który w roku 91 zasnął na trzecim boku. Gra podwórkowa orkiestra — dlaczego nie ma tańczącego niedźwiedzia? Co trzeci w gęstwie handlujących to Rosjanin, ten handluje kranami, jak on krzyczy ten wczorajszy człowiek sowiecki, do żywego dotknięty, że para polskich emerytów domaga się opuszczenia ceny. W handlowym kotłowisku siedzą Wietnamczycy, to tania siła robocza zwieziona tu przez jakiegoś spryciarza, oni też handluje, cichutko, skromnie, z uśmiechem przyczajonym jak nieoswojone zwierzątko. Obok zebrzą rumuńskie dzieci, wyglądają tak biednie, że nikt im nic nie da, bo kto by uwierzył w aż taką biedę. Na schodach bije się kilkunasztu Mongołów, zapewne po tatarsku, bo nie na pięści a podduszają się nawzajem — słyszę jak nasza kobieta wykazuje swoją europejskość przemawiając do tego kłębowiska: — Pano- wie, dajcie spokój, tak nie można”.

Powszechnie znękanie nagle odzyskaną wolnością. Dobre czyjeś określenie: — „jakby nam wszystkim wyciągnęli dywan spod nóg”. Zachwiali się duzi oraz mali, wielu upadło i gramolą się teraz nieporadnie. W małych miasteczkach, gdzie wszystko na dłoni, widać wyraźnie tęsknotę za dawną stabilizacją, marzy się o raj utraconym, chociaż nadal spore zapasy owoców z tego raj u zalegają magazyny i domowe spiżarnie.

Bardzo znękanie chorobą wolności są tak zwane stowarzyszenia twórcze, co o tyle porusza, że tam właśnie najwięcej o tej wolności mówiono i najgłośniej ją witano. Filmowcy na zebraniach zespołów zaczęli nagle wyrażać chęć powrotu do czasów, gdy zespoły były finansowane przez państwo, pisarze uważają, że książka musi być dotowana. Podczas wyborów do władz prawdziwy dramat, bo nikt nie chce być prezesem ani niczego piastować.

Nie wiadomo czy nasza wolność jest zbyt drapieżna, czy dawne wygody dopominają się papu? Trzeba pamiętać, że romans inteligencji z diabłem skończył się w 56 roku, ale tańczono na dworze prawie do końca. Widziałem niedawno kronikę filmową sprzed lat, gdzie dzisiejszym azjatyckim pasażem handlowym maszerował 1-majowy tłum błogosławiony przez łaskawą łapkę Gierka. Kamera uwieczniła twarze znanych artystów, których ta łapka podrywała jak kukły do tańca. Nazwiska? Nie będzie nazwisk, nie przejdą mi przez gardło. To dzisiaj prezesi wolności, kombatancki walki z reżimem i, co podkreślałem, nieprzejednani wobec tych, którzy się splamili o kilka przecznicy za tą 1-majową trybuną.

Kłęska inteligencji wraz z kłęską Mazowieckiego. Temat do rozwinięcia.

Trudno poruszać się w Warszawie nie wpadając jak w dziury w wolne stanowiska kierownicze do obsadzenia. Władza leży na ulicy, ale kuszą tylko miejsca najwyższe położone albo wygodne, a takich niewiele. Już powszechnie wiadomo, że piastowanie czegokolwiek podczas Wielkiej Bolesnej Przemiany to narażenie się na porażki i powszechną niechęć. „Trzeba być szalonym patriotą albo durniem, żeby zostać ministrem” — diagnozuje nasze „dzisiaj” specjalista od „jutra” Stanisław Lem. Ale to nie zawsze prawda, albo nie każdy do niej dojrzał. Pamiętam salę Politechniki Warszawskiej, gdzie nominowano solidarnościowych kandydatów na posłów. Y. siedział blisko mnie, on nie był na liście, pocił się, nagle rzucił się na trybunę walczyć, też chciał, skompromitował się, wrócił, znowu pocił się. Ten zapach potu będę zawsze pamiętał. Teraz jedynie widzę pot na jego publicznym czole, bo on nareszcie jest Tam. Usadowił się na odpowiednim peronie i zabrał na właściwy pociąg. Zmieniła mu

się twarz. Nigdy nie miał najlepszej, a teraz szpeci ją opuchlizna władzy. Skąd my znamy takie twarze. Ta choroba miała być zarezerwowana tylko dla komunistów, a teraz już wiemy, że ów wirus „najzaciejsze trafia głowy”.

Sam padłem ofiarą nagłej namiętności, gdy poszedłem ze znajomym na spacer, a ten pokazał mi zaskakująco ładne nowe domy, jakby z innego świata. — Tu mieszka stara, a teraz wprowadza się nowa nomenklatura — wyjaśnia optymistycznie. Przypomina mi się teraz Z., o którym wiem, że podobnie jak wielu innym z „nowej góry”, zaproponowano mu nowe mieszkanie. Z. jest kryształowo uczciwy więc stoczył ze sobą bitwę duchową, a gnitając się w nieludzkich warunkach, uległ i przyjął mieszkanie, chyba tu właśnie. Inni członkowie nowej władzy raczej nie mieli takich dusznych problemów, szczególnie na odchodnym. A ja... ja bym też uległ. Mieć ładne mieszkanie wśród brzydoty i rozpadu, gdzie można się schować, wtedy da się tu jakoś żyć. I czuję wyraźne ukłucie zazdrości. Trzeba było zostać dygnitarzem, ani z patriotyzmu, ani z głupoty — dla mieszkania. Nie będąc choćby na chwilę dygnitarzem, do końca życia będę obijał się w swojej klitce. Jakie szanse na mieszkanie ma mój syn, skoro ceny mieszkań w stolicy gonią Paryż? Nasze dorastające dzieci, jeżeli nie wyemigrują, wyjdą na ulicę domagając się dachu nad głową. W tej dziedzinie nie ruszyło się nic, a jeżeli, to do tyłu.

Polowanie na ludzi na wysokie stanowiska odbywa się z nagonką lub bez. Doprawdy w ciągu jednego dnia można stać się dyrektorem departamentu, dyplomatą w Nowej Zelandii, dygnitarzem w Urzędzie Ochrony Państwa. Warunkiem jest przyzwoite zachowanie w stanie wojennym, najlepiej choćby krótki pobyt w internecie, no i jakiś dorobek, może być symboliczny w dowolnej dziedzinie. Kilku „wysokich” znajomych, co zaręczą, dopełni szczęścia. Potem można siedzieć, odbierać telefony — „Czy chciałby pan objąć...” — a zrozpaczonym błagalnikom odmawiać grzecznie, ale stanowczo — „Przyjąłem już inną propozycję” — zaś na obowiązkową wtedy formułę — „Skoro Pan nie, to może znajdzie pan kogoś dla nas” — odpowiadać po chwili namysłu — „Właściwie wszyscy znajomi są już zajęci, ale oczywiście pomyślę”.

Znowu zmniejszyła się liczba wind, gdzie jest światło. Kradną już nawet malowane żarówki, a przemyślnie zabezpieczenia nie są skuteczne. Te mroczne windy dziwią tylko tym, że jeszcze jeżdżą. W tych ciemnych windach myślę sobie, że chociaż fasada u nas nędzna, ale każda wycieczka na tyły ujawnia katastrofę. Za dużo łąziłem po tyłach, tak się złożyło, musiałem,

i teraz strach, bo skoro takie są tyły z jako taką fasadą, to co się dzieje za nędzną fasadą?

Jestem pesymistą, a depresyjna rzeka podmywa moje brzegi. Nie należy więc mi ufać, bo widzę ciemno. Sam sobą zmęczony szukam światła u tych, którzy je noszą. Ale co spotykam znanego mi z dawnych lat nosiciela światła, widzę z przerażeniem, że on już nie świeci, jakby po ostatnich wstrząsach całe światło wychłapało się. Przeraza mnie to, ale zarazem krzepi. Bo w kupie męczyć się raźniej, a poza tym, któż lubi błędzić i wieść innych na manowce swoimi opowieściami — przeraza, bo gdzieś na dnie przez cały czas jak uparta mysz skrobie nadzieję, że a nuż nie jest tak źle, jak to widzę.

14 lutego 1991

SMECZ

Czytając prasę

W 10 numerze *Tygodnika Solidarność* z 8 marca Stefan Kisielewski w artykule „Czy laureat Nobla pisze prawdę?” atakuje Czesławą Miłosza za tekst „Bałtowie; problem dla Gorbaczowa”, ogłoszony wcześniej w tym piśmie. W poświęconym krajom bałtyckim zeszycie francuskiego wydawnictwa „Autrement” przeczytałam niedawno wywiad prezydenta Landsbergisa, w którym opowiada o antyrosyjskich powstaniach z lat 1831 i 1863, oczywiście powstaniach litewskich, a potem polskiej okupacji Wilna w okresie międzywojennym. Tak więc mamy z Litwinami wspólną historię, ale ważne momenty tej historii wymagają cierpliwego wyjaśniania i uzgadniania. Gdy Miłosz uznaje, że jest chwila by bez wahań utożsamić się z Bałtami, Kisiel ma mu za złe, że przy tej okazji nie przedstawia wszystkich szczegółów polskiego widzenia przeszłości. Wiele jego poprawek brzmi przekonująco. Małostkowość popycha jednak Kisielewskiego do powielania przy tej okazji sądów obiegowych lecz fałszywych. Zdanie Miłosza: „Protestancka (luterańska) Estonia i Lotwa, katolicka Litwa mówiły językami niezrozumiałymi dla Słowian...” kontruje Kisiel uwagą o dominującej roli języka polskiego na Litwie. „Dopiero po stuleciach antypolska propaganda carska jąła podsycać i odtwarzać litewski 'ludowy' nacjonalizm”. W rzeczywistości władze carskie w okresie represji po powstaniu styczniowym zabroniły drukowania książek litewskich czcionką łaciń-

ską, wprowadzając przymusowo cyrylicę. Tę akcję rusyfikacyjną prowadzono pod nadzorem głośnego Murawiewa-Wieszatiela. Właśnie gwałtowny opór przeciw niej przyczynił się do litewskiego odrodzenia narodowego. Ale i w pierwszej połowie XIX stulecia literaturę w języku litewskim tworzyli przeważnie duchowni katolicy. Znali doskonale obydwa języki, często byli to absolwenci Uniwersytetu Wileńskiego, którzy zaczęli pisać po litewsku ze spontanicznej potrzeby duchowej — przyznam, że dość trudnej dla mnie do zrozumienia — a nie z poduszczenia władz carskich. Jeśli dzisiaj inteligencja litewska na ogół zna doskonale polski to nie dlatego, że każdy Litwin jest właściwie Polakiem (podczas gdy niektórzy Polacy mogliby być Litwinami — Tadas Konvickas). Polskiego uczono się na Litwie po to, by czytać książki zakazane i trudno dostępne w ścisłych granicach władzy sowieckiej, zarówno książki autorów polskich jak tłumaczenia z języków zachodnich. Gdy powstrzymamy się od obrażania Litwinów, nasz język może zachować tę uprzywilejowaną pozycję, jakoś podobną do tej, którą wciąż utrzymuje francuski. Znajomość francuskiego pozwala dziś też na lekturę bardzo dobrych autorów estońskich — Jan Kroos czy albańskich — Ismael Kadaré, tłumaczonych we Francji szybko i starannie.

W tym samym numerze *Solidarności* pani Elżbieta Isakiewicz opisuje swój pobyt w Anglii, na stypendium z funduszu *Know-how* mającym wprowadzić ją w tajniki niezależnego dziennikarstwa. Skierowano ją na dwutygodniowy staż do pisemka związanego z handlem drewnem. Nie dowiadujemy się jednak, kto wydaje to pismo, kto je finansuje, jaki ma nakład i czy jest dochodowe, jakie są tendencje na brytyjskim rynku drewnym, czy się eksportuje czy importuje, czy Polska ma jakieś szanse na tym rynku? Jest oczywiste, że żadne z podobnych pytań w ciągu dwóch tygodni nie przemknęło jej przez głowę. Opisując jedynie, może zbyt szczegółowo, swą nudę i wściekłość, że nie została skierowana do liczącego się pisma. Tak więc w Polsce ma być wolny rynek i ma powstać nowa klasa średnia, ale to, co będzie działo się na rynku, jest poniżej zainteresowań poważnych dziennikarzy do chwili, gdy któryś z nich nie dowie się, że na handlu drewnem dobrze zarobił dawny partyjny. Tylko podobna wiadomość może jeszcze ściągnąć uwagę redaktorów ku sprawom gospodarczym. Polska stypendystka będąc w Anglii mogła przynajmniej codziennie kupować najświeższy numer *Times'a* i porównując go z innymi pismami zastanawiać się i opisać, jak jest on redagowany, a nawet spróbować tam napisać na jakiś temat dotąd nie poruszony. Pisywała jedynie protesty. Obejrzała w telewizji czteroodcinkowy film o Polsce, co skłoniło ją do wysłania protestów do *Times'a*, do BBC i do innych pism. Nie widziałam filmu i wołałabym nie wtrącać się do tej sprawy. Zdanie: „Z filmu dowiaduję się, że pierwszy prezydent RP Narutowicz został wybrany dzięki poparciu społeczności żydowskiej w Polsce” świadczy jednak gorzej o autorce niż o twórcach filmu. Wyjaśnienie, że prezydent został ostatecznie wybrany dzięki głosom mniejszości

narodowych, wśród których Żydzi byli grupą najliczniejszą lecz nie jedyną, uściślałoby kwestię, nie stanowi chyba jednak dobrej podstawy do protestów. Dziennikarka odwiedziła także polską sekcję BBC, z którą tygodnik prowadzi już od miesięcy coraz bardziej obraźliwy spór, oskarżając ją o brak obiektywizmu i sprzyjanie kampanii Mazowieckiego. Kto ma rację, mógłby już tylko rozstrzygnąć Trybunał w Hadze. Odkąd przeczytałam w tym samym numerze *Solidarności* w recenzji z „Życia towarzyskiego i uczuciowego” Tyrmanda, że książka ta po raz pierwszy została wydana w Londynie w r. 1967, mam skłonność by uznawać wszelkie informacje zawarte w tym piśmie jedynie za nie całkiem nieprawdopodobne. A przecież pluton redakcyjny liczy nie mniej niż trzydzieści jeden osób, w tym paru pisarzy poczynając, w porządku alfabetycznym, od Ernesta Bryła, którzy nie pisząc mogliby coś w tej firmie robić. Autorka, której protestów nie zamieszczono, przytacza czyjąś opinię, że prasa brytyjska wcale nie jest niezależna. „Po pierwsze zależy od właścicieli tytułów, po drugie od tego, czy zgadzają się z kierunkami polityki rządu czy nie, po trzecie — od samych dziennikarzy, którzy dla zachowania swoich pozycji wołają się nie wychylać poza linię przyjętą przez szefów... istnieje silne lobby prasowe, dysponujące fortunami, powiązane ze sobą interesami...”. Pani Isakiewicz zdaje się nie wiedzieć, że całkiem niedawno dokładnie takie doniesienia wypisywało z Londynu aż dwu towarzyszy Broniarków. Ostatnio Broniarek Starszy zaprzestał roztropnie podobnej twórczości i w tygodniku *Kobieta i Mężczyzna* — nakład 400.000 (Uduśmiałem ją, bo kochałem, koniak lubi temperaturę pokojową) występuje jako znawca erotyki i Casanovy. Wierzę zresztą, że istnieją interesy, powiązania i uzależnienia. Proszę tylko, by opisać jakiś przykład, a nie powtarzać konceptów *Trybuny Ludu*.

Okazuje się przecież, że autorka potrafi opowiadać nie tylko o sobie. Polski *attaché* prasowy w Londynie na wiadomość o pobycie dziennikarzy z kraju okazał się „niezwykle serdeczny i jednej z dziennikarek proponuje kupno jajek po przystępnej cenie”. Ten przykład działań polskiego personelu dyplomatycznego, skala jego przedsiębiorczości i ambicji, na długo zostanie w mojej pamięci.

A jednak *Tygodnik Solidarność* stał się wreszcie pismem poważnym. Ważnym świadectwem nowego tonu pisma wydał mi się felieton Piotra Wierzbickiego „Dwa miesiące prezydenta” w numerze z 1 marca. Wierzbicki, przekonany i podczas kampanii wyborczej zażarty zwolennik Wałęsy, powiada teraz: „Wśród zachowań i poczynań prezydenta W. niektóre budzą me uznanie, niektórych nie rozumiem, jeszcze inne nie podobają mi się wcale... Nie rozumiem, dlaczego nie ma zmian personalnych w wojsku (nie zaraz czystki w ministerstwie czy gdzie indziej, tylko przynajmniej kilku czy kilkunastu nominacji na newralgicznych stanowiskach dowódczych). Nie rozumiem, dlaczego zamiast obiecanego eliminowania nomenklatury prezydent zdaje się z nomenklaturą flirtować, nie rozumiem prezydenckiego poparcia pani poseł Ziółkowskiej przeciw senatorowi Ro-

maszewskiemu”. Tu dodam, że niekonsekwentne i dwuznaczne postępowanie Belwederu w sprawie NIK-u zostało w *Tygodniku Solidarność* bardzo przejrzyście opisane. Stosunek do tej afery zależy oczywiście od rozpoznania, na ile system demokratyczny w Polsce jest utrwalony, a na ile jest prowizorką ze sporą ilością pozorów. W tradycyjnej demokracji oddanie NIK-u w ręce partii opozycyjnej czy mniejszościowej byłoby gestem naturalnym. W dzisiejszej Polsce NIK może być głównym, jeśli nie jedynym instrumentem legalnego odzyskiwania zagrabionych przez komunistów dóbr narodowych. W tej sytuacji oddanie go w ręce osoby z PZPR byłoby kontynuowaniem kontraktów okrągłego stołu, utrwalaniem podziału Polski między nich i nas. W *Tygodniku Powszechnym* (nr 8 z 24 lutego) z ogólną i poważną krytyką prezydenta występuje były minister Mazowieckiego, Waldemar Kuczyński. Niepokoi go styl prezydenta: „wszędzie dotrę, wszystko sprawdzę, wszystko załatwię”. Podobne postępowanie, już dziś niepokojące, straci wszelką zasadność dopiero z chwilą wyboru prawdziwego parlamentu. Rzeczywiście trudna do przyjęcia jest pewna niefrasobliwość oświadczeń prezydenta: „coś konkretnego zostaje zapowiedziane — na przykład redukcja personelu Urzędu Prezydenckiego o 10% — a potem urzędnik belwederski mówi posłom, by nie wszystko, co prezydent zapowiada, traktować dosłownie”. Zarówno Kuczyński jak Wierzbicki łagodzą na razie swą krytykę, prosząc głównie o pełne uzgodnienie w każdym wypadku stanowiska między prezydentem a ludźmi wypowiadającymi się w jego imieniu. Wierzbickiemu nie podoba się szczególnie, „że prezydent licznym swych zachowań i decyzji w ogóle nie raczy nam tłumaczyć”. Oba cytowane teksty pozwalają mi sądzić, że w Polsce istnieje jednak niezależna prasa wznosząca się ponad swe partykularne interesy, powiązania i uzależnienia.

Ja sama natomiast nie rozumiem kompletnie poglądów obecnego ministra spraw wewnętrznych Henryka Majewskiego, wyrażonych w wywiadzie dla *Tygodnika Solidarność* (nr 9):

— Najbardziej bulwersuje ludzi polityka kadrowa MSW, krąży wiele plotek. Czy np. prawdą jest, że były agent SB i KGB w Stanach, obecny dyrektor Pewexu, Zacharski, który dla KGB zdobył plany amerykańskich rakiet, cieszy się w Urzędzie Ochrony Państwa opinią dobrego patrioty i za poparciem Milczanowskiego ma pracować dla UOP?

— Polityka kadrowa MSW jest bardzo jasna: fachowość i lojalność. Natomiast jeśli chodzi o Zacharskiego, to przede wszystkim trzeba postawić pytanie, czy rzeczywiście był agentem KGB. Nie ma na to żadnych dowodów. Pracował dla nas, zdobył bardzo poważne dokumenty. A to że nic z tego nie mieliśmy, to już inna strona medalu...

— Czy Zacharski pracował dla nas? Czy nam są potrzebne plany rakiet „Patriot”, czy ZSSR? Czy Zacharski mógł o tym nie wiedzieć?

— Jeszcze raz powtarzam, że nie mamy żadnych dowodów, że Zacharski pracował dla innego niż polski wywiad”.

Prowadzący ten wywiad dwaj redaktorzy tygodnika, wyraźnie po to by się opanować i jakoś przewyciężyć naturalne w takim wypadku osłupienie, zadają kilka mniej ważnych pytań, po czym wracają do spraw istotnych:

— „...chyba żartem jest mianowanie generała Sarewicza szefem placówki UOP w Moskwie. Piszę o nim płk Kukliński, że jako wysoki funkcjonariusz SB przygotowywał stan wojenny, a jeszcze w zeszłym roku był szefem II Departamentu MSW. Czy nie ma on przesadnie dużego doświadczenia w kontaktach z KGB?”

— A czy jest możliwość odbudowania rezydentury w Moskwie przy pomocy tylko nowych ludzi? Sarewicz ma doświadczenie.

— To wiemy. Ale czy my mamy do niego zaufanie?

— Dżentelmeni o takich sprawach nie rozmawiają. Nawet przy kieliszku.

Odczułam w tym momencie ulgę na myśl, że p. Henryk Majewski nie jest już nauczycielem akademickim, co było jego dawniejszym zajęciem. W państwie demokratycznym minister wypowiada się wobec wszystkich i jego los zależy od wyborców. Używanie przez nauczyciela słów w znaczeniu odmiennym od powszechnie przyjętego może niepostrzeżenie prowadzić do znacznie poważniejszych konsekwencji. Do mnie należy raczej namysł nad używaniem słów niż nad funkcjonowaniem policji.

12.3.1991

Zofia ZIEMIĘCKA

O religii bez namaszczenia

Notatki ewangelizacyjne

Na przełomie roku 1989/90 przez kilka dni 50.000 młodych ludzi z całej Europy wypełniło po brzegi jedenaście kościołów Wrocławia i w dodatku mieszczącą wiele tysięcy wrocławską Halę Ludową. W tym roku aż 80.000 wypełniło kościoły i sale publiczne czeskiej Pragi. Były to dwa kolejne *Rencontres Européennes* organizowane corocznie przez braci z ekumenicznego ośrodka Taizé, który zresztą stale ściągą nieco mniej liczne tysiące do tej niewielkiej burgundzkiej wioski, około 100 km na północ od Lyonu. Jak widać, *Rencontres Européennes*, zwłaszcza te dwa ostatnie we Wschodniej Europie, biją swoją własne rekordy. Spotkanie w Londynie trzy lata temu zgromadziło 24.000 osób. To było moje pierwsze zetknięcie z Taizé. Byłem wówczas zdumiony radosną żarliwością tego różnorodnego tłumu chłopców i dziewcząt, który w środku zimy zjechał do wielkiej metropolii po to, by dwa razy dziennie spędzać długie godziny na modlitwie w czterech londyńskich katedrach. Widocznie wspólne śpiewanie cudownie medytacyjnych pieśni Taizé, przeważnie wersetów z psalmów, było dla nich największą frajdą. Byłem potem w samym Taizé i następnie we Wrocławiu i tam było to samo. Praga w tym roku musiała to szczególnie intensywnie przeżywać. Trudno ocenić socjologiczny i duchowy wymiar tego zjawiska, ale nie ulega wątpliwości, że jest to zjawisko znaczące, wychodzące poza przetarte przez historię koleiny europejskiego chrześcijaństwa. Uderzają w nim przede wszystkim dwie rzeczy. Jedna to spontaniczność tego ruchu, który nie był przez nikogo zaplanowany, a objął w większej czy mniejszej mierze wszystkie wyznania chrześcijańskie (a także ludzi żadnego wyznania) i cieszy się większym czy mniejszym poparciem władz kościelnych różnych wyznań, katolickiego nie mniej niż protestanckich. Ot, wszyscy sobie jakoś upodobał ten typ pobożności Brata Rogera (protestanta) i jego braci (protestantów i kato-

lików), którym zrazu ani się śniło montowanie jakiegoś wielotysięcznego ruchu. A druga rzecz znamienita to ta, że Taizé jako ruch nie ma swojej odrębnej religijnej tożsamości. To nie jakieś nowe syntetyczne czy ekumeniczne wyznanie, tylko motor, który w jakiejś mierze ożywia funkcjonowanie istniejących historycznych Kościołów chrześcijańskich, szanując indywidualność każdego z nich. Tym się tłumaczy respekt tych Kościołów dla zjawiska, które przecież dla żadnego z nich nie jest całkiem ortodoksyjne, a także jego atrakcyjność dla tych młodocianych rzesz, którym widocznie żaden z ich własnych Kościołów jakoś nie wystarcza. Już przez to samo Taizé jest czynnikiem pojednania między odłamami rozbitego historycznie chrześcijaństwa, które równocześnie aktywnie głosi. Kościół w Taizé nazywa się kościołem Pojednania. I nie tylko o religijne pojednanie tu chodzi. Pstrokata międzynarodowa mozaika, jaką jest każde nabożeństwo i każdy zjazd w Taizé, jest automatycznie czynnikiem pojednania między narodami, rasami, warstwami społecznymi i kulturami.

Ostatnio zetknąłem się bliżej z innym międzynarodowym ruchem o bardzo podobnych celach, a jednak działającym całkiem inaczej. Nazywa się po angielsku Moral Rearmament (MRA) czyli Dozbrojeniem Moralnym. Nazwa wywodzi się chyba z atmosfery 1938 roku, kiedy ruch w swej obecnej formie powstał, okresu intensywnych zbrojeń fizycznych, którym założył ruch, amerykański pastor Frank Buchman, przeciwstawił potrzebę dozbrojenia moralnego. Buchman od dawna już był czynny nie tylko w Europie, ale na całym świecie aż po Japonię, ale ta aktywność dopiero po wojnie zaczęła wydawać widome owoce. Ten człowiek stanowił przedziwne połączenie intuicji i żarliwości mistyka z talentem wytrawnego dyplomaty. Zestawienie go z Teresą z Avili czy Joanną d'Arc byłoby o tyle nie na miejscu, że pan pastor był człowiekiem pozbawionym wszelkiej charyzmy i robił wrażenie prozaicznego biznesmana. Zapewne talentu do interesów też mu nie brakło; główny ośrodek ruchu Moral Rearmament w Europie, wspaniały zamek w Caux, wysoko w górach pod Genewą, miał być wspólnym darem 90 rodzin szwajcarskich dla początkującego po wojnie ruchu. Po dziś dzień ruch jest finansowany głównie z darów ludzi ze świata przemysłu i handlu, także związków zawodowych, choć Buchman już dawno nie żyje (zmarł w r. 1961). MRA żyje nadal impetem Buchmana. Wielu ludzi patrzyło mu na palce, nigdy jednak nie zarzucono mu żadnego skandalu. Miał wielu krytyków, nawet ideologicznych i religijnych wrogów (to nie były

jeszcze ekumeniczne czasy), ale miał też zupełnie niesamowity dar kaptowania dla swej idei i pomysłów ludzi nieprzeciętnego kalibru. Byli wśród nich tacy ludzie jak Robert Schuman i Konrad Adenauer, którzy obaj przyjeżdżali do Caux i obaj uważali Buchmana za współtwórcę zbliżenia francusko-niemieckiego po wojnie. To tylko jeden przykład. Siedem państw nadało mu swoje najwyższe odznaczenia — w tym, poza Francją i RFN, również Grecja, Japonia i Filipiny — we wszystkich wypadkach za pomoc w łagodzeniu międzynarodowych konfliktów. Buchman był więc działaczem politycznym i społecznym na wielką skalę, ale bez oparcia w żadnej politycznej czy społecznej bazie. Jego inspiracja i metody działania były wyłącznie religijno-moralne: jak najdalej idące zrozumienie dla położenia i stanowiska partnera, absolutna uczciwość w rokowaniach i zaufanie do uczciwości partnera. „Gdy ludzie zamilkną, wtedy mówi Bóg. Gdy ludzie są posłuszni, wtedy działa Bóg”.

Ta naiwna metoda po dziś dzień daje rezultaty. Nie zawsze, ale czasami. Nie w pełni, ale w jakiejś mierze. Typowy dla postaw MRA jest Izraelczyk walczący o prawa Palestyńczyków, Arab uznający prawo Izraela do istnienia, czarny zatrudniony o przyszłość białej mniejszości w Południowej Afryce po klęsce polityki apartheidu, Argentyńczyk ciężko ranny w wojnie falklandzkiej, który postanowił nie nienawidzić Anglików. Może MRA przyczyni się do tego, że Polacy przestaną nienawidzić Ukraińców i na odwrót. W zeszłym roku w czerwcu odbyła się w Polsce, w Jarosławiu, regionalna konferencja Moral Rearmament, która zdaje się być zapowiedzią trwałej obecności tego ruchu w Polsce. Od kilku lat biskup przemyski Tokarczuk jest w bliskim kontakcie z Caux, gdzie częstymi gośćmi są wybitni działacze katoliccy, jak Stanisław Stomma czy prezydent Łodzi Grzegorz Pałka. Ostatnio biskup Tokarczuk postanowił postawić do dyspozycji MRA imponujące, ale całkowicie zrujnowane zabudowania XVI-wiecznego klasztoru w Jarosławiu. I już odbyła się w tych ruinach jedna międzynarodowa konferencja. A w Jarosławiu przecież zarówno Ukraińcy jak i Polacy mogą czuć się u siebie w domu.

Rok 1991 jest pierwszym rokiem Dekady Ewangelizacji, okresu szczególnego misyjnego wysiłku, podjętego zgodnie przez wszystkie główne wyznania chrześcijańskie na zakończenie drugiego tysiąclecia po Chrystusie. U podstaw tej zgodnej decyzji zdaje się leżeć przekonanie, dość powszechne jak widać, że świat XX wieku zbyt daleko odszedł od Ewangelii i trzeba go na gwałt do teje Ewangelii nawrócić. A przecież dokumenty Soboru,

zwłaszcza obraz współczesnego świata naszkicowany w soborowej konstytucji pod znamienym tytułem *Gaudium et Spes*, zdają się mówić coś zgoła innego. Jeśli nawet „nasza współczesność jest formalnie mniej religijna niż dawne „wieki wiary”, jak to nostalgicznie określamy, to jest ona jednak pod wieloma względami bardziej ewangeliczna niż wieki powszechnej obowiązkowej religijności, które mimo to (a także właśnie dlatego) potrafiły też być barbarzyńsko nie-ewangeliczne. Istotne jest, że formalna ewangelizacja nie zawsze jest autentyczną ewangelizacją.

W drugim roku dekady Ewangelizacji przypada 500-letnia rocznica odkrycia Ameryki. Ta rocznica jest okazją do straszliwego rachunku sumienia dla strategów ewangelizacji — i dla nas wszystkich, dziedziców zachodniej chrześcijańskiej cywilizacji. Cały nowy kontynent został pozyskany dla chrześcijaństwa, nade wszystko Ameryka Południowa, pod egidą Hiszpanii i Portugalii, dla katolicyzmu. Ale odbyło się to kosztem ludobójstwa na zupełną potworną skalę: ocenia się dziś, że w ciągu 150 lat od wylądowania Kolumba pierwotna ludność kontynentu została zredukowana o dziewięć dziesiątych, z około 100 milionów do 10 milionów. Cokolwiek zatem będziemy sądzili o wartościach łacińsko-amerykańskiej cywilizacji w ciągu następnego półtysiąclecia, rocznica w każdym razie nie może być okazją do kanonizowania królowej hiszpańskiej Izabelli jako inicjatorki i patronki całego przedsięwzięcia. A to się podobno całkiem serio w konserwatywnych kołach hiszpańskich planuje. Zakładając nawet, że tradycja dumnej *hispanidad* mogłaby odegrać rolę pożywki ewangelizacyjnej dla jednych, nie byłaby nią dla innych. Jest raczej obca popularnej dziś teologii wyzwolenia, a przynajmniej zasadniczy nurt teologii wyzwolenia, opcja na rzecz ubogich, musi się stać wehikułem ewangelizacji mas na tym kontynencie. I nie bez znaczenia jest trzeci nurt: żywiołowy rozwój rozmaitych sekt protestanckich w Ameryce Łacińskiej. To zjawisko wywołuje niepokój w oficjalnych kołach katolickich, ale równocześnie jest czynnikiem ożywczej rewizji tradycyjnych postaw i metod ewangelizacji. Co sprawia, że tyłu ludzi właśnie w tych sektach znajduje zaspokojenie swych religijnych tęsknot i aspiracji? Czy nie atmosfera życzliwości, która ich tam wita, i prostota ich ewangelicznego posłania? Co rozsądniejsi zdają sobie sprawę, że o tyle o ile te sekty są istotnie ewangeliczne, mogą one być raczej sprzymierzeńcami niż konkurentami w dziele ewangelizacji. W każdym razie warto najpierw, zanim zaczniesz się je zwalczać, przyjrzeć im się bliżej, by zobaczyć co jest przyczyną ich sukcesów.

Niezależnie od wątpliwych zasług ewangelicznych królowej Izabelli kanonizacja w ogóle są wątpliwym instrumentem ewangelizacji. Przemawiają do tych, którym zależy na wyniesieniu na

ołtarze ich własnych i tak już uwielbianych kandydatów; znacznie mniej do innych katolików. Nie przemawiają zupełnie do nie-katolików, nie-chrześcijan i nie-wierzących. A przecież w ewangelizacji chodzi o przekonanie i pozyskanie tych właśnie ludzi. Kanonizacja jest zabiegiem partykularno-wyznaniowym, choćby dlatego, że kanonizowany może być tylko katolik (i to najczęściej katolik duchowny). Praktyka ta tym samym *implicite* zaprzecza jakoby nie-katolik mógł być człowiekiem świętym. Stanowi to zarazem zaprzeczenie efektywnego ekumenizmu. A ewangelizacja z natury rzeczy musi być ekumeniczna, między-wyznaniowa i ponad-wyznaniowa. Wyznaniowy partykularyzm jest największą przeszkodą na drodze do ewangelizacji świata.

Przy całym moim braku zrozumienia dla instytucji kanonizacji, niemniej trudno mi zrozumieć obiekcje braci Żydów przeciw zamierzonej między innymi kanonizacji Edyty Stein. Edyta Stein była niemiecką Żydówką (pochodziła z Wrocławia) i świetnie zapowiadającym się akademickim filozofem ze szkoły Husserla. W pewnym momencie porzuciła swą świecką karierę, przyjęła chrzest i wstąpiła do zakonu karmelitanek w Kolonii. W czasie wojny została jako Żydówka wywieziona do Oświęcimia, gdzie poniosła śmierć. Kilka lat temu została beatyfikowana przy głośnych protestach międzynarodowej wspólnoty żydowskiej, która widziała w tym próbę przywłaszczenia sobie przez Kościół katolicki jednej z niezliczonych żydowskich ofiar zagłady. Teraz te protesty odezwały się ponownie w związku z planowaną kanonizacją. Nie mogę tu zrozumieć dwóch rzeczy. Pierwsza jest ogólniejszej natury. Odnoszę się z największą czcią do instytucji żydostwa, do faktu że przetrwała ona wieki i tysiąclecia w obliczu najrozmaitszych presji kulturowych i religijnych, które mogły tę tożsamość żydowską rozmyć, zalać i zniszczyć. Jest to fakt jedyne w swoim rodzaju na całym obszarze ludzkiej historii, a więc zamierzony chyba przez Boga. Także indywidualny Żyd może wyrzec się i zaprzeczyć swej żydowskości, ale nie potrafi jej zniszczyć. Może być religijnie obojętny i kulturalnie zasymilowany ze swym nieżydowskim otoczeniem, może być agnostykiem czy ateistą, Polakiem, Niemcem, Francuzem czy Afrykańczykiem, a jednak światowa i historyczna społeczność żydowska uzna w nim także, a może nawet przede wszystkim, Żyda. Dlaczego zatem ta sama społeczność reaguje alarmem na fakt przyjęcia przez Żyda chrześcijaństwa? Wygląda na to, jak gdyby *tylko* przyjęcie chrześcijaństwa było zdradą żydostwa. Tylko chrześcijanie ewangelizujący Żydów, nawet jeśli sami są Żydami (a jest wielu gorliwych chrześcijan Żydów)

są oskarżani o uprawianie antyżydowskiego prozelityzmu. Nie są o to oskarżani chrześcijanie nawracający członków innych nacji czy grup społecznych i nie są też o to oskarżani apostołowie wszelkiego rodzaju świeckich wiar propagujący swoje idee także wśród Żydów.

To jedna rzecz, której nie mogę zrozumieć. Druga dotyczy już tylko sprawy kanonizacji Edyty Stein czy innych żydowskich chrześcijan. W jakim sensie kanonizacja może być rozumiana jako przywłaszczenie sobie przez Kościół katolicki żydowskiej męczennicy? To Edyta — czy też siostra Teresa od Krzyża, jak się nazywała w zakonie — wybrała sobie Kościół katolicki jako drogę do świętości. I wcale przez to nie wyrzekła się żydostwa. Za kamień obrazy i dowód prozelityzmu przytacza się fakt, że Edyta podobno ofiarowała swoją śmierć w solidarności z innymi ofiarami Holocaustu, jako modlitwę błagalną o nawrócenie narodu żydowskiego do Chrystusa. To co z tego? Miała pełne prawo o to się modlić, bo Chrystus był dla niej najwyższym dobrem, i miała prawo pragnąć tego dobra dla swego narodu. Tego samego pragnął św. Paweł i o to samo modlił się sam Chrystus. Prozelityzm? Wprost przeciwnie, to żydowskie obiekcje wyglądają mi jeśli nie na prozelityzm, to na partykularyzm wyznaniowy *à rebours*. Jak gdyby i dla Żydów lojalność grupowa wobec własnego wyznania była ważniejsza niż lojalność wobec własnego sumienia i wobec prawdy tak jak to sumienie ją widzi, w ostatecznej instancji więc lojalność wobec Boga. Coś, czego się zawsze obawiam, gdy chodzi o moich współwyznawców, katolików i innych chrześcijan. Bo własne wyznanie łatwo może stać się idolem i wtedy stawianie go ponad wymogami prawdy, jak ją widzimy, staje się bałwochwalstwem. A właśnie Tora, Stary Testament, pełen jest ostrzeżeń przed pokusą i grzechem bałwochwalstwa.

Polityka jest wylęgarnią całej masy bałwanów, którym oddajemy mniej lub bardziej bezkrytyczną cześć. Paradoksalnie, nawet zasada apolityczności Kościoła może stać się takim bałwanem. Wydaje mi się bowiem, że na Haiti zasada apolityczności Kościoła spletała Kościołowi perfidnego figla. Otóż w tym państewku, jednym z najbiedniejszych krajów Trzeciego Świata, odbyły się niedawno — po raz któryś już od formalnego upadku despoty Duvaliera — wybory prezydenckie, tym razem podobno całkiem demokratyczne i uczciwe, głównie dlatego, że wojsko opowiedziało się po stronie praworządności. Wybory te wygrał ogromną większością głosów ksiądz-salezjanin Jean Bertrand Aristide. Wygrał, bo na niego głosowała entuzjastycznie ca-

ła biedota, *ex definitione* większość w tym biednym kraju. Ks. Aristide od lat był rzecznikiem i obrońcą praw tej biedoty, nieraz nastawiając karku na kolejne zamachy na jego życie oficjalnej do tej pory organizacji terrorystycznej Tontons Macoute. Już po grudniowych wyborach Tontons Macoute urządziło zamach stanu, na szczęście szybko obezwładniony dzięki postawie wojska. Prezydent-elekt tym razem nie był w niebezpieczeństwie, bo do czasu swej inauguracji w lutym przebywał rozsądnie w ukryciu.

Wybór kapłana jest oczywiście olbrzymim komplementem dla duchowieństwa katolickiego Haiti, zwłaszcza dla zakonu salezjanów, zwłaszcza dla ks. Aristide. Ale zasada apolityczności Kościoła nie pozwala duchownym na udział w akcji politycznej. W tej sytuacji ks. Aristide już dwa lata temu popadł w konflikt z władzami kościelnymi, został wydalony ze swego zgromadzenia i zawieszony w swoich prawach i obowiązkach kapłańskich. Są dane pozwalające przypuszczać, że jest to wynik presji dalekiego Watykanu, a nie swobodna decyzja miejscowych władz kościelnych na Haiti czy zakonu salezjanów. *Osservatore Romano* obciążył księdza Aristide zarzutem poważnej niesubordynacji i lekceważenia przełożonych, natomiast sam Superior Generalny Salezjanów, rezydujący w Rzymie, w liście do ks. Aristide uznał przynajmniej szlachetność jego motywów. Ks. Aristide był przekonany, że broniąc maluczkich spełniał swój główny ewangeliczny obowiązek chrześcijanina i kapłana. Teraz zdecydował, że musi dalej iść po tej drodze, nawet przyjmując polityczną fikcję prezydenta. Znaczący to prawdopodobnie rezygnację i to na zawsze z funkcji kapłańskich. I to jest tragiczna strona konfliktu. Na szczęście zasada apolityczności Kościoła nie zawsze jest tak bezdusznie i mechanicznie stosowana. Klasycznym przykładem jest oczywiście Polska stanu wojennego, w tym także wizyty papieża w Polsce i ks. Popiełuszko.

A oto na zakończenie inny przypadek niemądrego stosowania słusznej zasady, również ze stery granicznej między *sacrum* i *profanum*, z tym że tu swoistą bigoterią grzeszy raczej strona świecka. Chodzi o zasadę rozdziału Kościoła od państwa. Otóż w roku 1981 w amerykańskim stanie Arkansas grupa biblijnych fundamentalistów zdołała w legislaturze stanowej przeforsować ustawę „O równorzędnym traktowaniu nauki kreacjonistycznej i nauki ewolucyjnej”. W żargonie fundamentalistów „nauka kreacjonistyczna” (*creation science*) to dosłowne traktowanie opowieści biblijnej o stworzeniu świata w ciągu sześciu dni, o stworzeniu Adama i Ewy oraz niezmiennych gatunków zwierząt i roś-

lin, a nauka „ewolucyjna” (*evolution science*) to normalna nowoczesna nauka. Wkrótce potem instytucja społeczna broniąca swobód obywatelskich zaskarżyła ustawę do trybunału stanowego jako sprzeczną z konstytucją amerykańską, która nie pozwalała na nauczanie doktryn religijnych w szkołach stanowych. Sprawę dość szybko wygrała i ustawa została uchylona. Była to niewątpliwie słuszna decyzja, bo ten amerykański fundamentalizm może być groźny nie tylko dla zdrowej świeckiej oświaty, ale i dla poważnych studiów biblijnych i poważnej religii. Ale oto okazało się, że orzeczenie trybunału, uderzając w fundamentalistów, uderzyło równocześnie w jak najpoważniejszą naukę. Bo nowoczesna naukowa kosmologia, jakkolwiek nie ma nic wspólnego z fundamentalizmem, używa jednak tego samego języka. Przyjęta dziś powszechnie teoria rozszerzającego się wszechświata każe mówić o wyłonieniu się wszechświata jakieś 15 miliardów lat temu z bezwymiarowego punktu, a zatem o stworzeniu go z niczego w owym punkcie zerowym, w którym nawet nie było jeszcze czasu. Jest to tzw. teoria *Big Bang*, Wielkiego Wybuchu. Orzeczenie trybunału stanowego stwierdza, że „stworzenie z niczego” implikuje Boga jako sprawcę tego stworzenia i jest dlatego pojęciem religijnym, i tym właśnie uzasadnia uchylene fundamentalistycznej ustawy jako niekonstytucyjnej. A więc także nauczanie nowoczesnej kosmologii musi być w szkołach państwowych stanu Arkansas zakazane.

Autor znakomitego podręcznika kosmologii i fizyki cząstek elementarnych, John Barrow z Uniwersytetu Sussex, któremu zawdzięczam tę prawdziwą anegdotę, nie pisze, czy ten zakaz jest skrupulatnie egzekwowany*. Miejmy nadzieję, że nie. Ale anegdota nie tylko ilustruje ułomność twardej zasady, rozdzielania Kościoła od państwa nie mniej jak niemieszania się Kościoła do polityki. Jest również przypomnieniem, że w świecie myśli ludzkiej nie istnieją żadne nieprzekraczalne granice między jedną jej sferą a inną. Jeśli uczonym nie wypada posługiwać się Panem Bogiem do zatykania dziur w gmachu ludzkiej wiedzy, to z tego wcale nie wynika, że Bóg jest czy musi być w ludzkiej wiedzy nieobecny.

Antoni POSPIESZALSKI

* John D. Barrow: *The World within the World*. Oxford University Press, 1988, str. 233.

Z U.L.B.

Prasa ukraińska na cenzurowanym

Wciąż tylko nieliczni Ukraińcy interesują się problemami politycznymi własnego kraju. To prawda, widać wyraźne różnice między przyłączoną w 1939 roku Zachodnią Ukrainą, a sowietyzowaną już od 1917 roku częścią centralno-wschodnią, ale biorących choćby bierny udział w życiu politycznym — nawet jeśli liczy się wszystkich mieszkańców dawnej Galicji Wschodniej — jest mniejszość. Od dwóch lat działacze niezależni mogą swoje poglądy polityczne głosić otwarcie i z wolności słowa korzystają najlepiej jak potrafia. Dwa lata to niewiele czasu, skromne też są na ogół środki, jakimi dysponuje opozycja. A jednak jest ich wystarczająco dużo, by komuniści zdecydowali, że więcej zyskają porzucając myśl o utrzymaniu politycznego niedorozwoju społeczeństwa i przystępując do walki z opozycją o rząd dusz.

Szansę zabiegających o zachowanie władzy komunistów są wciąż nieporównywalnie większe: nadal sprawują kontrolę nad środkami masowego przekazu, nadal wolno płynący czas działa na ich korzyść. „Słyszałem, że założony został ukraiński ruch” — to fragment wypowiedzi cytowanej w artykule wstępnym powstałego w maju 1990 roku w Doniecku niezależnego psima *Schid (Wschód)*. „Czy to prawda, że wstępując do tej organizacji trzeba koniecznie przedstawić 10 adresów Żydów w związku z szykującymi się pogromami?” — to typowe pytanie z typowego listu, które setkami nadchodzą do redakcji donbaskich gazet, dodają redaktorzy pisma. Donbas, najbardziej na wschód położony region Ukrainy, jest zamieszkały w dużym stopniu przez Rosjan i tych Ukraińców, którzy zatracili poczucie odrębności narodowej. Wspomniany w liście „ruch” — to powstały przed prawie dwoma laty pięć i pół milionowy Ukraiński Ruch Narodowy. Jest on najbardziej liczącą się siłą opozycyjną, która we wschodniej części kraju zaczyna stawiać dopiero pierwsze kroki. Nie dziwi więc zamieszczenie na pierwszej stronie nowo powstałej gazety obszernej odpowiedzi na pytanie: „Co

to jest 'Ruch'?'". Pismo *Schid* jest przykładem podjęcia przez działaczy niezależnych próby ożywienia dyskusji politycznej na Ukrainie w najskuteczniejszy chyba sposób, jakim jest rozpowszechnianie niezależnej informacji. Jedyne dostępne źródłem przekazu tej informacji jest w tej chwili na Ukrainie prasa.

1 sierpnia 1990 roku weszła w życie ogólnozwiązkowa „Ustawa o prasie i innych środkach masowego przekazu”, której pierwszy artykuł mówi o zniesieniu cenzury. Tym samym prawo zalegalizowało także wcześniej nieoficjalne gazety jak *Schid*. Zaczyna się więc okres rozkwitu niezależnej myśli, swobody wypowiedzi i to nawet we wschodniej, niemej dotąd części Ukrainy. Nie całkiem jednak. W liberalnej ustawie głoszącej wolność słowa poczyniono bowiem kilka zastrzeżeń. Zwrócił na nią uwagę Leonid Miljajewski, współzałożyciel Ukraińskiej Narodowo-Demokratycznej Ligi (Ukraińska Narodowo-Demokratyczna Liga), komentując ustawę w audycji Radia Swoboda: „Władze mogą dowolnie manipulować prasą, grożąc zamknięciem pism bądź nałożeniem na nie kary. Pretekstem może być naruszenie bliżej nieokreślonej tajemnicy lub wydawanie gazety o nakładzie przekraczającym 1.000 egzemplarzy bez rejestracji tytułu. Jednocześnie nie stwarza się realnych możliwości, które pozwoliłyby pismu istnieć: nie ma ono dostępu do legalnych źródeł papieru, ani do dużych drukarni¹”. Pisma niezależne w większości pozostają niezarejestrowane. Przyczyny wyjaśnia redakcja *Hromady* (Gromada) — gazety czernichowskiej regionalnej organizacji „Ruchu”, która drukowana jest, jak głosi stopka, w Wilnie, w nakładzie 999 egzemplarzy: „Wielu czytelników *Hromady* czekało na to, że wraz z przyjęciem 'Ustawy o prasie...' gazeta zarejestruje się i będzie mogła być rozpowszechniana wśród prenumeratorów. Redakcja *Hromady* zawiadamia, że nie będzie rejestrować pisma. Przyczyną jest ekonomiczna pętla, którą dusi się nowo powstająca demokratyczna prasa. Zwracamy uwagę, że wspomniane prawo ma charakter wyłącznie deklaracyjny. Nie ma ono oparcia w ekonomii. Osądźcie sami. Za rejestrację tytułu każe się płacić tysiąc rubli. Następnie — płaci się 15% podatku dochodowego; 51% od wartości nakładu należy się agencji 'Sojuzdruk' za prenumeraty. Państwo nie sprzedaje papieru prasie niezależnej, a wolny rynek papieru nie istnieje. Jeśli doliczycie do tego sumę, jaką weźmie państwowa drukarnia za usługę poligraficzną, zrozumiecie, że rejestracja *Hromady* nie ma sensu²”.

Mimo licznych problemów, jakie pokonywać muszą ukazujące się wbrew intencjom władz pisma, takie jak *Schid* i *Hromada*, ukazuje się coraz więcej nowych tytułów. Przy braku dostępu opozycji do telewizji i radia („to skandal, by niezależni działacze musieli przypuszczać szturm na telewizję, aby znaleźć się na ekranie” — wyraził swoje oburzenie Jewhen Proniuk, szef Ogólnoukraińskiego Towarzystwa Represjonowanych) prasa ma w tej chwili na Ukrainie,

zwłaszcza Centralnej i Wschodniej, bardzo ważną rolę do odegrania. To prawda, że pisma nieoficjalne mają wielki nakład, że ukazują się nieregularnie i że w większości przypadków ich kolportaż jest sprzeczny z prawem. Wiele z nich to pisma efemeryczne. Zasięg ich działania, zwłaszcza tam gdzie ludzie nie mają nawyku poszukiwania rzetelnych wiadomości, jest wciąż niewielki. Nie ma jednak wątpliwości, że prasa ta, wydawana — co niezwykle ważne — w języku ukraińskim, musi się ukazywać i mimo wszystkich trudności musi przetrwać. Tylko czas i konsekwentne działanie mogą obywatelom Związku Sowieckiego ukraińskiego pochodzenia pomóc odnaleźć swoją tożsamość narodową i obudzić w nich potrzebę życia w wolnym i demokratycznym państwie.

Lokalne niezależne gazety nie są jednak jedynymi, które docierają do najbardziej uśpionych części Ukrainy. Rozprowadzane tam są, z różnym powodzeniem, pisma wydawane przez organizacje i towarzystwa o zasięgu ogólnokrajowym, wreszcie przez niezależne instytucje polityczne z Zachodniej Ukrainy. Wulkanem-wyspą w środku Ukrainy jest Kijów, który jest świadkiem najważniejszych teraz wydarzeń politycznych i w którym mają siedziby najbardziej liczące się niezależne ciała polityczne: Narodowy Ruch Ukrainy, Ukraińska Partia Republikańska oraz wiele stowarzyszeń oświatowych. „Ruch”, który na Ukrainie coraz częściej oskarża się o zbyt dużą skłonność do flirtowania z komunistami, na świecie i przez ukraińską emigrację uważany jest za siłę kierującą za zasadą ewolucyjnych przemian, która nie grozi nagłą destabilizacją imperium. Naturalne jest więc, że pomoc finansowa i sprzęt poligraficzny przekazywane są z Zachodu najchętniej ośrodkiem „Ruchu”. Umożliwia to wydawanie miesięcznika *Narodna Hazeta* (Gazeta Narodowa) w nakładzie wahającym się od 10 do 40 tys., *Wisnyka Ruchu* (Informator „Ruchu”) i sporej liczby gazet regionalnych, takich jak wspomniane *Schid* i *Hromada* oraz *Boryspil'skij Dzwon* (Boryspolski Dzwon), *Wicze* (Wici), *Doswitni Wohni* (Przedświtne ognie). Działa też agencja prasowa „Ruchinform”, która między innymi nieregularnie wydaje dokumenty „Ruchu”, gazetkę *Obliadacz* (Obserwator) oraz poważniejszy od poprzednich publikacji *Swit* (Świat). Dobrą opinią cieszy się na Ukrainie najważniejszy biuletyn URP — *Hołos Widrodzennja* (Głos Odrodzenia), który mimo małej objętości i złej jakości druku wydaje się także obserwatorowi z zewnątrz pismem wartościowym, dbającym o dostarczenie czytelnikom pełnej informacji na temat bieżących wydarzeń. Silniejsze ośrodki Partii Republikańskiej mają ambicję wydawania własnych pism; do lipca 1990 roku było ich co najmniej 23³. Ze stowarzyszeń, które zabiegają o odrodzenie języka ukraińskiego, które uczą podstaw historii narodu, najważniejsze jest Towarzystwo Ukraińskiej Mowy imienia Tarasa Szewczenki, wydające dwutygodnik *Słowo* w nakładzie 10 tysięcy.

1. Przedruk w: *Hołos Widrodzennja*, nr 9/1990.

2. *Hromada*, nr 12/1990.

3. Taras Kuzio: „Niezależna prasa w Ukraini za Gorbaczowa”, *Perturbancji*, nr 3, 1990, s. 38.

Inaczej niż we Wschodniej i Centralnej Ukrainie interpretuje się ustawę o zniesieniu cenzury na zachód od Równego i Tarnopola. Lwowska Okręgowa Rada Narodowych Demokratów wydaje od lipca 1990 roku dziennik *Za wilnu Ukrainu* (Za wolną Ukrainę) w nakładzie 200 tysięcy egzemplarzy. „Już niedługo spodziewamy się zwiększenia nakładu do 500 tysięcy, a to dzięki temu, że zyskaliśmy nowych prenumeratorów na całej Ukrainie” — powiedział z optymizmem Wiaczesław Czornowił, przewodniczący Rady, wieloletni więzień łagrów, jeden z najbardziej popularnych działaczy niezależnych na Ukrainie. Pism podobnych do *Za wilnu Ukrainu* jest na zachodzie bez porównania więcej niż w pozostałej części kraju. Ich jakość, nakład i niska na ogół cena potwierdzają prawdę o tym, że Zachodnia Ukraina rządzi się własnymi prawami zgodnymi z życzeniami większości. Większość ta opowiedziała się w marcu 1990 roku w wyborach za kandydatami demokratycznymi, a komuniści, mimo prób manipulacji, nie zdołali zmienić tej decyzji. Kilka rad okręgowych i miejskich oraz prawie wszystkie miejsca z Zachodniej Ukrainy w parlamencie ogólnoukraińskim obsadzone są przez działaczy niezależnych. Zrozumiałe jest, że bez przeszkód ukazują się wysokonakładowe dzienniki rad narodowych delegatów, na przykład Lwowa, Tarnopola, Iwano-Frankowska (Stanisławowa). Problemy nękające wydawców gazet w Centralnej i Wschodniej Ukrainie nie istnieją w zachodniej części kraju.

Zasadę szczególnego sposobu interpretowania prawa na Zachodniej Ukrainie zastosowano nie tylko do ustawy o prasie. Otóż tam, gdzie władza, zwłaszcza wykonawcza, sprawowana jest przez przedstawicieli sił demokratycznych, narzucane przez komunistyczny reżim republiki prawo jest ignorowane bądź interpretowane zgodnie z interesem obywateli. Tak właśnie traktowane są w dawnej Galicji Wschodniej ustawy wydane przez parlament Ukrainy, między innymi ustawa o szczególnych uprawnieniach dla milicji, zakazie przeprowadzania strajków i praktycznym zakazie zwoływania zgromadzeń (29 listopada 1990 roku). Jedną z ustaw, która musi budzić ogromny niepokój nawet na Zachodniej Ukrainie, jest spodziewana ustawa o wprowadzeniu stanu wyjątkowego. O możliwości wykorzystania przez komunistów przemocy mówi się na Ukrainie coraz głośniejsze. Wydarzenia ostatnich miesięcy potwierdzają tylko te obawy: w listopadzie 1990 roku zaczęły się aresztowania działaczy opozycyjnych, panuje nagonka na nich w środkach masowego przekazu, celowo stwarza się nastroj grozy i chaosu.

Stan wyjątkowy — cięcie miecza rozcinające, w pojęciu komunistów, polityczny węzeł gordyjski — nie został i, miejmy nadzieję, nie zostanie wykorzystany. Prasa ukazuje się bez większych przeszkód, bez większych trudności działają także agencje prasowe. Poza *Ruchinform* są to: *Hal-Press* (w Galicji), *Schid* (na Ukrainie Wschodniej) i najpoważniejsza w tej chwili, szczycąca się niezależnością od wszelkich organizacji *Respublika*, która obejmuje swym zasięgiem cały kraj. Ta ostatnia powstała z centrum informacyjnego

Ukraińskiego Związku Helsińskiego (Ukrajńska Helsińska Spilka). W maju 1990, wraz z przekształceniem się Związku w Ukraińską Partię Republikańską, zmieniła nazwę na „Inform-Centr-URP”. Dzisiaj jest to już agencja niezwiązana z żadną organizacją: „Doszliśmy do wniosku — powiedział szef *Respubliki*, Serhiej Naboka — że jest nam za ciasno w partyjnych ramach. Jeśli bowiem dążymy do stworzenia niepodległej Ukrainy, to chcemy czegoś więcej niż reprezentowania interesów jednej partii. Zależy nam na zbieraniu i przekazywaniu wszelkich obiektywnych i autentycznie niezależnych informacji. Kiedy więc zorientowaliśmy się, że URP może poradzić sobie bez naszej pomocy, założyliśmy własną, ogólnoukraińską agencję prasową. Zebrane przez nas wiadomości wykorzystywane są przez gazety o różnym profilu: *Robotnicze Słowo*, 15-tysięczną gazetę kijowską, rozprowadzaną na całej Ukrainie, *Hałyczynę* (Galicja), *Zachidnij Kurier* (Zachodni kurier) z Iwano-Frankowska, nawet prasa *Moscow News*. Nasza informacja publikowana jest w *Post Factum* — agencji ogólnozwiązkowej, w *Głasnosti* Sergieja Grigorianca, w *Express-chronice*, w *Russkoj Mysli* z Paryża. Na początku naszej działalności zorientowani byliśmy na diasporę ukraińską na Zachodzie. Teraz widzimy, że nasza rola polegać musi na informowaniu całego świata o wydarzeniach na Ukrainie, świat niestety nie wie, co się tutaj dzieje”.

25 października 1990 roku, dziesięć dni po zakończeniu strajku głodowego studentów i kilkanaście dni przed prowokacyjnymi decyzjami władz Republiki, rozpoczął się trzydniowy II zjazd „Ruchu”. Na sali obrad panował nastrój euforii. Bohdan Nahajło, szef ukraińskiej sekcji Radia Swoboda, podzielał tę radość przemawiając do delegatów: „Nacisk jaki wywieracie na władze działając w ‘Ruchu’ i w różnych demokratycznych partiach i grupowaniach stawia rządzących komunistów w sytuacji, w której muszą oni akceptować swobodę przepływu wolnej myśli. Wydaje mi się, że pewne historyczne znaczenie ma to, iż przyjął mnie, jako przedstawiciela Radia Swoboda, przewodniczący Rady Najwyższej Ukrainy (parlamentu), Leonid Krawczuk. Chcę publicznie oświadczyć, że Leonid Makarewicz powiedział w czasie naszej rozmowy, iż nie ma nic przeciwko temu, by Radio Swoboda miało na Ukrainie swoje biura, swoje przedstawicielstwa. Więcej, uważa, że teraz jest na ten krok właściwa chwila. (...) Ciesząc się jeszcze większą swobodą słowa, trzeba też umieć docenić wysiłek pracowników niezależnych agencji prasowych tutaj, na Ukrainie. Gromadzą oni dziś informacje, przekazują je za granicę po to, by mieszkańcy Ukrainy mogli wieczorem dowiedzieć się z naszej rozgłośni o tym, jak przebiegają obrady waszego zjazdu, zjazdu ‘Ruchu’. Dlaczego nie ma tu ukraińskiej telewizji, dlaczego cała Ukraina nie dzieli z nami tej radosnej dla naszego narodu chwili?”.

Wolność słowa jest w Związku Sowieckim instrumentem w rękę rządzących komunistów, nie zaś wartością, do której się po wielu latach błędów przekonali. Doświadczylam względności tego po-

jęcia, gdy przekraczałam granicę wracając z Kijowa. Celnicy pozbawili mnie materiałów prasowych — zatrzymując je, by „sprawdzić czy nie zawierają treści godzących w interesy Związku Sowieckiego”. Dziwili się przy tym, że wpuszczona została do ZSSR na podstawie zaproszenia wystawionego przez ukraiński „Ruch”.

Opozycja na Ukrainie zmierza do zapewnienia wszystkim obywatelom, i to w możliwie jak najkrótszym czasie, dostępu do niezafałszowanej informacji. Wysiłek ten, podejmowany z nadzieją na pokonanie politycznej bierności mieszkańców centralnej i wschodniej części kraju, ma też zapoczątkować proces łączenia się Ukraińcy w jeden silny organizm, zdolny do zagwarantowania sobie autentycznej suwerenności. Prawo do nieskrępowanej wypowiedzi wyrasta na Ukrainie ciągle jeszcze z kruchych fundamentów — z politycznej kalkulacji rządzących komunistów, pozostających pod wpływami chroniącego ich Kremla. Ustawa o zniesieniu cenzury, to tylko jeszcze jeden element z sowieckiego arsenału „najbardziej demokratycznych praw na świecie”. Żadna z liberalnych ustaw nie przeszkadza komunistom narzucać niekontrolowanej przez nikogo interpretacji prawa, nie przeszkadza jednym dekretem zmieść swobód obywatelskich. W takich warunkach prawdziwa wolność wypowiedzi będzie jeszcze długo na Ukrainie fikcją podawaną do wierzania naiwnym obserwatorom życia politycznego w Związku Sowiekim.

Monika AGOPSOWICZ

Kronika litewska i białoruska

7 stycznia rząd Kazimiery Prunskiene podniósł bez wiedzy parlamentu kilkakrotnie ceny. Następnego dnia premier wyjechała do Moskwy, zaś rosyjskie „Jedinstvo” rozpoczęło atak na parlament, żądając ustąpienia rządu. Parlament anulował podwyżkę. Zwolennicy niepodległości obronili sejm przed atakiem „Jedinstva” i zażądali również dymisji Prunskiene, co też nastąpiło. 9 i 10 stycznia Litwini bronili parlamentu. Nowy premier A. Szimenas, wybrany 10 stycznia, wkrótce zniknął i 13-go został zastąpiony przez Gediminas Vagnoriusa. 11 stycznia rozpoczął się atak wojsk desantowych od zajęcia Departamentu Obrony Kraju, uprzednio określanego jako niepotrzebny przez postać i przewodniczącego partii socjaldemokratycznej K. Antanavičiusa. Spadochroniarze zajęli drukarnię. 13 stycznia uderzyli na Komitet RTV i wieżę TV, dokonując masakry ludności broniącej tych obiektów. Narodowy Komitet Ocalenia, w większości rosyjski, ogłosił przejęcie władzy na Litwie. Do marca

liczba ofiar śmiertelnych masakry pod wieżą TV osiągnęła 17 osób. Postawa ludności zdecydowała o rezygnacji wojsk z ataku na parlament i utrzymaniu władzy przez prezydenta i nowy rząd.

Jak podała *Nasza Gazeta*, organ Związku Polaków na Litwie, 13 stycznia w zgromadzeniu pod Radą Najwyższą wzięła udział 50-osobowa grupa Polaków z Wilna. A. Rybałko gorzko komentuje ten fakt: „I pomyśleć, że ktoś kiedyś twierdził, iż Polacy byli zawsze i wszędzie tam, gdzie toczyła się walka o wolność. Chyba się omylił”. W okresie puczu prosowieckiego organizacje polskie stanęły jednoznacznie po stronie litewskiej.

Była komunistyczna premier K. Prunskiene stwierdziła w wywiadzie dla *Atgimimas* — tygodnika *Sajudisu* przeciwnego linii politycznej grupy prezydenta Landsbergisa, *à propos* konta założonego przez siebie dla rządu Litwy w banku szwedzkim: „Ponieważ to konto jest na moje nazwisko, nie zgodziłabym się, by korzystał zeń aktualny rząd. Uważam, że rząd ten jest bezprawny. Należałoby przeanalizować, czy jego powołanie było zgodne z Konstytucją” (30.01.1991). Władze litewskie złożyły natomiast oświadczenie, że konto należy wyłącznie do rządu Litwy.

Zgodnie z oświadczeniem dyrektora Departamentu Obrony Terytorialnej (odpowiednik MON), Butkevičiusa, w styczniu Litwa dysponowała pierwszym pułkiem armii narodowej. W nocy z 17 na 18 marca spadochroniarze sowieccy zajęli siedzibę departamentu i aresztowali Butkevičiusa.

12 lutego Islandia uznała Republikę Litewską, zaś do uznania państw bałtyckich przygotowuje się Dania.

Vytautas Landsbergis otrzymał ufundowaną przez osoby prywatne norweską „Narodową Nagrodę Pokojową” w wysokości 3 mln koron. Był to protest przeciwko decyzjom prokomunistycznego komitetu pokojowej nagrody Nobla, przyznawanej komunistom i działaczom prokomunistycznym lub prosowieckim.

Premier G. Vagnorius zapowiedział przeprowadzenie zasadniczych reform gospodarczych na Litwie w ciągu 12 do 15 miesięcy. Rząd przygotował projekt prywatyzacji majątku państwowego. Pierwszy etap prywatyzacji objąłby 25% majątku narodowego i zakończyłby się wraz z wprowadzeniem pieniądza litewskiego.

3 lutego odbył się wśród mieszkańców Litwy sondaż na temat jej niepodległości. Na pytanie: „Czy pan/i opowiada się za tym, by państwo litewskie było niepodległą republiką demokratyczną?”, twierdząco odpowiedziało — 90,47% przy frekwencji — 84,74%, co oznacza, że za niepodległością opowiedziało się 75,22% spośród 2.652 mln uprawnionych do głosowania. W zamieszkałych przez większość polską okręgach wileńskim i solecznickim wzięło udział w sondażu odpowiednio — 42,8% i 25%, przeciw niepodległości głosowało — 26,11% i 32,39%, a za niepodległością wypowiedziało się — 56,59% i 52,82%. Oznacza to, że w rejonie wileńskim za niepodległą Litwą wypowiedziało się 16 tys. na 66 tys. uprawnionych do głosowania (tj. 24,2%), a w rejonie Soleczniki 3.868 osób na 29

tys. uprawnionych do głosowania (tj. 13,3%). W Wilnie (50% Litwinów) przy frekwencji 75%, za niepodległością głosowało 80,59%. Na 407 tys. uprawnionych do głosowania Wilnian za niepodległością wypowiedziało się 241 tys., a więc 59,2%, co oznacza, że za niepodległą Litwą głosowało niewiele ponad 10% nie-Litwinów. Stało się tak mimo wcześniejszych wezwań Związku Polaków na Litwie i Rady Koordynacyjnej Polskiego Kraju Narodowościowo-Terytorialnego. Tymczasem przewodniczący polskiej frakcji parlamentarnej w parlamencie, Ryszard Maciejkianiec, wyrażał nadzieję, że uda się zebrać na Wileńszczyźnie 51% głosów za niepodległością. Nie dało się jednak zlikwidować skutków antypolskiej propagandy skrajnych czynników litewskich i antylitewskiej linii organizacji polskich porzuconej dopiero na kilka dni przed sondażem.

Rada Koordynacyjna i Związek Polaków na Litwie uznały, że Ustawy Rady Najwyższej z dnia 29 i 31 stycznia 1991 roku „stwarzają podstawy do wzajemnego zaufania i rozstrzygnięcia nabrzmiałych problemów ludności Wileńszczyzny na zasadzie porozumienia większości z mniejszością”. Mowa jest o trzech uchwałach. W pierwszej Rada Najwyższa zobowiązała rząd litewski, by w terminie do 31 maja br. przedstawił projekt przyszłego podziału terytorialno-administracyjnego Republiki, „w myśl którego przewidywaną podstawą powiatu wileńskiego byłyby obecne rejon: solecznicki i wileński” (w grę wchodzi jeszcze niektóre gminy rejonów: trockiego, szyrwinckiego i święciańskiego); miałyby one osobny status. Ponadto od 1 maja należy opracować projekt uzyskiwania wyższego wykształcenia przez mieszkające na Litwie mniejszości narodowe. Nowelizacja uchwały o mniejszościach narodowych przewiduje „Prawo do nauki w języku ojczystym, stwarzające warunki do posiadania placówek przedszkolnych, lekcji i szkół ogólnokształcących, jak też grup, wydziałów i filii w wyższych uczelniach, przygotowujących wychowawców, nauczycieli oraz innych specjalistów potrzebnych do zaspokajania potrzeb wspólnot narodowych. W lokalnych urzędach i organizacjach jednostek administracyjno-terytorialnych, w których zwarcie mieszka jakakolwiek mniejszość narodowa (uchwała Sejmu *Sajudisu* z 22 stycznia mówi o granicy 33,3%), obok języka państwowego używa się języka tej mniejszości narodowej”. W jednostkach tych „napisy informacyjne mogą być obok języka litewskiego również w języku mniejszości narodowej”. Trzecia uchwała przewiduje, że „imiona i nazwiska osób narodowości nielitewskiej w wydawanym dowodzie osobistym obywatela Republiki Litewskiej zapisuje się literami litewskimi”, ale „na pisemne oświadczenie obywatela” imię i nazwisko można zapisać według jego „wymowy i bez końcówki litewskiej”.

Czesław Okińczyc, polski poseł do parlamentu Litwy i jego przedstawiciel w Polsce, stwierdził, że „znaczna część Polaków (na Litwie) uważa tę ziemię za ojczyznę, natomiast nie chce identyfikować się z Litwą jako ojczyzną”. Okińczyc przyznał, że część Polaków poddaje się kierownictwu komunistów promoskiewskich i chce

odłączyć się od Litwy i pozostać w ZSSR, zaś „inna część myśli, że w przyszłości ZSSR się rozpadnie i wówczas będzie można myśleć o jakimś powiązaniu z Polską. Niektórzy sądzą, że mogłoby powstać samodzielne państwo z połączonych terenów zamieszkałych przez Polaków, a obecnie wchodzących w skład Litwy i Białorusi. Tak uważa Jan Ciechanowicz, komunista związany z KPZS. Wszyscy oni szukają poparcia w Moskwie... Ci natomiast, którzy chcą związać się z Białorusią, powinni pamiętać, że nacjonalizm białoruski dopiero się rodzi i zdoła on jeszcze zalać sadła za skórę Polakom, czego próbki pojawiły się ostatnio... Większość Polaków litewskich twierdzi, że niepodległość Litwy i walka o nią są tylko sprawą Litwinów. Polska jest za mało aktywna w nawiązywaniu kontaktów z Litwą. Atmosfera zmieniałaby się, gdyby rządy polski i litewski podpisały wzajemny traktat o mniejszościach narodowych” (*Przegląd Powszechny*), 2/1991.

W ramach Białoruskiego Frontu Ludowego „Adradzennie” narastają tendencje antykomunistyczne, których wyrazem jest żądanie, by członkowie kompartii, jeśli chcą pozostać we Froncie, wystąpili z KPZS.

W nocy z 3 na 4 stycznia „nieznani sprawcy” włamali się i zdemolowali lokale redakcji pism białoruskich w Mińsku: *Literatury i Mastactwa*, *Połymia* i *Bielarus* oraz *Niomanu*. Akcją taką wcześniej zapowiedzieli kursanci trzeciego roku uczelni wojenno-politycznej, która jest jednym z ośrodków działalności antybiałoruskiej w Mińsku.

Aleś Halkiewicz, członek Zarządu Sejmu „Adradzennia”, wystąpił z propozycją przekształcenia Białorusi w strefę bezatomową i zdemilitaryzowaną. Połowa sowieckich baz rakiet strategicznych znajduje się na terytorium Białorusi. Rozmieszczone są tu również jednostki wycyfrowane z Europy Środkowej. W związku z tym grupa posłów Frontu interpelowała Prezydium Sowietu Białorusi w sprawie ilości i rozmieszczenia wojsk i przemysłu zbrojeniowego na terenie Republiki. Walery Bujwał na łamach *Nawin* pisze: „Czas postawić kwestię stworzenia białoruskich narodowych jednostek wojskowych”.

Oficerowie-Białorusini z garnizonu moskiewskiego (starsi lejtnanci Anatol Andryjaszka i Siarżuk Kaucewicz, lejtnanci Henadź Burak, Wiktar Kupcewicz, Aleś Briada, Aleś Kaplia i Aleh Chiżniak, praporszczycy Ihar Horbacz i Andrej Jałouski) stwierdziwszy, iż istnieją już grupy białoruskich oficerów w Kazachstanie i na Dalekim Wschodzie, zaproponowali wszystkim grupom białoruskich wojskowych w Armii Sowieckiej oraz oficerom świadomym narodowo, by skontaktowali się z nimi listownie, informując o stanie organizacyjnym ruchu białoruskiego i propozycjami przygotowania zjazdu Białorusinów — wojskowych. (105203 Moskwa, ul. Pierwomajskaja 128/9-73, Argkamitet).

„Adradzennie” wypowiedziało się przeciwko nowej umowie związkowej i związkowi 3 republik słowiańskich proponowanemu przez Solżenicyna i Jelcyna. BFL proponuje natomiast stworzenie Związku Bałtyjsko-Czarnomorskiego, który objąłby Litwę, Łotwę, Estonię, Białoruś i Ukrainę. Miałyby one utworzyć wspólny rynek, aby razem integrować się z gospodarką światową. „Taki związek to silny czynnik geopolityczny między odnowionymi Niemcami i Rosją”.

Józef DARSKI

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 456 — ZBIGNIEW BRZEZIŃSKI

WIELKIE BANKRUCTWO

Narodziny i śmierć komunizmu w XX wieku

Nowa książka Zbigniewa Brzezińskiego składa się z jego *Wstępu*, sześciu części: *Wielkie bankructwo*. — *Rozpad*. — *Odrzut organizmu*. — *Komunizm handlowy*. — *Kompromitacja praktyki*. — *Agonia komunizmu* oraz *Postowia*.

Str. 276

Cena F. 145,00.

TOM 457

POLSKA POLITYKA ZAGRANICZNA W LATACH 1926-1939

Na podstawie tekstów min. Józefa Becka
opracowała Anna M. Cienciąła

Str. 448.

Cena F. 220,00.

TOM 459 — BERNARD NOWAK

CZTERY DNI ŁAZARZA

Opowiadanie o podziemiu wydawniczym

Str. 144.

Cena F. 75,00.

TOM 460 — ZBIGNIEW HERBERT

ELEGIA NA ODEJŚCIE

Nowy tom poezji

Str. 48.

Cena F. 50,00.

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

Wszystko zaczęło się sześć lat temu. „Wszystko” to znaczy *pieriestrojka*, *glasnost*, „nowe myślenie polityczne” itd. Sześć lat temu Michaił Gorbaczow został generalnym sekretarzem KC. Zaczęły się nowe rządy. Upłynęło dość dużo czasu, aby zrobić wstępne podsumowanie. Rzecz jednak w tym, że w dniu, w którym piszę niniejszy przegląd, pewne detale potrzebne do bilansu są niejasne. Dnia 17 marca obywatele sowieccy wypowiedzą się w referendum, czy chcą zachować „zreformowany” Związek Sowiecki, w którym wszyscy — republiki i mieszkańcy — będą niezależni i równi. Pod koniec marca wiadomo będzie, kto zwyciężył w wojnie, którą Borys Jelcyn wypowiedział Gorbaczowowi.

Pytania te wydają mi się detalami, bo najważniejsze dla wszystkich mieszkańców strefy sowieckiej jest co innego. Rozpoczęta w 1985 r., „*pieriestrojka*” dobiła do logicznego końca: jest już oczywiste, że reforma systemu, ulepszenie go i zwiększenie jego wydajności są niemożliwe. Można albo wrócić do tradycyjnego sowieckiego modelu, albo zlikwidować komunizm i na jego miejsce zacząć budować inny ustrój. Ująłem *pieriestrojkę* w cudzysłów, bo nigdy nie wierzyłem, by Gorbaczow rzeczywiście chciał coś na serio zmienić. Nie mogę powiedzieć, bym miał w tym przekonaniu wielu popleczników. Do niedawna mogłem ich policzyć na palcach jednej ręki. W ostatnim czasie poparł mnie człowiek, który wie, jak się rzeczy mają. Nazywa się on Michaił Siergiejewicz Gorbaczow. Minister spraw zagranicznych Francji Roland Dumas powiedział w wywiadzie dla *Le Monde* (12.3.91), że 12 lutego br. uprzedził Gorbaczowa: „Zachód jest coraz bardziej zaniepokojony faktem, że opiera się pan na wojsku, na KGB, na partii komunistycznej. Zachód zastanawia się, jaki będzie los reform”. W odpowiedzi usłyszał: „Zawsze się na nich opierałem”. Nie dziwny się szczerości Gorbaczowa: dawno już zrozumiał, że może mówić to, co myśli — Zachód i tak wyluska z jego słów te, które pozwolą uważać generalnego sekretarza i prezydenta za liberała i demokrate.

Wyniki minionych sześciu lat leżą jak na dłoni: katastrofa ekonomiczna (w bieżącym roku produkcja spadła o 12%, w ubiegłym o 3%); katastrofa ekologiczna (trudno ją uważać za owoc *perestrojki*, ale panujący w ostatnich latach chaos powiększył jej rozmiary); narodziny ruchów narodowo-wyzwoleńczych w szeregu sowieckich republik; coraz większe braki żywności itd., itp. Czy jednak wyniki rządów Gorbaczowa sprowadzają się do samych katastrof? Amerykański sowietolog Steven Cohen, autor biografii Bucharina, którą wysoko ocenił sam towarzysz Gorbaczow (książkę wydano w Moskwie) pisze: „Gorbaczow wszedł do historii jako wielki reformator, a jeśli wspomnieć Europę Wschodnią, to także jako wyzwoliciel”. Amerykanin uważa, że celami Gorbaczowa są: zniesienie wprowadzonej przez Stalina kontroli państwa, wyzwolenie społeczeństwa w drodze prywatyzacji, demokratyzacji i sfederowania 15 republik. Ponieważ nawet Steven Cohen nie może nie dostrzec, że cele, które przypisuje Gorbaczowowi, nijak się nie mają do jego rzeczywistej polityki, tłumaczy: „W obliczu narastającej destabilizacji i opozycji, chcąc uratować *perestrojkę* przed klęską albo przewrotem, Gorbaczow związał się z neokonserwatystami, którzy wystąpili jako tradycyjni obrońcy władzy”. Jak widać, przekonanie Stevensa Cohena nie zgadza się z wyznaniem Gorbaczowa (wyrażonym w rozmowie z Rolandem Dumas). Nie ma to żadnego znaczenia — autor „Bucharina” żywił ciepłe uczucia do wszystkich sowieckich przywódców, dlategoż miałby się teraz zmieniać?

W szóstą rocznicę intronizacji Gorbaczowa wypada zadać też inne pytanie, nie związane z katastrofami i kryzysami. Od 11 marca 1985 roku Gorbaczow konsekwentnie i nieustępliwie skupiał władzę w swym ręku. Czyścił wyższe szczeble aparatu partyjnego, państwowego i gospodarczego, nie zastanawiając się ani chwili nad skutkami tej operacji. Bezustannie zmieniał ośrodki sprawowania władzy. Ponieważ postanowił wzmocnić ustrój, dodał do ośrodków władzy wybieralne prawie swobodnie sowiety, w tym i „parlament” — zjazd deputowanych ludowych i Radę Najwyższą ZSSR, której przyznano jakoby nowe prerogatywy. Odkąd został prezydentem, może być równocześnie przywódcą partii (generalnym sekretarzem) i legalną głową państwa. Wiedząc dobrze, że najwyższa władza w ZSSR znajduje się tam gdzie chce wódz, Gorbaczow osłabił rolę Biura Politycznego (to samo zrobił Stalin po XIX zjeździe KPZS w 1952 r.), tworząc radę prezydencką. W marcu 1991 bez dyskusji rozpędził tę radę i stworzył radę bezpieczeństwa narodowego. Zamiast rady ministrów stworzył gabinet ministrów, podporządkowany bezpośrednio prezydentowi.

Żaden sowiecki wódz nie miał nigdy takiej władzy, i to legalnej, postusznie zatwierdzonej przez „niezawisłą” Radę Najwyższą. Pamiętając dobrze radę Machiavellego, że nie rządzi się z tymi, z którymi brało się władzę, Gorbaczow rozpędził na cztery wiatry wszystkich, którzy przy nim stali w pierwszych latach *perestrojki*. Jest sam i sam sprawuje władzę. Główne pytanie brzmi: do czego

mu ona służy? Inaczej mówiąc: czy władza Gorbaczowa jest realna, czy też istnieje tylko na papierze? Spójrzmy na kilka przykładów. Całkiem niedawno Grigorij Arbatow, kiedyś jeden z najgorętszych zwolenników Gorbaczowa, dyrektor Instytutu USA i Kanady, oświadczył, że 33% sowieckiej produkcji przypada na przemysł wojskowy (w USA — 6%). Jest to niewątpliwie decyzja Gorbaczowa. Zachodni specjaliści gubią się w domysłach, dlaczego Związek Sowiecki od 1986 r. bezustannie poszerza swoją morską bazę wojskową na Półwyspie Kolskim, gdzie znajduje się dziś największy na świecie arsenał broni nuklearnej, przede wszystkim na pokładach łodzi podwodnych. To też jest decyzja Gorbaczowa, który równocześnie ogłasza koniec zimnej wojny. To prezydent *gensek* we własnej osobie i z własnej woli odrzucił program reform ekonomicznych „500 dni”, który kilka dni wcześniej zaakceptował. Różne można mieć zdanie o tym programie, przytaczam ten przykład, podobnie jak poprzednie, tylko na dowód władzy Gorbaczowa. Nie ulega kwestii, że istnieją też problemy, których rozwiązać nie może. Czasami odnosi się wrażenie, że nie chce.

Ubiegłe lata pokazały, że w obliczu skomplikowanych, trudnych zagadnień Gorbaczow woli przeczekać, tak jakby liczył, że znikną albo same się rozwiążą. Mówiąc o wydarzeniach na Litwie, którym należy jak najprędzej dać „należyty ocenę”, Wadim Bakatin, były minister spraw wewnętrznych ZSSR, były członek rady prezydenckiej a obecnie rady bezpieczeństwa narodowego, człowiek uchodzący za „liberała”, stwierdził, że w postępowaniu najwyższej władzy widać „pewną prawidłowość”. Przypomniął, że na pogrom w Górnym Karabachu sowiecki „parlament” zareagował półtora miesiąca po nim. Dodajmy, że po katastrofie w Czarnobylu Gorbaczow czekał dwanaście dni, zanim przemówił w telewizji. Podobnych przykładów jest wiele. Bakatin mówi: „Zawsze jesteśmy spóźnieni i to bardzo. Tak bardzo, że można się w tym dopatrzeć metody” (*Komsomolskaja prawda*, 16.1.91).

Metody można się dopatrzeć także w tym, że wszystkie przestępstwa i porażki Gorbaczowa przypisuje się wykonawcom. Najbardziej wytartym liczmanem zachodnich „ekspertów” od Związku Sowieckiego było zapewnianie, że wódz nie jest niczemu winien, winna jest „konserwatywna opozycja”. Ojciec tego liczmiana, moskiewski korespondent *New York Times*'a Walter Duranti, który przez blisko ćwierć wieku komentował epokę stalinowską, zawsze podkreślał, że „jastrzębie” w Biurze Politycznym nie pozwalają liberalnemu ojcu narodów zbudować demokratycznego raju. Przemawiając 6 marca w amerykańskiej telewizji były minister spraw zagranicznych ZSSR Edward Szewardnadze, który wstawił się dramatycznym krzykiem „nadchodzi dyktatura”, wytłumaczył, że „prezydent nie zawsze podejmuje decyzje. Znaczy to, że istnieje w cieniu jakaś inna władza, a to bardzo, bardzo źle”.

Kwestia władzy stoi dziś na ostrzu noża, bo Borys Jelcyn wyzwał Gorbaczowa na prawdziwy pojedynek. Wypowiedział mu

wojnę. Oświadczył, że prezydent ZSSR cały czas łąał i wyprowadził kraj na manowce. Podobnego pojedynku, równie jawnej walki o władzę, świat nie oglądał w ZSSR od lat 20-tych, kiedy walczyli ze sobą następcy Lenina. Nie przesądząc o wyniku tej wojny, spróbujmy przedstawić stosunek sił przeciwników. 9 marca stronnicy Jelcyna wyszli na Plac Czerwony. Było ich według jednych obliczeń 200 tys., według innych 500 tys. tak czy owak, było ich — co pokazała telewizja — bardzo dużo. Wśród transparentów zwracały uwagę „Borys Jelcyn wiara, nadzieja, miłością Rosji”. Amerykański dziennikarz William Safire, najbardziej zjadliwy i nieustraszony krytyk „gorbomanii”, niespodziewanie zapalał ciepłymi uczuciami do Jelcyna. Kiedy około roku temu Borys Nikołajewicz bawił w USA, Safire nie znalazł dla niego ani jednego dobrego słowa. Bo też w czym miał je znaleźć? Jelcyn niczym się tam nie wslawił. Pisano o nim, że wypija kilka butelek whisky dziennie. Ale to przecie Rosjanin! Dziś William Safire jest pod ogromnym wrażeniem moskiewskiej demonstracji. To przecie Amerykanin! Jak miałby nie wierzyć w potęgę „opinii publicznej”? Więcej, porównuje prezesa Rady Najwyższej RSFSR z Kiriowem, którego unicestwił Stalin, bo robił się popularniejszy od niego. Safire uważa, że opublikowany w tych dniach w *Prawdzie* artykuł Aleksandra Jakowlewa o wynikach prac komisji śledczej badającej zabójstwo Kiriowa jest ostrzeżeniem dla Jelcyna.

Możliwość zabójstwa wykluczyć nie można. W Związku Sowieckim zabija się dziś łatwo. Zabija się popów, dziennikarzy, prywaciarzy i tak dalej. Piszą o tym gazety, ale mordy nie ustają. Sposób jest skuteczny (wystarczy jednego zabić, aby dziesięciu się bało) i uwalnia sowiecki wymiar sprawiedliwości od kłopotliwych procesów. Nie można więc wykluczyć, że i Jelcyna zabiją, ale ważniejsze wydaje mi się dokładne przyjrzenie się przeciwnikom i wzięcie ich sił i możliwości. Co do Gorbaczowa wszystko jest jasne. Sam powiedział, że zawsze opierał się i opiera na wojsku, KGB i partii. A jaką bronią dysponuje Jelcyn? Popularnością. Warto odnotować, że w ostatnich miesiącach uczucia do rosyjskiego przywódcy wyraźnie ochłodziły. Upłynęło sześć miesięcy odkąd go wybrano i nic się nie zmieniło. Jego zwolennicy odpowiadają na to nie bez racji, że Gorbaczow sprawuje władzę sześć lat, a Jelcyn sześć miesięcy. Rzecz jednak w tym, że Jelcyn nie ma żadnego programu. Szermuje hasłami i szczodrymi obietnicami. Może też przedstawiać się jako alternatywę Gorbaczowa. W tym sensie analogia Williama Safire'a jest trafna: Kiriow był alternatywą Stalina, chociaż miał ten sam program, tylko odrobinę złagodzony.

Osip Mandelsztam, przechodząc kiedyś przez Plac Czerwony, wskazał żonie na kolejkę przed mauzoleum i powiedział: idą skarżyć się Leninowi na Stalina. Można powiedzieć, że setki tysięcy moskwičan i mieszkańców innych miast, w których odbyły się demonstracje, wyszli poskarżyć się Jelcynowi na Gorbaczowa. Należy zwrócić uwagę, że zainteresowany, tzn. Jelcyn, nie przyszedł

na wiec. Przemawiali jego poplecznicy. Tłumaczył się, że nie stanął wobec ludzi w obawie przed zamachem. Trudno znaleźć w historii przywódcę masowego ruchu, który bałby się przemówić do ludu.

W tym być może leży wyjaśnienie zagadki Jelcyna. Twór Gorbaczowa zbuntował się przeciw swemu stwórcy. Jak Golem. Jak potwór Frankensteina. Zbuntował się, ale został tym kim był — funkcjonariuszem partyjnym, który opuścił rodzoną matkę-partię i zamiast niej znalazł schronienie w masach. Czy jest to wystarczające oparcie? Można bez wielkiego ryzyka błędu podejrzać, że Jelcyn zrozumiał już, że bez partii nie zwycięży. Dlatego w przemówieniu 9 marca w Domu Kinematografii, ogłosiwszy wojnę przeciwko kierownictwu, oznajmił, że trzeba koniecznie stworzyć silną „demokratyczną partię”. Bieda w tym, że nie może istnieć partia zarazem silna i demokratyczna: albo będzie silna, albo demokratyczna. Przeciwnicy Jelcyna trafnie nazywają go w telewizji i prasie neobolszewikiem. Nieprzyjaźni komentatorzy wyłuskują z jego przemówień dobrze znane słowa: „wrogowie”, „sprzedawczyki”... Mówi jak sekretarz KC KPZS, zarzucają mu...

Mówi się, że za Jelcynem stoi naród. Ale czy naród to tylko ci, którzy wyszli na Plac Czerwony? Najpopularniejszy sowiecki dziennikarz telewizyjny, gwiazda leningradzkiego ekranu Aleksander Niewzorow, który wstrząsnął telewidzów reportażami o wyczynach komandosów w Wilnie, w wywiadzie dla *Komsomolskiej prawdy* (9.2.91) oświadczył: „Tylko czołgi! Może warto dziś posłać czołgi, żeby jutro się nie trząść? Jak nie, to doczekamy się dnia, kiedy wszystko się rozpadnie”. Niewzorow nie ma wątpliwości: „Wojsko — oto co przeskądza opanować sytuację wyrostkom, którzy mają mleko pod wąsem, a zasiedli do rządzenia krajem”.

„Wyrostki, którzy mają mleko pod wąsem” to obrazowy synonim „demokratów”, którzy zdaniem wyznawcy czołgów doprowadzili kraj do rozpadu. Jedyna nadzieja w wojsku. Gorbaczow też na nie liczy. Nic dziwnego więc, że odwieczny strach, który nigdy nie zniknął, ale zmniejszał się w miarę narastania *glasnosti*, zaczął dziś wzmagać się przerażająco w miarę jak coraz wyraźniej widać, że i *glasnost* dożywa swoich dni.

12.3.1991

Adam KRUCZEK

CZY WSZYSTKIE DROGI PROWADZĄ PRZEZ POLSKĘ?

Polska jest jedynym państwem, które nie podpisało jeszcze umowy o terminie wyprowadzenia wojsk sowieckich ze swojego terytorium. Podczas drugiej tury negocjacji w Warszawie projekt prawie już zaakceptowano, ale przy trzeciej turze w Moskwie sprawa ponownie utknęła w martwym punkcie.

Przy ustalaniu ostatecznego terminu wyprowadzenia wojsk sowieckich z Polski i warunków tranzytu wracających z b. NRD jednostek trafiła kosa na kamień. Polacy proponują jako ostateczny termin wyjścia wojsk ZSSR 31 grudnia 1991. Termin ten, który b. premier Tadeusz Mazowiecki nazwał „pożądanym”, jest dziś bezwzględny wymogiem nowego szefa rządu, Jana Bieleckiego.

Strona sowiecka nie zgodziła się na ten termin, ale do tej pory nie przedstawiła własnego planu operacji. Pełnomocnik rządu sowieckiego, dowódca północnego zgrupowania wojsk gen. W. Dubynin oświadczył w czasie negocjacji, że przed całkowitym wyprowadzeniem zachodniego zgrupowania wojsk sowieckich z Niemiec nie może być mowy o wycofaniu wojsk z Rzeczypospolitej Polskiej. Polacy uważają, że obie operacje mogą toczyć się równolegle.

Zgodnie z rozkładem operacji, które można przyspieszyć, pół miliona sowieckich służb wojskowych i cywilnych wraz z rodzinami opuścić ma Niemcy do końca 1994 roku. Miliony ton sprzętu wojskowego zostanie przetransportowane do Związku Sowieckiego. Nie wszystkie transporty będą szły przez Polskę, ale operacja mimo to będzie uciążliwa. A ile można na niej zarobić? Przy takim pytaniu dowolne negocjacje zamieniają się w post-socjalistycznej Polsce w transakcję. Oblicza się, że transport będzie kosztował okrągłą sumkę miliona do trzech milionów dolarów.

Tysiące eszelonów wojennych — od siedmiu do dziesięciu dziennie — przemieszczają się z zachodu na wschód. Polskie koleje, cierpiące na spadek frekwencji, przewożą dziś jedną trzecią towarów mniej niż zazwyczaj. Istnieją wolne lokomotywy i tory kolejowe. Zważywszy, że od 1 stycznia br. rozliczenia z ZSSR odbywają się w dolarach, same polskie koleje mogłyby zarobić na transzycie wojsk sowieckich 300-400 milionów dolarów. Należy też wziąć pod uwagę fakt, że mimo niedogodności (zniszczenie dróg, gazy spalinowe, hałas) część opłat za transport drogowy zasili miejscowe budżety.

Nie wiadomo jeszcze, jaka część wojsk sowieckich będzie transportowana samolotami i okrętami. Ustalono już jednak, że wszelkie niebezpieczne materiały przewożone będą wyłącznie drogą morską poza zasięgiem polskich wód terytorialnych.

Przewidziano także odszkodowania za straty ekologiczne, zapobieżenie nielegalnemu handlowi i ewentualnym dezercjom. Polskie

wojsko i policja będą kontrolować przejazd sowieckich kolumn samochodowych i eszelonów.

Teraz Polacy pytają: a co się stanie, jeżeli wojska sowieckie wybiorą tranzyt przez Czechosłowację? Przecież Praga, jeśli wyrazi zgodę na taką propozycję, dostanie odpowiedni ekwiwalent finansowy. Ale Republika Czechosłowacka zawiadomiła, że nie zamierza podjąć negocjacji na temat przejazdu wojsk sowieckich przez jej terytorium, dopóki nie zostanie podpisane porozumienie między ZSSR i Polską. Może się jednak zdarzyć, że sowieckie oddziały opuszczą Niemcy z pominięciem Polski, a wyprowadzenie wojsk sowieckich z Polski odwlecze się.

Walerij MASTIEROW

OBLICZENIE

Dziennie będzie przejeżdżać przez Polskę czterema specjalnymi trasami osiem pociągów z wracającymi z Niemiec żołnierzami i techniką.

Do 1994 przez terytorium Polski przejdzie 3000 kolumn czołgów. W drodze z RFN do najdalej na zachód wysuniętego punktu ZSSR będą musiały przebyć 450 kilometrów. Czołgom wyznaczono tylko jedną trasę.

Sowiecka broń nuklearna i chemiczna nie ma prawa wjechać do Polski przez granicę zachodnią.

Strona sowiecka będzie musiała zapłacić ok. 16 tysięcy dolarów za każdy przejeżdżający przez Polskę pociąg i ok. 300 dolarów za każdy pojazd. Odbudowa dróg i torów kolejowych będzie kosztowała miliard dolarów.

Moskowskie nowosti nr 6, 10 lutego 1991

Książki

Ostatni tekst Dürrenmatta

22 listopada 1990 r. odbyło się w Zurichu uroczyste wręczenie Vaclavovi Havlovi szwajcarskiej nagrody Gottlieba Duttweilera i jednym z mówców zaproszonych z tej okazji był niemieckojęzyczny dramaturg i powieściopisarz Friedrich Dürrenmatt. Jego długie i przyjęte przez wielu Szwajcarów z pewnym zmieszaniem przemówienie zostało wkrótce potem opublikowane, a nawet przełożone na francuski*. Książeczka ta ukazała się jednak już jako *opus posthumum*, bowiem w trzy tygodnie po wygłoszeniu przemówienia — dokładniej: 14 grudnia 1990 r. — Dürrenmatt zmarł na atak serca w swym domu w Neuchâtel. Jego ostatni tekst nie jest może „testamentem” — jak to się zazwyczaj mówi w tych okolicznościach — ale jest charakterystyczny zarówno dla samego pisarza, jak i formacji umysłowej, którą reprezentował i zasługuje na chwilę uwagi.

Dürrenmatt urodził się w 1921 r. Zadebiutował krótko po wojnie sztuką „*Es steht geschrieben*” (1946) i w ciągu następnych kilkunastu lat napisał swoje najlepsze rzeczy, a więc znane dobrze i w Polsce dramaty: „Romulus Wielki” (1949), „Wizyta starszej pani” (1956), „Fizycy” (1961) i powieści: „Kraksa” (1956), „Obietnica” (1958) i in. W latach 70-tych i 80-tych jego twórczość straciła aurę nowatorstwa, a nawet spotkała się z zarzutami zastoju i auto-wtórności. Pisarz zawdzięczał odtąd swój nadal wysoki status w świecie literackim raczej pozycji współczesnego klasyka i aurze lewicowego nonkonformizmu jaka go otaczała, a nie nowym dokonaniom literackim.

Ten status i ta aura były też powodem, dla którego poproszono Dürrenmatta o wygłoszenie *laudatio* dla Havla z okazji wręczenia mu nagrody Duttweilera. Fundator jej, założyciel sieci

sklepów „Migros”, był za życia — i jest nadal — postacią znaną i szanowaną w Szwajcarii: byznesman, „socyjał”, który przekształcił swe przedsiębiorstwo w rodzaj spółdzielni pracowniczej, działacz polityczny o dość opozycyjnym profilu, a do tego purytanin-idealista (za jego życia „Migros” nie prowadził sprzedaży alkoholu w żadnej postaci)... Zaś Vaclav Havel idealnie uosabia idealnego laureata nagrody jego imienia: opozycjonista odziewający się od przemocy, człowiek twardych przekonań ale nie doktryner, raczej myśliciel niż polityk, ale nie cofający się przed praktycznymi, społecznymi konsekwencjami swych myśli i przekonań — trochę taki cywilny święty, znakomicie więc pasujący do różnych zachodnich i „środkowoeuropejskich” „świętyń spod sztandarów Tolerancji, Dobrej Woli i Wzajemnego Zrozumienia. Określenie to brzmi nieco sarkastycznie, więc chcę się zastrzec od razu, że sarkazm ten odnosi się do „świętyń”, a nie do obecnego prezydenta Czechosłowacji. Gdyby Dürrenmatt żył jeszcze, w podobnym stylu zapewne omawiałbym jego przemówienie, ale ponieważ umarł, zajmę się nim *sine ira et studio* jako przyczynkiem do portretu szwajcarskiego pisarza.

Havel, do którego przemówienie zostało wygłoszone, stanowią dla Dürrenmatta jedynie pretekst i właśnie „cywilnie święty” punkt odniesienia; *gros* tekstu jest krytyczną oceną Szwajcarii i świata w ogóle, ale szczególnie świata zachodniego. Wspominając więzienne lata czeskiego gościa szwajcarski pisarz przypomina, że również w Szwajcarii idzie się do więzienia z powodów politycznych: młodzi ludzie odmawiający służby wojskowej, a nie odwołujący się do motywów religijnych, otrzymują surowe wyroki sądowe. Cytując noworoczne przemówienie Havla tuż po jego wyborze na prezydenta Dürrenmatt przypomina, iż mowa w nim była o „wymarzonej” republice, która będzie niepodległa, wolna, zamożna a równocześnie społecznie sprawiedliwa — i dorzuca: „Również wielu Szwajcarów marzy, by żyć w takiej republice, żyć w śnie który Pan śni, Vaclavie Havlu. Ale rzeczywistość, wśród której marzą Szwajcarzy, jest inna”.

Dalsza część przemówienia poświęcona jest wywodowi, iż Szwajcaria jest w istocie więzieniem. Uzasadnieniem tego twierdzenia są dla Dürrenmatta nie tylko wspomniane już wyroki na pacyfistów i wymienione *en passant* legendarnych rozmiarów teczki personalne gromadzone przez rząd berneński, ale głównie „egzystencjalny” fakt bycia Szwajcarem, czyli obywatelem kraju zamożnego, neutralnego i dobrze zorganizowanego. Wywód ten brzmi w skrócie tak: „...chodzi tu o więzienie [...] w którym schronili się Szwajcarzy. Ponieważ na zewnątrz tego więzienia wszyscy rzucają się na wszystkich i ponieważ tylko wewnątrz tego więzienia są pewni, że nikt ich nie zaatakuję, Szwajcarzy

* Friedrich Dürrenmatt, *Pour Vaclav Havel* (tr. de l'allemand par Gilbert Musy, Ed. Zoé/Ed. de l'Aube, 1990, 34 p., ISBN 2-88182-080-8/2-87678-059-3.

czują się wolni, bardziej wolni niż inni, wolni i zamknięci w więzieniu swej neutralności. Istnieje tylko jeden problem w tym więzieniu, mianowicie jak udowodnić, że nie jest to więzienie lecz azyl wolności, bowiem patrząc od zewnątrz więzienie to więzienie i ci, którzy są w środku są więźniami [...]: w oczach świata zewnętrznego wolni są jedynie strażnicy, ponieważ gdyby nie byli wolni, byłiby więźniami. By rozwiązać tę sprzeczność, więźniowie wprowadzili powszechny obowiązek bycia strażnikami [...]. Co daje Szwajcarowi dialektyczny przywilej bycia równocześnie wolnym, więźniem i strażnikiem". I tak dalej.

Na sytuację międzynarodową Dürrenmatt spogląda jak na rodzaj niebezpiecznego pata szachowego, w którym *nota bene* „czarne” grały przeciw „czarnym”. Brzmi to tak: „Minęło ponad dwadzieścia lat [od inwazji Czechosłowacji w 1968 r.]. W Wietnamie Amerykanie nie tylko przegrali wojnę, ale i stracili honor. Władza dogmatyków w Europie Wschodniej załamała się, konfrontujące się bloki militarne najeżone bronią stały się zbędne. Ich wróg rozplynął się. Supermocarstwa stają obecnie twarzą w twarz nie tyle jedno wobec drugiego, co wobec siebie samych”.

Pod koniec przemówienia pisarz wraca do tej refleksji i stwierdza: „Istnieje niebezpieczeństwo, że pokój może być niebezpieczniejszy od wojny. To stwierdzenie jest okrutne, lecz nie cyniczne. Nasze drogi zamieniły się w pola bitew, nasze powietrze przenikają gazy trujące, nasze oceany stały się kloakami, nasze pola są zanieczyszczone środkami owadobójczymi, Trzeci Świat jest grabiony w sposób gorszy, niż niegdyś Wschód przez krzyżowców: nic więc dziwnego, że nas szantażuje obecnie. [...] Problemem, który musimy obecnie rozwiązać, jest pokój. Pokój posiada fatalną zdolność asymilowania wojny. Motorem gospodarki rynkowej jest konkurencja, wojna ekonomiczna, walka o rynki”.

Jedynym wyjściem jakie Dürrenmatt widzi, jest domaganie się przez społeczeństwo powiększenia zakresu praw ludzkich, czyli — jak mówił zwracając się do Havla — „tego czego Pan się domagał [...] podstawowych praw, chleba poprzedniego dla każdego, równości wobec prawa, wolności opinii, wolności stowarzyszania się, pełnej informacji, zniesienia tortur [...]”.

Po tych ogólnikach pisarz powraca do obrazu zadowolonej z siebie, neutralnej Szwajcarii i stwierdza: „Jakimi ludźmi jesteśmy my, Szwajcarzy? To, że zostało się oszczędzonym przez los nie jest ani powodem do wstydu, ani tytułem do chwały, lecz ostrzeżeniem”.

W tym miejscu cisnie się na usta pytanie: ostrzeżeniem przed czym? Przed czyhającą na „letnich” nieuchronną karą? Ponieważ autor przemówienia już nie żyje, pytanie to należy

skierować do filozofii, którą wyznawał. Ale odpowiedź jej będzie dziwna: bo oto skoro całe zło świata jest winą „konkurentów”, „dogmatyków” i „grabieżców”, zaś próby zorganizowania pokojowego, uczciwie pracującego i praworządnego społeczeństwa prowadzą do „więzienia”, to okazuje się, że są tylko „zli” natomiast nie ma „dobrych” — chyba tylko *post factum*, jako ofiary. Dziwne więc, że filozofia ta — dawniej zwana lewicową, obecnie „liberalną” — pretenduje zarazem do roli dawczyni wskazań moralnych. Czy może istnieć moralność negocjująca istnienie dobra w jakiegokolwiek postaci?

M. BRONSKI

Problem z Japonią

Przeszło rok temu ukazała się na rynkach anglojęzycznych monumentalna, jedyna w swoim rodzaju książka o Japonii, pod znamienym tytułem „Enigma władzy w Japonii”, pióra jednego z najwybitniejszych dziś znawców tego kraju, publicysty holenderskiego Karela Van Wolferena*. Już sam tytuł wskazuje, że książka nie jest systematycznym, podręcznikowym wykładem polityki japońskiej w najszerszym tego słowa znaczeniu, chociaż zawiera mnóstwo błyskotliwych dygresji na temat najrozmaitszych aspektów „mocarstwowości” japońskiej. Jest natomiast doskonałą, wnikliwą analizą systemu politycznego Japonii w jego obecnej postaci, z centralnym punktem odniesienia co do *sposobu sprawowania władzy* w Japonii. W szerszym ujęciu tematycznym należy ona do publicystyki zajmującej się tzw. „problemem z Japonią” (w kontekście problemów polityczno-gospodarczych z Zachodem), z tym że książka Van Wolferena pod każdym względem przewyższa wszystkie inne prace w tej dziedzinie.

„System” zamiast „państwa”

Główne źródła nieporozumień i konfliktów Zachodu z Japonią tkwią w ciągłym braku zrozumienia systemu wewnątrz-po-

* Karel Van Wolferen, „The Enigma of Japanese Power”, Macmillan, London 1989, str. 496. W ub. roku ukazało się francuskie wydanie tej książki pt. „L'énigme de la puissance japonaise”, Laffont, str. 536.

litycznego Japonii, nie dającego się ująć w żadną ze znanych na Zachodzie kategorii politycznych. Jest to system zasadniczo różny zarówno od demokracji zachodnich, jak od dyktatur komunistycznych. Japoński sposób sprawowania władzy odbiega od wszelkich zrozumiętych na Zachodzie norm ustrojowych. Jego głównymi wyznacznikami są z jednej strony systematyczne (lecz nie represywne) zwalczanie indywidualizmu na rzecz skrajnej świadomości grupowej, a z drugiej strony brak ostatecznego centrum odpowiedzialnego za powzięte decyzje (ang. *center of accountability*). Centrum takiego nie ma, zdaniem Van Wolferena, nawet na najwyższych szczeblach władzy w Japonii, tzn. w rządzie. O ile sprawy tzw. kolektywizmu japońskiego są na ogół znane, to oskarżenie o brak „centrum odpowiedzialnego” stanowi oryginalne założenie autora w dotychczasowej literaturze politycznej o Japonii. Doprowadzone do krańcowej konkluzji, stawia ono poważny znak zapytania nad samymi podstawami państwowości japońskiej. Pojęcie „państwa” oraz instytucji z nim związanych (parlament, partie polityczne itd.) w sensie przyjętym na Zachodzie stanowi sieć nieobliczalnych pułapek, o ile stosuje się je ślepo do Japonii. Za fasadą prawie identycznego nazewnictwa skrywa się bowiem sposób sprawowania władzy zupełnie inny od naszego. Polega on, według wyjaśnień autora, na działaniu mocnego, głęboko zakorzonego, lecz równocześnie nieuchwytnego dla oka systemu, który stwarza idealne warunki dla sprawnego kierowania życiem polityczno-gospodarczym kraju, będąc równocześnie niepodatnym na zakłócające mechanizmy interwencji czy kontroli. System ten nie jest despotycznym monolitem, lecz składa się z licznych, wzajemnie konkurujących, lecz równocześnie harmonijnie zgranych części (różne grupy interesów itp.) świadomych swego miejsca w systemie i reguł gry. Innymi słowy, władza w Japonii jest tak rozproszona, iż wyłącza starcia i konfrontacje. Próby wyrwania się z systemu (czego dowodzi autor szczegółowo na przykładach różnych grup społecznych, np. związki zawodowe, nauczycielstwo itd.) są skazane na niepowodzenie. System ten, w formie horyzontalnie przebiegających powiązań i układów (jap. *jimmyaku*), panuje nad formalnymi, wertykalnymi strukturami państwa na każdym szczeblu, aż do najwyższej władzy państwowej, paraliżując działalność rządu z premierem na czele. „Dopóki względny brak odpowiedzialności rządowej (wynikający z działania systemu) w Japonii nie będzie należycie rozpoznany i doceniony — ostrzega autor — stosunki Zachodu z Japonią będą się pogarszały”.

„Ład społeczny” zamiast „prawa”

O ile pewien stopień rozbieżności między formalną a mate-

rialną rzeczywistością jest zjawiskiem uniwersalnym, w Japonii rozbieżność ta nabiera cech niemal instytucjonalnych, będąc jednym z głównych filarów gładkiego funkcjonowania systemu. W odróżnieniu od Zachodu, gdzie system władzy skrywa się pod często iluzorycznymi pozorami pryncypialności, w Japonii paradytuje on pod szyldem swoistej benevolencji. W praktyce oznacza to wpajanie i kultywowanie wzajemnej wyrozumiałości, harmonijnego współżycia i ładu społecznego, a przede wszystkim bezgranicznego zaufania wobec hierarchicznie wyżej ustawionych jednostek. Naturalną konsekwencją takiej indoktrynacji jest głęboko zakorzeniona wiara Japończyków w inherentną dobroć systemu. Ma to doniosłe znaczenie dla jednej dziedziny życia społeczno-politycznego, potencjalnie mogącej zakłócić gładkie działanie systemu, mianowicie dla prawa. Japonia dysponuje wprawdzie, podobnie jak kraje Zachodu, rozgałęzionym systemem prawnym, lecz wymienione właściwości charakteru japońskiego powodują powszechną niechęć do korzystania z litery prawa. W etyce społecznej Japończyków „umowność” (oparta na wzajemnym zaufaniu) stoi ponad zawitymi umowami prawnymi, a polubowne załatwianie sporów ponad procesami sądowymi. Istniejąca aparatura prawna jest tylko wygodnym narzędziem dla różnych posunięć administracji, przy biernym nastawieniu ludności. W ten sposób system japoński z powodzeniem zneutralizował i wchłonął jedną z najważniejszych dziedzin funkcjonowania państwa. Gdyby kraje zachodnie miały polegać na formalnych strukturach prawnych w tak małym stopniu jak Japonia, załamałby się prawdopodobnie cały ich system rządzenia. Z kolei w Japonii, w porządku odwróconym, dosłowne poleganie na literze prawa pociągnęłoby za sobą poważne zachwianie obecnego systemu władzy.

Czy system można zmienić?

Powojenna Japonia, przyznaje Van Wolferen, zmieniła się pod wieloma względami, niemniej sposób sprawowania władzy pozostaje kontynuacją dawnych tradycji, sięgających początków nowocześniejszego państwa japońskiego po reformach Meiji r. 1868. Te z kolei mają korzenie w różnych fazach rozwojowych nacjonalizmu japońskiego, wywodzącego się z religijnych przesłanek *shintō*. Jak już wspomniałem na wstępie, praca Van Wolferena obfituje w szczegółowe wyjaśnienia różnych aspektów japońskiego charakteru narodowego oraz kulturowo-cywilizacyjnego podłoża systemu japońskiego. Nie jestem jednak pewien, czy autorowi udało się w pełni wyjaśnić zawile sprawy źródeł kultury politycznej Japonii, co jednak wykraczałoby poza ramy tematyczne książki. W każdym razie główne elementy japońskiej

kultury politycznej, ukształtowanej w oparciu o swoisty kult harmonijności i ładu (jap. *wa*), przetrwały do dziś dnia. Dzięki niej sternicy powojennej Japonii mogli stworzyć świat, w którym groźba zakłócenia ustalonego porządku społeczno-politycznego jest ograniczona do minimum. Dlatego też autor nie widzi możliwości, by w ten sposób funkcjonujący, samozachowawczy system mógł się zmienić sam przez się, bez większych wstrząsów rewolucyjnych. Możliwość zmiany być może istniała tuż po wojnie, w 1945 r., lecz została bezpowrotnie zaprzepaszczone na skutek krótkowzrocznej decyzji władz okupacyjnych pozostawienia na miejscu praktycznie całego aparatu biurokracji przedwojennej.

W samej Japonii książkę Van Wolferena przyjęto jako kolejny atak w ramach uprawianej już od dłuższego czasu wojny psychologicznej przeciwko Japonii, w której niektórzy publicyści amerykańscy posuwali się nawet do propozycji antyjapońskiego sojuszu z Sowietami. Omawiając książkę Van Wolferena na łamach prestiżowego *Japan Review of International Affairs* w Tokio, prof. Nagayo Homma ostrzega przed grupą publicystów zachodnich, systematycznie kreślących przerażający obraz Japonii, w której nie wiadomo kto rządzi. „Szokują nas twierdzenia — pisze — że jesteście niebezpiecznymi *outsiderami*, których trzeba poskramiać i 'neutralizować', w momencie gdy poszukujemy nowych dróg zbliżenia i odegrania pozytywnej roli polityczno-gospodarczej w świecie. Jest niedorzecznością oczekiwać, iż świat będzie zawsze funkcjonował wg wzorców zachodnich, do których Japonia musi się bezwarunkowo przystosować. Świat zmierza dziś w kierunku tolerancyjnego współzycia różnych kultur, bez przymusowego rzekania się własnych tradycji”. W tonie bardziej pojednawczym przyznaje jednak, iż w erze wzrastającej współzależności globalnej Japonia zdaje sobie sprawę z konieczności pewnych modyfikacji własnego systemu politycznego, a w tym sensie książka Van Wolferena jest pozytywnym materiałem do refleksji.

Osobiście wydaje mi się, że zrozumiałe reakcje Japończyków na tego rodzaju prace są jednak w danym wypadku skierowane pod niewłaściwym adresem. Można się nie zgadzać z wszystkimi tezami zawartymi w książce Van Wolferena, lecz nie sposób jej odmówić wyjątkowej rzetelności analitycznej, głębokiej znajomości przedmiotu i zdolności obserwacyjnych autora. W żadnym wypadku nie jest świadomym, napastliwym atakiem na Japonię. Autor przyznaje zresztą otwarcie, iż w świadomym podtrzymywaniu systemu sternicy polityki japońskiej bynajmniej nie kierują się nieczystymi i podejrzаныmi zamiarami, lecz wyłącznie troską o los kraju. Szkoda tylko, że ten właśnie wątek, o doniosłym znaczeniu dla stosunków Japonii ze światem zewnętrznym, nie został w książce bardziej rozwinięty.

„Problem z Japonią”, widziany z Zachodu, jest głównie problemem rosnącego konfliktu w stosunkach handlowych na tle coraz wyraźniej przegrywanego wyścigu gospodarczo-technologicznego. Nieuchwytność systemu japońskiego, tak doskonale przedstawiona w omówionej tu książce Van Wolferena, jest bezsprzecznie jedną z największych przeszkód na drodze złagodzenia napięcia między dwoma blokami gospodarczymi o diametralnie różnych filozofiach rynkowych. W odróżnieniu od USA, przekonanych o absolutnej nadrzędności rynku, w Japonii mechanizmy rynkowe spełniają tylko pomocniczą, regulującą rolę, a nie mogą same przez się ustalać kierunku rozwoju gospodarczego. Gdyby nawet Ameryka zbalansowała swój budżet, zwiększyła odsetek oszczędności itd. w dalszym ciągu nie miałyby szans przeciwko korporacjom i bankom japońskim, chronionym przed bankructwem przez swoistą protekcję gospodarczą. Dopóki system japoński nie zrezygnuje z tego, co Van Wolferen nazywa *polityczną kontrolą gospodarki*, stosunki handlowe z Zachodem (a zwłaszcza z USA) będą się coraz bardziej pogarszały. Czy jednak rozwiązanie tego problemu zależy tylko od samej Japonii?

Van Wolferen wraca ponownie do tego zagadnienia na łamach periodyku *Foreign Affairs* („*Japan Problem Revisited*”, *Foreign Affairs*, Fall 1990), gdzie już wyraźnie obarcza odpowiedzialnością obie strony konfliktu. Przyznaje on, iż za upartą strategią politycznej kontroli gospodarki japońskiej kryją się nie zapędy gospodarczego podboju świata (częste oskarżenie pod adresem Japonii), lecz głęboko zakorzenione uczucie niepewności, izolacji, tzn. obawy o bezpieczeństwo narodowe kraju. Droga do złagodzenia napięcia z Japonią prowadzi więc poprzez uczciwe podejście do tego problemu ze strony USA. Zamiast pustej retoryki, należy podjąć konkretne kroki w kierunku politycznego otwarcia Japonii na świat, w którym poczułaby się nie pionkiem, lecz równorzędnym partnerem na arenie międzynarodowej, na miarę jej potęgi gospodarczej. Pierwszym krokiem w tym kierunku może być, zdaniem Van Wolferena, przyznanie Japonii stałego miejsca w Radzie Bezpieczeństwa ONZ. Zamiast na siłę zmieniać Japonię, świat zachodni powinien m.in. poważnie pomyśleć o stworzeniu nowego systemu układów regulujących różne aspekty stosunków międzypaństwowych, uwzględniającego w należyty sposób polityczne czynniki określające potęgę gospodarczą Japonii. Żeby zmienić swój system, w dalszym ciągu dyktowany nieufnością do otoczenia, Japonia wpraw musi się poczuć autentycznym, a nie sztucznym członkiem społeczności międzynarodowej.

Nadesłane nowości wydawnicze

- JURKSZUS-TOMASZEWSKA (Jadwiga). *Ścieżkami Europy*. Str. 316 i 4 nlb. (Wyd. Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Toronto 1990).
- BURNS (Robert). *Liryki miłosne*. HEBDA (Jerzy R.S.). *Zmartwychwstanie. Wiersze wybrane 1988-1990*. Str. 78 i 2 nlb. (Wyd. OPIM, Londyn 1990).
- OŻAROWSKI (Bohdan M.). *Droga do ojczyzny. ZSSR, Środkowy Wschód, Italia, Anglia*. Wiersze. Str. 76 i 4 nlb. (Wyd. OPIM, Londyn 1990).
- Naród w walce 1939-1945*. Zbiór artykułów pod redakcją Jana Krawca. Str. 144. (Wyd. Okręg Fundacji Armii Krajowej w Stanach Zjednoczonych, 1989).
- SZARUGA (Leszek). *Walka o godność. Polska poezja w latach 1939-1988. Zarys głównych problemów*. Str. 344. (Wyd. Veronika Körner Verlag, Berlin 1991).
- DAROWSKI (Jan). *Niespodziewane żywoty*. Wiersze. Str. 160. (Wyd. OPIM, Londyn 1990).
- KOREY-KRZECZKOWSKI (Jerzy). *Wszędzie i nigdzie*. Wiersze. Wydanie dwujęzyczne polsko-angielskie. Str. 160. (Wyd. Editions Dembinski, Paryż 1991).
- MAURER (Jadwiga). „Z matki obecnej...” *Szkice o powiązaniach Mickiewicza ze światem Żydów*. Str. 141 i 3 nlb. (Wyd. PFK, Londyn 1990).
- Co nam zostało z tych lat... Społeczeństwo polskie u progu zmiany systemowej*. Praca zbiorowa pod red. Mirosławy Marody. Str. 269. (Wyd. Aneks, Londyn 1991).
- ELIADE (Mircea). *Religia, literatura i komunizm. Dziennik emigranta. Z francuskiego przeł.* Adam Zagajewski. Str. 401 i 1 nlb. (Wyd. Puls, Londyn 1990).
- SIKORSKI (Radek). *Prochy świętych. Podróż do Heratu w czasie wojny*. Przeł. Grzegorz Sowula. Str. 257 i 5 nlb. (Wyd. Polonia, Londyn 1990).
- Powojenna historia harcerstwa w Stanach Zjednoczonych*. Opr. Ewa Gieratowa. Str. 288. (Wyd. Zarząd Okręgu ZHP Stany Zjednoczone, Detroit, 1991).
- MENHARD (Aleksander). *Polskimi śladami — Monachium i okolice*. Str. 132. (Wyd. Kontrast, Schlossberg-Rosenheim, RFN, do nabycia u: A. Menhard, Redwitzstr. 6, 8000 München 81, RFN).
- HERLING-GRUDZIŃSKI (Gustaw). *Dziennik pisany nocą 1984-1988*. Tom I str. 161 i 3 nlb., tom II str. 246 i 2 nlb. (Wyd. Oficyna Wydawnicza Plejada, Warszawa 1990).
- Rok 1989. Geremek opowiada, Żakowski pyta*. Str. 380 i 4 nlb. (Wyd. Plejada, Warszawa 1990).
- KRZYŻANOWSKI (Jerzy R.). *Ostatni komendant. Opowieść o Leopoldzie Okulickim*. Str. 160. (Wyd. Instytut Prasy i Wydawnictw „Novum”, Warszawa 1990).
- OLSZAŃSKI (Tadeusz Andrzej). *Zarys historii Ukrainy w XX wieku*. Str. 223 i 7 nlb. (Wyd. Solidarni, Warszawa 1990).
- WASZKIEL (Marek). *Dzieje teatru lalek w Polsce (do 1945 roku)*. Str. 260. (Wyd. PAN-Institut Sztuki, Warszawa 1990).
- KUMOREK (Mieczysław). *Z kreśłów do peczorskich łagrów*. Str. 348 i 4 nlb. (Wyd. PAX, Warszawa 1990).
- KOWALSKI (Sergiusz). *Krytyka solidarnościowego rozumu. Studium z socjologii myślenia potocznego*. Str. 162 i 6 nlb. (Wyd. PEN, Warszawa 1990).

- MUGGERIDGE (Malcolm). *Jezus, człowiek, który żyje*. Str. 261 i 3 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1990).
- DAMASZ (Jerzy). *Lwowskie puchaczce. Wspomnienia lotnika*. Str. 385, 3 nlb. i 40 str. fotografii. (Wyd. Znak, Kraków 1990).
- GÓRSKI (Krzysztof). *Papiestwo w Rzymie*. Str. 159 i 5 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1990).
- RYBICKI (Stanisław). *Pod znakiem łwa i kruka. Fragmenty wspomnień z lat okupacji*. Str. 409 i 1 nlb. (Wyd. PAX, Warszawa 1990).
- MOSTWIN (Danuta). *cień księdza Piotra*. Str. 401 i 3 nlb. (Wyd. PAX, Warszawa 1985).
- Satyra konspira. Wybór rysunków satyrycznych z lat osiemdziesiątych*. Str. 108. (Wyd. Stow. Polskich Artystów Karykatury, Woj. Ośrodek Kultury w Gdańsku, 1990).
- FANTUZI (Giacomo). *Diariusz podróży po Europie (1652)*. Przeł. Wojciech Tygielski. Str. 316 i 4 nlb. (Wyd. PAX, Warszawa 1990).
- KOTT (Jan). *Das Gedächtnis des Körpers. Essays zu Theater und Literatur*. Przeł. Agnieszka Grzybowska. Str. 414 i 2 nlb. (Wyd. Alexander Verlag, Berlin 1990).
- NUROWSKA (Maria). *Postscriptum für Anna und Miriam*. Przeł. Albrecht Lempp. Str. 154 i 6 nlb. (Wyd. Fischer Taschenbuch Verlag, Frankfurt/M 1990).
- Oberschlesisches Jahrbuch 1990*. Str. 368. (Wyd. Gebr. Mann Verlag, Berlin 1990).
- HERBERT (Zbigniew). *Elegia o odlasku*. Przeł. Petar Vujičić. Str. 64 i 4 nlb. (Wyd. Książeczna Opzstina Wrszac, Wrszac 1990).
- HERBERT (Zbigniew). *Gospodin Kogito*. Przeł. Petar Vujičić. Str. 301 i 3 nlb. (Wyd. Svjetlost, Sarajewo 1988).
- HERBERT (Zbigniew). *Varvarin u vrtu*. Przeł. Petar Vujičić. Str. 196 i 4 nlb. (Wyd. Prosveta, Belgrad 1990).
- MROŻEK (Sławomir). *Mała pisma*. Przeł. Petar Vujičić. Str. 194 i 6 nlb. (Wyd. Książeczna Opzstina Wrszac, Wrszac 1990).
- MROŻEK (Sławomir). *Cinkarenja i druga pokazivanja*. Przeł. Biserka Rajčić. Str. 155 i 3 nlb. (Wyd. Biblioteka Pana Dusičkog, Belgrad 1989).
- KOLAKOVSKI (Leseck). *Ključ nebeski. Razgovori sa davolom*. Przeł. Petar Vujičić. Str. 186 i 6 nlb. (Wyd. Beogradski Izdavačko-Grafički Zavod, Belgrad 1990).
- KOLAKOVSKI (Leseck). *Davo u istoriji*. Przeł. Risto Tubić, Biserka Rajčić, Franjo Rehlicky. Str. 380 i 4 nlb. (Wyd. Glas, Banja Luka 1989).
- IVASKJEVIC (Jaroslav). *Sopen*. Przeł. Petar Vujičić. Str. 229 i 3 nlb. (Wyd. „Novi Glas”, Banja Luka 1990).
- LEM (Stanislav). *Nepobedivi*. Przeł. Petar Vujičić. Str. 178 i 2 nlb. (Wyd. Prosveta, Belgrad 1989).
- LEM (Stanislav). *Eden*. Przeł. Petar Vujičić. Str. 259 i 1 nlb. (Wyd. Prosveta, Belgrad 1989).
- UGGLA (Andrzej Nils). *Sverige och polska skaldet. Fran Mickiewicz till Miłosz*. Str. 234 i 23 nlb. (Wyd. Uppsala University, Uppsala 1990).
- Historiska och litteraturhistoriska studier nr 560*. Str. 289 i 7 nlb. (Wyd. Svenska Litteratursällskapet i Finland, Helsingfors 1990).
- Żyżn w leninskoj Rossiji*. Wybór i przedmowa Michała Hellera. Str. 193 i 3 nlb. (Wyd. OPI, Londyn 1991).
- HEILBRONER (Rober L.), THURROW (Lester). *Ekonomika dla wszech*. Przeł. z angielskiego Sima Weksler i Ruf Ziernowa. Str. 336 i 2 nlb. (Wyd. OPI, Londyn 1991).
- Zaria sowietskogo prawosudia*. Wybór i przedmowa Michała Hellera. Str. 263 i 1 nlb. (Wyd. OPI, Londyn 1991).
- ŁUKNICKIJ (P.N.). *Wstriezi s Annoj Achmatowoj*. Tom I: 1924-25r. Str. 347 i 3 nlb. (Wyd. YMCA-Press, Paryż 1991).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

14.1.91

Budżet R.P. na 1991 rok przewiduje dotacje na fundusz kościelny w wysokości 48 mld złotych. Fundusz kościelny został utworzony w 1950 r. Składają się nań dochody z nieruchomości oraz dotacje państwowe.

23.1.91

W Warszawie odbyło się ogólne zebranie wyborcze Polskiego PEN-Clubu. Prezesem został wybrany Artur Międzyrzecki. Nowy zarząd ukonstytuował się następująco: Wiceprezisi: Jacek Bocheński i Anna Trzeciakowska, sekretarz: Alina Kowalczykowa; skarbnik: Bolesław Fac; członkowie zarządu: Marian Brandys, Andrzej Braun, Andrzej Drawicz, Jerzy Ficowski, Ryszard Kapuściński, Urszula Kozioł, Erwin Kruk, Zygmunt Kubiak, Egon Naganowski, Jan Józef Szczepański, Andrzej Szczypiorski, Jerzy Turowicz, Wiktor Woroszyński; Komisja Rewizyjna: Jarosław Abramow, Irena Jurgielewiczowa, Irena Lewandowska, Janusz Odrowąż-Pieniążek (przewodniczący), Andrzej Osęka.

1.2.91

W Polsce powstała nowa partia — Polskie Forum Chrześcijańsko-Demokratyczne. Partia ta wyłoniła się z podziatu Stowarzyszenia PAX. Samo Stowarzyszenie PAX przekształca się w instytucję charytatywną i kulturalną. Odbył się pierwszy kongres Porozumienia Centrum, powstałego z federacji partii i organizacji politycznych — zjednoczonych w jednolitą organizacyjnie partię polityczną. Będą w niej dominowały dwa nurty: chrześcijańsko-demokratyczny i liberalno-demokratyczny o orientacji centroprawicowej. ■ Sąd Najwyższy — Izba Wojskowa w Warszawie — zrehabilitował Andrzeja Chileckiego, skazanego pod koniec lat 60-tych zaocznie na 10 lat więzienia i pozbawienie praw obywatelskich za „szpiegostwo”. M.in. zarzut polegał na jego współpracy z *Kulturą*. Prezydent R.P. na Uchodźstwie odznaczył Andrzeja Chileckiego pośmiertnie Krzyżem Kawalerskim orderu *Polonia Restituta*.

22.2.91

Sowiecką nagrodę państwową z dziedziny literatury i sztuki otrzymali w 1990 roku autorzy dzieła „Mity narodów świata” (wydanie drugie), wielcy uczeni: S.A. Awierincew, P.A. Grincer, W.W. Iwanow, E.M. Mioletinskij, B.Ł. Riftin, W.N. Toporow. P. Grincer i W. Toporow oficjalnie zawiadomili komitet nagrody, że na znak protestu przeciwko sowieckiej zbrojnej inwazji krajów nadbałtyckich — rezygnują z nagrody. Pozostali laureaci nagrodę przyjęli, ale oświadczyli że przekazują ją w całości stałemu przedstawicielstwu Litwy w Moskwie.

23.2.91

Biurow Praso Episkopatu Polski poinformowało, że Ojciec Św. Jan Paweł II ustanowił ordynariat wojskowy, czyli polowy w Polsce. Biskupem polowym (ordynariuszem) mianował ks. prałata Sławoja Leszka Głódzia. Biskup polowy ma uprawnienia biskupa diecezjalnego, wchodzi w skład Konferencji Episkopatu, ma własną władzę ustawodawczą i sądowniczą. Biskup polowy

będzie w randze generała. W wojsku polskim jest dotąd 34 kapelanów. Nie przewiduje się utworzenia osobnych służb duszpasterskich dla żołnierzy innych wyznań.

13.91

Wybitny pisarz sowiecki Czjngis Ajtmatow został mianowany postem ZSSR w Luksemburgu. A więc nie tylko w Polsce literaci zaczynają opanowywać placówki dyplomatyczne.

10.3.91

Aleksander Jurewicz, autor poematu „Lida”, opublikowanego w *Kulturze* nr 1/508-2/509 (styczeń-luty 1990), a następnie wydanego w książce przez biłostocki „Versus”, otrzymał za tę książkę prywatną nagrodę Czesława Miłosza. ■ Jury nagrody im. Andrzeja Kijowskiego przyznało nagrodę za rok 1990 Janowi Walcowi za tom eseju pt. „Wybierane”. ■ Zwłoki, a właściwie szczątki zwłok króla Stanisława Augusta zostaną sprowadzone z Wołczyna i pochowane w katedrze warszawskiej. Ta mądra decyzja Prymasa przecina jałowe spory, trwające od kilkadziesiąt lat. Sprowadzenie zwłok zbiega się z rocznicą uchwalenia Konstytucji 3 Maja, przy której uchwaleniu Stanisław August odegrał czołową rolę.

15.3.91

Zmiany w rządzie. Ma być stworzony nowy urząd ministra Strategii Gospodarczej. Ministrem ma zostać prof. Stefan Kurowski, członek Komitetu Doradczego Lecha Wałęsy. Będzie on w randze wicepremiera i ma koordynować prace Ministerstwa Finansów i ministerstw przemysłowych. ■ Zmarł w Warszawie w wieku 91 lat prof. Stanisław Lorentz, historyk sztuki, muzeolog, twórca i dyrektor Muzeum Narodowego w Warszawie, wiceprzewodniczący Obywatelskiego Komitetu Odbudowy Zamku Królewskiego w Warszawie. ■ Zmarł w Krakowie w wieku 78 lat Jan Bolesław Ożóg, poeta i prozaik.

ZACHÓD — EMIGRACJA

1.2.91

Paryski periodyk *L'Écho de la Presse* podaje wykaz inwestycji wydawców zachodnich w Polsce: Murdoch (Australia) — zakupił 50% udziałów w *Ekspresie Wieczornym*; Hersant (Francja) — zakupił 54% udziałów w dzienniku *Rzeczpospolita*, w projekcie jest utworzenie drukarni „Radio Małopolska” oraz kupno 21 tytułów prasy prowincjonalnej (Gdańsk, Łódź, Katowice); Eurexpension, (Francja) — 50% udziałów *Gazety Bankowej*; Eurolibe (Francja) — jest w trakcie negocjacji wejścia z kapitałem do *Gazety Wyborczej*; *Express* (Francja) — ma 50% udziałów w tygodniku *Spotkania*. Informowaliśmy o tym w numerze marcowym *Kultury* na str. 159. Teraz podajemy oficjalne oświadczenie fachowego organu prasowego ukazującego się we Francji.

18.2.91

Adam Czerniawski objął stanowisko *Translator in Residence* w nowopowstałym przy University of East Anglia *British Centre for Literary Translation*. Jest to pierwszy tego rodzaju ośrodek w W. Brytanii, który ma na celu propa-

gowanie sztuki translatorskiej. A. Czerniawski ma w swoim dorobku m.in. przekłady poezji Norwida, Staffa, Różewicza oraz dzieł filozoficznych Romana Ingardena i Leszka Kołakowskiego. Najnowszym tomikiem jego przekładów są poezje W. Szymborskiej pt. „People on a Bridge”.

4.3.91

Do Sztokholmu przybył z serią konferencji i odczytów Czesław Okińczyc, członek parlamentu litewskiego, wybrany głosami Polaków i Litwinów. Czesław Okińczyc posiada pełnomocnictwo do prowadzenia rozmów w sprawie nawiązania stosunków dyplomatycznych między Litwą a Polską, Węgrami i Czechosłowacją. Jest on również wydawcą dwutygodnika *Znad Wilii* ukazującego się w Wilnie w języku polskim.

5.3.91

Dyrekcja Radia Wolna Europa — Radia Swoboda zakomunikowała o likwidacji Monitoringu, czyli Działu Nasłuchu Radiowego RWE: polskiego, bułgarskiego, czechosłowackiego i węgierskiego z dniem 30-tym kwietnia, a rumuńskiego z dniem 31-yg maja. Pracownicy zatrudnieni w RWE poniżej 10-ciu lat otrzymują wymówienie do końca września, pozostali do końca roku. Ogółem traci pracę 29 osób (8 w polskim dziale). W zmienionej sytuacji polityczno-informacyjnej utrzymywanie nasłuchu radiowego rzeczywiście przestaje być opłacalne; np. na wielu polskich biurkach redakcyjnych są teraz dalekopisy przynoszące bezpośrednie informacje PAP-u. Dział nasłuchu Radia Swoboda, z którego korzystają także rozgłośnie bałtyckie, zostaje utrzymany.

9.3.91

Dyrekcja Polcul Foundation wyróżniła 26 osób. Lista laureatów jest następująca: Medard Czobot, Tomasz Cyngot, Aleksander Dąbrowski, Wanda Falkowska, Jan Franczyk, Małgorzata Giżejewska, Waldemar Gniadek, Jerzy Jachowicz, Wojciech Kamiński, Artur Kasprzykowski, Janina Liminowicz, Katarzyna Madoń-Mitzner, Romuald Mieczkowski, Krzysztof Miller, Jan Mincewicz, Aleksiej Pamiatnych, Wiesław Pletnicki, Iwona Smolka, Anna Śmidecka, Henryk Sosnowski, Stefan Szczygłowski, Janusz Trzcionka, Rimvydas Valatka, Elżbieta Zawadzka, Barbara Zbrożyna, Andrzej Zeyland. Z wymienionych — 8 osób jest zaangażowanych na rzecz niepodległości Litwy oraz przyjaźni polsko-litewskiej. 5 osób spośród wyróżnionych otrzymało wyróżnienia im. Krystyny i Bolesława Singler.

12.3.91

Na uniwersytecie Paris Sorbonne odbył się wieczór poświęcony Józefowi Czapskiemu, na który złożył się odczyt Wojciecha Karpińskiego oraz wyświetlenie filmu dokumentalnego Emanuela Dufour-Kowalskiego pt. „Joseph Czapski — une destinée”.

26.2.91 — 16.03.91

Imprezy polskie w Paryżu: W *Domu Kombatanta* 26.02.br. Stanisław Łucki wygłosił odczyt pt. „Brygada Podhalańska pod Narwikiem”; 5.03.br. Konstanty Wołosiewicz mówił o swoich przygodach jako pierwszego emisariusza wysłanego przez gen. Roweckiego z planami ofensywy niemieckiej na Francję. ■ W *Bibliotece Polskiej* 28.02.br. Janusz Pezda, adiunkt Biblioteki Czartoryskich w Krakowie, mówił o historii tej instytucji; 7.03.br. Aleksander Szkuła, prezes Towarzystwa Historycznego w W. Brytanii, wygłosił od-

czyt na temat „Polska siedziba naukowa nad Tamizą”. ■ W *Institucie Polskim* 4.03.br. Jan Sienkiewicz, prezes Związku Polaków na Litwie i wydawca *Magazynu Wileńskiego*, wygłosił odczyt na temat „Polacy a niepodległość Litwy”; 15.03.br. Jan Lityński, poseł na Sejm RP i członek Rady organizacji ROAD, mówił na temat „La situation actuelle en Pologne avant les législatives” (odczyt wygłoszony po polsku był tłumaczony na francuski). ■ *Klub Inteligencji Katolickiej* zorganizował 11.03.br. w kościele polskim odczyt Stanisławy Grabskiej na temat „Obecna sytuacja Klubów Inteligencji Katolickiej w Polsce i związane z nią problemy”; 16.03.br. w sali przy kościele Św. Genowefy ks. prof. Stanisław Nagy wygłosił odczyt pt. „Główne problemy teologii i Kościoła okresu posoborowego”.

26.3.91

W Centre Georges Pompidou w Paryżu została otwarta wystawa poświęcona Witoldowi Gombrowiczowi. Wystawa będzie otwarta do 10 czerwca br.

10.4.91

Na Uniwersytecie Charles de Gaulle, Lille III odbyło się międzynarodowe kolokwium, zorganizowane przez Centre d'Etudes de la Culture Polonaise, na temat „La prose polonaise contemporaine: individualisme ou sociabilité? Identité unique ou multiple?”.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

W końcu każdego roku spotykają się w jednym z ważniejszych ośrodków naukowych będących jednocześnie dużą metropolią, historycy zrzeszeni w American Historical Association. Uczestniczą w tej konwencji również badacze i historycy polskiego pochodzenia będący członkami Polish American Historical Association (PAHA). W grudniowej konferencji w Nowym Jorku wzięły udział takie sławy jak: prof. Piotr Wandycz z Yale Univ., prof. Tadeusz Gromada z Jersey City College, prof. John J. Bukowczyk z Wayne State Univ. w Detroit oraz prof. Tomasz Napierkowski z Univ. of Colorado. Najważniejsze tematy dyskusji panelowych dotyczących spraw polonijnych i polskich: historia przedmiść polskich w Detroit (jedyny projekt, który dzięki mądrości i inteligencji swych kierowników, J. Bukowczyka i Nore Faires, zyskał fundusze miejskie i uniwersyteckie), dzieje walk strajkowych Polaków i Włochów w New York Mills na początku wieku (prof. James S. Pula z Empire State College pokazał sukces i solidarność polskich strajkujących w porównaniu z niepowodzeniami Włochów; wyniki badań zaprzeczają często powtarzanej negatywnej opinii o Polakach w USA, jakoby nie byli solidarni i nie potrafili działać wspólnie), stan badań nad dziejami polskich środowisk religijnych w Stanach Zjednoczonych oraz imigracja „posolidarnościowa”. ■ W ciągu dwu lat swej działalności Agencja do Spraw Inwestycji Zagranicznych wydała 2.466

zezwoleń na utworzenie spółek z obcym kapitałem (ogółem złożono prawie 3.000 wniosków). Najwięcej wniosków nadesłano w drugiej połowie roku 1990, a dwie największe oferty pochodziły od koncernu Coca-Cola i firmy Levi Strauss. Obie firmy znajdują siedziby w Płocku, który staje się dość niezwykłym miastem — wszystkie bariery biurokratyczne, które są nie do pokonania w innych miastach polskich, tutaj dość łatwo są obalane. (Podczas amerykańskiej wizyty polskich przedstawicieli samorządów lokalnych w styczniu 1991 r. wojewoda płocki ujawnił, że ogłoszony przez niego konkurs, dzięki któremu miano zmienić pracowników administracji, wygrali dawni pracownicy aparatu partyjnego. W Płocku wygrał też wybory Tymiński). ■ Wiosną 1990 roku amerykańskie uniwersytety podjęły inicjatywę wysyłania do Europy Wschodniej podręczników akademickich. W początkach roku 1991 wysłano (głównie do Polski) 2.600 egzemplarzy podręcznika dla inżynierów „Fundamentals of Engineering Review”; przy tej akcji współpracują też niektóre wydawnictwa i organizacje związkowe (AFLO CIO), które opłacają transport. ■ Polską zainteresowali się przedstawiciele związków budowlanych w USA. Podczas wizyty w styczniu dyskutowano o możliwości inwestowania w Polsce i tworzenia fundacji oraz o innych formach współpracy (raczej: pomocy) amerykańsko-polskiej. ■ Muzeum Polskie w Chicago otrzymało ostatnio od bogatego ofiarodawcy — architekta Stanisława de Furgalskiego — litografię Pablo Picasso oraz grafikę i kolorową litografię Marca Chagalla. ■ Dość rzadki jubileusz obchodziła w styczniu wieloletnia pracowniczka Muzeum Polskiego w Ameryce oraz człowiek bez reszty oddany sprawom Polonii — p. Sabina Logisz. Po 55 latach przeprowadzonych z kolejnymi prezesami Zrzeszenia Polskiego Rzymsko-Katolickiego w Ameryce (najstarszej i drugiej co do wielkości polonijnej organizacji ubezpieczeń i samopomocy) oraz kustoszami Muzeum Polskiego w Chicago S. Logisz uważa, że wciąż wiele spraw z życia Polonii amerykańskiej nie zostało zbadanych bądź opracowanych, głównie z powodu niewystarczających finansów. ■ Dyrektor Buehler Center on Aging Northwestern University (Evanston) — Celia Berdes oraz polski stypendysta — prof. Adam Zych prowadzą badania nad sytuacją najstarszej generacji Amerykanów polskiego pochodzenia. Prace nad formami i możliwościami pomocy tej grupie ludzi sponsorują m.in. Biuro Duszpasterstwa Polonii przy Archidiecezji Chicagowskiej, Polish Welfare, Kongres Polonii Amerykańskiej i Polski Związek Narodowy. ■ Fundacja Charytatywna KPA wysłała do Polski 52 kontenery zawierające skondensowane zupy. Kolejna wysyłka była możliwa dzięki dotacji Salvatorian Mission ze stanu Wisconsin. ■ Fundacja Charytatywna KPA dzięki firmie C&C Surgical Instrument Company z St. Louis, Missouri (właściwie zaś dzięki życzliwości jej dyrektora, p. Krzysztofa Jurewicza) wysłała do Polski dwa duże transporty sprzętu medycznego wartości 100.000 dolarów. ■ Największy lokalny bank First Chicago wysłała do Polski dwoje specjalistów, którzy w ramach Polish

■ American Enterprise Found będą przez rok szkolić polskich bankowców w zakresie technik udzielania kredytu i oceny kosztu ryzyka. ■ Bill Kurtis, popularny dziennikarz telewizyjny, przedstawił na 2 kanale publicznej telewizji serię swych reportaży z pobytu w Polsce. Pokazał obiektywnie, ale ze zrozumieniem i wnikliwością prawie wszystkie problemy i bolączki „nowej” Polski. ■ Wiele emocji wzbudziła decyzja o przeniesieniu do Hillman Library (University of Pittsburg) 45.000 tomów książek pozostałych po likwidacji Kolegium Związkowego w Cambridge Springs w Pensylwanii. Władze związku Narodowego Polskiego, pod którego patronatem działało Kolegium, chciały zachować księgozbiór w całości i spośród 3 opcji — przekazanie zbiorów do Polski, do biblioteki Muzeum Polskiego w Chicago bądź do wydziału slawistycznego uniwersytetu w Pittsburgu — wybrały tę ostatnią możliwość jako rozwiązanie optymalne. Hillman Library posiada ponad ćwierć miliona książek poświęconych Sowietom i Rosji, z czego 120 tys. to prace w językach oryginalnych. ■ Program „Open Door” sponsorowany przez US Information Agency umożliwił od 1964 roku wymianę uczniów między Stanami Zjednoczonymi a 34-ma krajami świata. Latem 1990 r. w USA przebywała po raz pierwszy grupa uzdolnionej młodzieży polskiej; obecnie dokonuje się selekcji spośród uczniów amerykańskich kwalifikujących się do wyjazdu do Polski. ■ W drugiej połowie lutego do Chicago przybyło trzynaścioro dziennikarzy polskich na zaproszenie US Information Agency — Krzysztof Czabański z *Ekspresu Wieczornego*, Marcin Oblicki oraz Aleksandra Zawłocka z *Tygodnika Solidarność*. ■ Od kilku lat sobotnie szkoły języka i literatury polskiej powstają w nowych rejonach, poza tradycyjnymi stanami (Illinois, Nowy Jork, Michigan, Pensylwania i New Jersey). Szczególnie silnie zaznaczyły swą obecność szkoły polonijne w Connecticut, Massachusetts i w Kalifornii, a ostatnio w stolicy — Waszyngtonie. ■ 11 lutego z inicjatywy miejscowego konsulatu odbyło się w Chicago spotkanie polonijnych twórców kultury z pracownikami tej placówki i ambasady polskiej w Waszyngtonie. Po zmianach personalnych w polskich placówkach konsularnych zmienił się sposób ich funkcjonowania. Czasem można odnieść nawet wrażenie, że następuje pomieszanie pojęć i obowiązków — konsulaty chciałyby się uważać także za reprezentanta polskiej grupy etnicznej, a Polonia chciałaby mieć wpływ na różne wewnętrzne sprawy polskie. ■ Dwie szkoły przygotowujące polskie pielęgniarki do zdania specjalnego egzaminu uprawniającego je do wykonywania zawodu w USA działają w Warszawie i Chicago. Kandydatki studiują w nich angielski oraz są przygotowywane do egzaminu, który trzeba zdać, aby amerykański Urząd Imigracyjny wydał zezwolenie na pracę w USA. Pomysłodawczynią jest mieszkanka Chicago — Teresa Gołębiewska, a warszawska szkoła „Medical Exchange Services” mieści się przy ul. Tołstoja 1/244.

KRONIKA KANADYJSKA

Parafialna polska CREDIT UNION (kasa oszczędnościowo-pożyczkowa) Toronto — największa polonijna instytucja finansowa, obejmująca swoim zasięgiem kilka ośrodków polonijnych poza Toronto w prowincji Ontario — uruchomi w niedalekiej przyszłości oddział w Warszawie. Delegacja instytucji z prezesem Tadeuszem Gonsikiem na czele przeprowadziła w Warszawie z odpowiednimi czynnikami rozmowy i osiągnęła porozumienie. Uruchomiona filia będzie w pierwszym okresie kasą oszczędnościową oraz dla kanadyjskich klientów dyspozytorem. Pierwszy oddział ma być uruchomiony w lecie, po uzyskaniu zezwolenia władz kanadyjskich na działalność w Polsce. ■ Organizacje polonijne i politycy z sen. Haidaszem na czele apelują do rządu federalnego Kanady o umorzenie zadłużenia Polski w wysokości \$ 3 miliardów 200 milionów. Apele kierują bezpośrednio do rządu oraz do poszczególnych posłów, prosząc ich o podjęcie odpowiednich kroków. ■ Pani McDougall, federalny minister imigracji, odrzuciła wszystkie wnioski o amnestię wszystkich imigrantów nie posiadających legalnego prawa pobytu w tym kraju. Uważa selekcję za celową, mimo iż jest kosztowna i trwa długo. Kongres Polonii Kanadyjskiej wezwał zainteresowanych, aby zwrócili się piśmiennie bezpośrednio do ministra imigracji, przedstawiając wyczerpująco swoją sprawę, a kopię tego pisma przesłali do KPK oraz posła w okręgu zamieszkania.

Toronto, 7.3.1991 r.

B.H.

Listy do Redakcji

13.02.1991

Szanowny Panie Redaktorze,

W sierpniu zeszłego roku, po wstępnej korespondencji z wydziałem polonistyki na sydeńskim uniwersytecie Macquarie, zaofiarowano mi studia doktorskie na temat twórczości Andrzeja Chciuka.

Projekt został oficjalnie zaakceptowany przez uniwersytet, a studia miały się rozpocząć w marcu tego roku. Kierownik wydziału polonistyki, dr Edmund Ronowicz, miał być promotorem tej pracy, tak że wszystkie formalności wydawały się być załatwione.

W międzyczasie jednak zaszły nieprzewidziane przeze mnie przeszkody. Oto wdowa po zmarłym pisarzu, pani Barbara Soddell, stanowczo odmówiła mi wglądu w posiadane przez nią materiały dotyczące prac jej męża, takie jak korespondencja z wydawcami, niedokończona i nieopublikowana manuskrypty, notatki itp., krótko mówiąc rzeczy absolutnie nieodzowne do pisania poważnej tezy na ten temat.

Chciuka znałem bardzo dobrze osobiście, współpracowałem z Nim w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, razem prowadziliśmy kabaret „Wesoła Kookaburra” i uczestniczyliśmy w szeregu kulturalnych imprez, zaś w dziesiątą rocznicę jego śmierci zorganizowałem, wraz z tutejszym Kołem Kulturalno-Artystycznym, wieczór poświęcony Jego twórczości. Pani Soddell wówczas wiele była pomocna w dostarczaniu materiałów na ów wieczór. Tym bardziej więc nie mogę zrozumieć przyczyn jej odmowy, których nie podała w wyraźny sposób.

Nie pomogły żadne przekonywania ani z mojej strony, ani ze strony jej przyjaciół, o dodatkich stronach tego przedsięwzięcia, zwłaszcza że praca miała być pisana po polsku i ewentualnie ukazać się potem w formie książkowej. Oficjalny list uniwersytetu do pani Soddell w sprawie jej odmowy pozostał, według dr. Ronowicza, bez odpowiedzi.

W tej sytuacji musiałem z zalem zrzec się studiów i porzucić pracę, która mogła przynieśćżytytek jako przyczynek do historii literatury polskiej na emigracji.

Z poważaniem

Andrzej GAWROŃSKI

Los Angeles, 18 marca 1991

Szanowny Panie Redaktorze!

W lutowym wydaniu *Kultury* K. Wolicki, pisząc o kampanii Tymińskiego, umieścił moje nazwisko w kontekście który nazwał „nagromadzeniem starych esbeków”.

Otóż nie byłem ani nie jestem „esbekiem”. Nie jestem również „stary”. Pozostałe dane są również w dużej części mylące: Sławomira Miastowskiego, który, jak Wolicki pisze „odnalazł się z kamerą w sztabie Tymińskiego” nigdy chyba nie spotkałem, na pewno nie wiem kim on jest, a przecież od drugiego tygodnia kampanii reżyserowałem studio wyborcze.

Najbardziej jednak bałamutne w artykule Wolickiego jest kojarzenie mojej pracy reżyserskiej z oszczerstwami, jakie wypisuje o moim ojcu. Nawet gdyby te brednie były prawdą, to jak można je przenosić na syna, który mieszka i pracuje od wielu lat za oceanem? Nie piszę aby bronić Tymińskiego, ale próby udowodnienia, że był on otoczony „esbekami”, ponieważ ja reżyserowałem jego reklamówki, a Wolicki nie lubi mojego ojca, są nieetycznym dziennikarskim nadużyciem. Silenie się na dowcipy nie powinno zwalniać od elementarnych wymogów uczciwości.

Życzę Panu, Panie Redaktorze, sobie i innym czytelnikom aby tego typu „potknięcia” więcej się w *Kulturze* nie znalazły. Proszę również o opublikowanie mojego listu.

Z wyrazami szacunku

Paweł KUCZYŃSKI

Szanowny Panie Redaktorze!

W Kronice Amerykańskiej *Kultury* Nr 1/520-2/521 1991 przeczytałem notatkę o tym, że w miesiącu listopadzie ub. roku mój program radiowy prowadził zbiórkę na rzecz dzieci polskich w Sowietach.

Ponieważ notatka o tym wydarzeniu nie była ani zupełnie ścisła, ani nie podano w niej jakim rezultatem zbiórkę zakończono, pozwałam sobie na niniejsze uzupełnienie.

1. Zbiórka była prowadzona na pomoc naukową lub religijną dla tych organizacji w Polsce, które zajmują się sprawami dzieci w lub ze Związku Sowieckiego, a nie bezpośrednio.

2. Rezultatem zbiórki było \$40.500, które z kolei osobiście dostarczyłem do Polski.

a) W dniu 7 stycznia br. wręczyłem czek na \$15.500 Ks. Arcybiskupowi Bronisławowi Dąbrowskiemu, Sekretarzowi CARITAS Episkopatu Polskiego.

b) W dniu 10 stycznia br. wręczyłem czek na \$25.000 p. Andrzejowi Stelmachowskiemu, Marszałkowi Senatu Rzeczypospolitej Polski, w obecności Sen. Ryszarda Reiffa.

Fragmety tych uroczystości nagrane na taśmie TV pokazane były w

telewizji w Warszawie oraz po moim powrocie w ramach moich polonijnych programów TV w Chicago.

Chciałbym dodać, że jak zwykle w moich zbiorcach ani jeden czek z zebranych donacji nie został wydany na cele administracyjne.

Dziękuję za zamieszczenie tego uzupełnienia w bardzo poczytnym piśmie W. Panów.

Z poważaniem

Robert LEWANDOWSKI

Montreal, dnia 14 lutego 1991 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Proszę uprzejmie o umieszczenie następującego sprostowania:

Do Kroniki Kanadyjskiej, *Kultura* nr 1/2, zakradł się błąd. P. Jacques Parizeau przekazał Polskiej Fundacji Społeczno-Kulturalnej kwotę \$ 10.000. Odsetki z pierwszych 5.000 przeznaczone są dla Biblioteki Polskiej, a z pozostałych 5.000 na Polską Radę Szkolną.

Bardzo dziękuję i łączę wyrazy szacunku i poważania

za Polską Fundację Społeczno-Kulturalną
Zbigniew MAŁECKI
prezes

Konstancja, dnia 21 lutego 1991

Szanowny Panie Redaktorze,

W rubryce „Wolna Trybuna” — *Kultura* nr 11/518 z ub. roku — pan Henryk Sporoń w liście do Pana pisze na temat słowa „PIMOKI” między innymi: „Abstrahując już od tego, że słowa „PIMOKI” nawet w języku niemieckim nie ma i po prostu nie znaczy”.

Pan Sporoń się myli!

W pierwszym programie telewizji niemieckiej ARD, 22 stycznia br., o godz. 23.45, wyświetlano film produkcji krajowej pod tytułem: „Kalte Heimat” (dosłowne tłumaczenie: „Zimna Ojczyzna”). Treścią filmu jest los rodziny wschodniemieckiej. Akcja dzieje się w Kolonii roku 1954. Prezent telewizji we wprowadzeniu do filmu powiedział: „Ludność zachodniemiecka nadała uciekinierom z b. NRD pejoratywne przezwisko 'PIMOKI', ale muszą dodać że stosowano je również do uchodźców i przesiedleńców z zachodnich, ponemieckich, terenów Polski, przede wszystkim ze Śląska”.

Jeśli pan Sporoń ma krewnych lub bliskich znajomych mieszkających od urodzenia lub przynajmniej od czasu zakończenia II wojny światowej w takich krajach związkowych jak Hesja, Nadrenia Półn., Westfalia, Nadrenia-Palatynat, Dolna Saksonia, to może sprawdzić prawdziwość tego co powyżej

napisałem i dodatkowo dowiedzieć się, że nieraz padały właśnie takie epitety jak *Die dreckigen PIMOKI!*

Uważam jednak, że sprawa tego słowa „Pimoki” nie jest obecnie ważna. Niemców określa się mianem *Krauts*.

Z wyrazami poważania

Tadeusz Leon MUREK

Denver, 2 marca 1991

Szanowny Panie Redaktorze:

List p. Szajnerta w *Kulturze* (nr 1/520-2/521) zmusza nas do zabrania głosu, ponieważ całe nieporozumienie powstało z naszego powodu. Jest nam szalenie przykro, iż w tym liście ubliżono osobom, które nam pomagały. Pan Szajnert w Denver nie był i opiera swoje zarzuty tylko na informacjach otrzymanych od pp. Olszewskich.

Pani Tamara Proch i p. Igor Jasiński byli pierwszymi, którzy po przewiezieniu nas do Denver w sierpniu 1989 (a nie na początku 1989 roku) pospieszili nam z pomocą. P. Jasiński zorganizował adwokatów dla naszej obrony i sam podjął się bronić jednego z nas. P. Prochowa poświęciła swój czas, spędzając prawie codziennie wiele godzin z adwokatami w więzieniu jako nasz tłumacz. Poza tym tłumaczyła nasze kilkustronicowe oświadczenia do sądu, znalazła nam polskie rodziny, które zgodziły się nas przyjąć do siebie, podtrzymywała nas na duchu, przekazywała nam pieniądze, co umożliwiło nam sprowadzenie dla naszej obrony eksperta w sprawach imigracyjnych aż z Waszyngtonu. Ponadto żony trzech z nas otrzymały pieniądze w Polsce. Także p. Jadwiga Tokarska poświęcała swój czas, będąc obecna na wszystkich naszych rozprawach i służąc nam poradą, jak najlepiej i najsukcesyjnie przedstawiać sądowi naszą sprawę.

P. Anna Walentynowicz odwiedziła nas dwa razy w więzieniu we wrześniu 1989 r., współczując naszej przykryj sytuacji i żałując, że nie może nam pomóc.

P. Olszewski zainteresował się nami dopiero przed pierwszą rozprawą w październiku. W grudniu 1989 po wypuszczeniu pięciu z nas z więzienia p. Olszewski postanowił założyć Komitet „Freedom for Anchorage Nine” chyba dla swoich osobistych celów. Przyrzekał nam, że tylko on będzie mógł zdobyć 14.000 dolarów na wykup pozostałych czterech marynarzy z więzienia, jeśli podpiszemy oświadczenie, że nikt inny prócz adwokatów nie ma się naszymi sprawami zajmować.

Z przykrością stwierdzamy, że p. Olszewski i „Freedom for Anchorage Nine” absolutnie — prócz obietnic i przyjęcia jednego z nas do siebie — nic dla nas nie zrobili.

P. Prochowa nadal nam chętnie służy pomocą, szczególnie w naszych kontaktach z adwokatami. Chcemy tą drogą przeprosić p. Prochową za przykrość, jaka ją spotkała za to, że opiekowała się nami w tych trudnych dla nas dniach.

Stanisław SAULO

(w imieniu swoim i pięciu osób)

Genewa, 15.11.90

Szanowny Panie Redaktorze,

W pełni solidaryzuję się ze stanowiskiem Pana dra Zbigniewa K. Legieskiego, wyrażonym w liście do redakcji zamieszczonym w numerze 11/518 *Kultury*.

Rządowi Premiera Tadeusza Mazowieckiego można niewątpliwie zarzucić wiele błędów, podobnie jak Lechowi Wałęsie i jego współpracownikom. Od pisma klasy *Kultury*, która dla mojego pokolenia była jedyną szkołą zarówno dobrej publicystyki, jak i kultury politycznej w ojczystym języku, można jednak oczekiwać trochę bardziej obiektywnej i wyważonej oceny. (...) Z własnej strony pragnąłbym dorzucić kilka uwag. (...)

1. Nauka religii w szkołach państwowych jako przedmiotu nadobowiązkowego czy obieralnego ma miejsce w prawie całej Europie Zachodniej. Jedynym znanym mi wyjątkiem jest Francja. W niektórych krajach (np. w RFN) ocena z religii figuruje na świadectwach szkolnych, zaś dwójka z tego przedmiotu wstrzymuje promocję do następnej klasy, tak jak dwójka z każdego innego przedmiotu. (...)

2. Aborcja. W zdecydowanej większości krajów zachodnioeuropejskich ustawy dopuszczają aborcję w sposób znacznie bardziej restryktywny niż obowiązująca w Polsce ustawa z 1956 roku. (...) I tutaj senacki projekt ustawy niewiele odbiega od odpowiednich aktów prawnych w wielu krajach Zachodu.

Twierdzenie, że pod tymi dwoma względami Polska steruje w stronę XIX wieku, Ciemnogrodu, zaścianka i dulszczyzny jest po prostu demagogiczne. (...)

3. Elementy symboliki religijnej w życiu publicznym są na Zachodzie nieporównanie bardziej obecne, niż w Polsce. Można więc zauważyć m.in., że: — w większości krajów zachodnich dużo więcej świąt kościelnych jest dniami wolnymi od pracy, niż w Polsce (Wielki Piątek, Wniebowstąpienie, Poniedziałek Zielonych Świątek, Wniebowzięcie NMP, a w niektórych krajach również Trzech Króli i Niepokalane Poczęcie NMP)

— Prezydent USA przy obejmowaniu urzędu przysięga na Biblię

— Na amerykańskich banknotach dolarowych czytamy „In God we trust”

— W Anglii, Szwecji i Norwegii osoba panującego monarchy jest również zwierzchnikiem lokalnego Kościoła

— Władze lokalne w wielu krajach uczestniczą w uroczystościach o charakterze religijnym (...)

— W niektórych krajach (RFN, Szwecja) w aktach ewidencyjnych ludności figuruje rubryka „wyznanie”, a władze egzekwują podatek kościelny

— We Francji, RFN i Szwajcarii w każdym hotelu, w którym zdarzyło mi się nocować, znajdował się Biblię w szufladzie nocnego stolika

Nie spotkałem się nigdy z opinią, żeby w/w zjawisko uważano za formę dyskryminacji niewierzących czy niepraktykujących. (...)

Istnienie w Polsce orientacji klerikalno-nacjonalistycznej jest faktem. Nie jest to jednak tendencja dominująca ani wśród kleru, ani wśród laikat. Natomiast nic nie jest w stanie tej złowroziej orientacji bardziej wzmocnić niż wojujący antyklerykalizm. (...)

Załączam wyrazy poważania i serdeczne pozdrowienia

P. STRUMILLO

Kalamazoo, USA 15 lutego 1991

W numerze Nr 1/1991 *Kultury* prof. arch. Jerzy Sołtan wystawia dość surową ocenę polskim architektom wznoszącym kościoły w kraju. Piše: „W polskich warunkach bogactwo tak wielu nowoprojektowanych kościołów na pierwszy rzut oka tylko brzydzi, wstydi, odraża. Trzeba dokonać nie lada wysiłku umysłowego, aby wykrzesać z tego elementy pozytywne...”. Profesor Sołtan, który jest także autorem innej wypowiedzi w *Kulturze* — „Rozmowy o architekturze” — na temat powojennego kryzysu w architekturze, wie doskonale, że polscy architekci mieli ucięte skrzydła po wojnie.

Kiedy architekci mogli się względnie swobodnie wypowiedzieć w twórczości budowli sakralnych chcieli nadrobić dwie rzeczy na raz; stworzyć interesujące formy bryły kościoła, wyraźnie wyróżniające się na tle monotonii post-Le Corbusierowskich bloków mieszkaniowych z wielkiej płyty oraz zrealizować niepisana formułę i strategię kleru-sponsora — że Kościół w Polsce zwycięża.

Ocena architektury oderwana od kontekstu społecznego i (w danej sytuacji) zaskakującej brzydoty otoczenia może czasem być jałowa. Przeciwny polski architekt nie miał gdzie i kiedy doskonalić swojej kreski i syntetyzować tak jak to było i jest przywilejem zachodnich architektów, którzy rosłą na kolejnych, coraz ambitniejszych projektach. Na podstawie innego zupełnie doświadczenia (amerykańskiego i francuskiego) prof. Sołtan feruje może zbyt ostrą ocenę, może nawet i mylną, jeżeli zważyć na różnicę w misji religijno-politycznej polskiego Kościoła i Kościoła na Zachodzie. Czas i polityka wywarły swe piętno na współczesnej polskiej architekturze sakralnej. O tym czynniku brak jest ustosunkowania się w opinii.

W USA dominują małe kościoły, zwłaszcza od czasu wyprowadzenia się ludzi z centrów miejskich na wygodne przedmieścia. W Polsce centrum miejskie jest nadal *forum*, gdzie widać tłumy ludzi. Dlatego duże kościoły w Polsce są naturalnym rozwiązaniem, właściwie wkomponowanym w otoczenie oraz kontynuacją tradycji raczej monumentalnego budownictwa Kościoła rzymskokatolickiego. W dużym kościele wierny czuje majestat Boga i swój mały wymiar, pozwala to na odpowiednie skupienie i zadumę. W amerykańskich, małych, pawilonowych kościółkach nastrój jest bardziej swobodny i festynowy. Różne zachowania wiernych w kościele wynikają z odmiennych tradycji kulturalnych i wcale nie oznaczają, że jedno rozwiązanie jest lepsze od drugiego.

W lecie 1990 r. z amerykańską delegacją zwiedziłem szereg kościołów w Warszawie, Gdańsku i Szczecinie i nie mogę powiedzieć, abym się ich „wstydził” lub żeby ich wygląd „odrażał”. Raczej przypominają one Polakowi, że istnieje w ogóle coś takiego jak architektura. Inna znowu rzecz, czy owe kościoły należy uznać za cud architektury. *Toutes proportions gardées.*

Z poważaniem

Prof. dr inż. Andrzej S. TARGOWSKI

Ciechanów, 12 stycznia 1991

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze 9/516 *Kultury* z roku 1990, który dotarł do mnie, jak zwykle, za pośrednictwem krajowej reedycji dokonywanej przez wydawnictwo „Myśl” i również jak zawsze — niestety — z niemałym opóźnieniem, został wydrukowany tekst Jadwigi Styry-Nawrockiej pt. „Odczodzą w przeszłość” (s. 113-115). Nie jego, oczywiście słuszną, wymowa — pomimo, iż zagadnienie podnoszone znalazło już omówienia znacznie obszerniejsze, gruntowniejsze i przy wykorzystaniu pełnej literatury przedmiotu oraz kwerend archiwalnych, w pracach naukowych — skłoniła mnie jednak do skreślenia kilku poniższych uwag, ale fragment jednego ze zdań, który zyskał w druku treść nieprawdziwą. Chodzi mi o ustęp następujący: „Opustoszałe, ograbione i kalekie obiekty nie spełniające już swej funkcji sakralnej, zostały w wielu przypadkach wykorzystane jako magazyny dla PGR-ów (np. Oleszyce czy Ciechanów pełnią te funkcje nadal)”. I o ten właśnie „Ciechanów” mi chodzi. W mieście tym bowiem cerkiew po prostu nie istnieje, a co więcej — nigdy jej nie wzniesiono, pomimo wielokrotnie czynionych, przez prawosławną rosyjskojęzyczną mniejszość ówczesnego ośrodka powiatu, starań w XIX i początku XX stulecia. Próbowano wielokrotnie, organizowano komitety, zbierano składki, lecz aż do kresu zaborów starczyć musiał skromny, drewniany i otynkowany parterowy budynek mieszkalny położony przy ul. Orylskiej 3 z charakterystycznym, tzw. cyfrowanym, zakończeniem połaci dachowych. Opisany dom zamieszkuje jest przez kilka rodzin do dzisiaj, zatem nie tutaj lokalizować należy magazyn PGR-u z artykułu p. Styry-Nawrockiej.

W mieście o podobnie brzmiącej nazwie — Ciechanowcu (woj. łomżyńskie) — prawosławną cerkiew p.w. Wniebowstąpienia i św. Aleksandra Newskiego rozpoczęto wznosić wkrótce po upadku powstania styczniowego, a konsekrowano w roku 1875. Architekturę świątyni podporządkowano całkowicie treści ukazu carskiego z roku 1871, który nakazywał przebudowywanie istniejących i wznoszenie nowych cerkwi w stylu „bizantyjsko-cerkiewnym”. Ukaz ten realizowano, co prawda nieśpiesznie, ale jednak tak konsekwentnie, że u progu XX wieku prawie wszystkie miasta powiatowe w Królestwie Polskim zdominowane zostały umiejętnie ulokowanymi silnymi elementami architektonicznymi. Losu takiego w północnej części Mazowsza doświadczyły chociażby: Płock (1867), Łomża (1877), Mława (1879), Płońsk (przed 1894), Sierpc (przed 1894), Wysokie Mazowieckie (cerkiew unicka rozbudowana 1896), Ostrów Mazowiecka (1898-1899), Pułtusk (koniec XIX w.), Ostrołęka (początek XX w.), Kolno (1901-1905) i Przasnysz (?). Z niewiadomych mi dotychczas przyczyn Ciechanów „zaszczytu” tego nie dostąpił. Pochopne — z obecnego punktu widzenia — decyzje lokalnych władz polskich, poczynione po odzyskaniu niepodległości, doprowadziły do rozebrania znacznej części niedawno przecież wzniesionych świątyni prawosławnych. Najbardziej bodaj spektakularne było zburzenie soboru na Placu Saskim w Warszawie, z którego ocalały niktłe szczątki, jak chociażby znajdujące się w Muzeum Diecezjalnym w Sandomierzu fragmenty mozaiki ściennej. Wracając jednak do samego Ciechanowa stwierdzić należy, iż z pewnością nie tam znajduje się pegeerowski składzik, bo obiekt ten jest obecnie w stanie bardzo dobrym, a w ostatniej tercji remontowany był dwukrotnie — w roku 1955 i w latach 1977-1980.

Drugą miejscowością „ciechanowopodobną” jest maleńki obecnie (1.400 mieszkańców) Cieszanów w woj. przemyskim. Tam również znajduje się cerkiew, z tym jednak, iż w odróżnieniu od poprzednich była to świątynia greckokatolicka, jako że był to już zabór austriacki. Wzniesiono ją jak się zdaje w latach 1900-1910, a lokalizację w tym miejscu tłumaczyć można przyspieszonym rozwojem miasta po czasowym mianowaniu go siedzibą władz powiatowych w miejsce Lubaczowa. Chociaż świątyni tej z autopsji nie znam — przyznaję to samokrytycznie — to mniemam, iż właśnie o to miejsce chodziło p. Styrnie-Nawrockiej, gdy ubolewała nad losem niszczących w Polsce zabytków sztuki cerkiewnej, gdyż właśnie w Cieszanowie znajduje się, znany mi skądinąd, PGR.

Z należnymi wyrazami szacunku

Artur K.F. WOŁOZ

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętać, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

B.J., Francja; S.G. w Kraju; E.T.-P., RFN; M.S., USA; M.B., Australia; A.K. Kanada; T.W.K., USA; A.B., Dania; K.H., USA; M.Z. w Kraju; M.T., Kanada; A.S., RFN; D.S. w Kraju; H.S. w Kraju: — Z wierszy nie skorzystamy.

I.F., USA: — Brak w tym opowiadaniu narracyjnego kręgosłupa, jest bezkształtnym opisem (i to miejscami dość dobrym opisem) serii czynności, zachowań, fragmentów krajobrazu, sennych strzępów. Za mało na tak długie opowiadanie.

A.G., RFN: — Sympatyczne i ujmujące jest Pana *Stado* jako bajka z morałem dla dzieci. Ale nie nadaje się do *Kultury*.

J.K., w Kraju: — „Musimy być mocarstwem, połączmy się ze Szwecją”, pisze Pan w swoim artykule. Przypomina się wierszyk Boya: „W tym największy jest ambaras, żeby dwoje chciało naraz”.

J.W., Kanada: — Nasze uwagi o Pana opowiadaniu, napisanym pod wpływem fascynacji „czarną kulturą”, nie będą „mocno karzące”. Po prostu wydaje nam się ono zbyt rozwlekłe, co powoduje, że rwie się ciągle i gmatwa dialog. Jeżeli, jak u Pana, dialog jest *jedynym* środkiem artystycznym, powinien być maksymalnie wyrazisty i skondensowany.

A.D., USA: — Nowelka *Runda* jest słabiutka.

M.M., RFN: — Zachęcił nas tytuł Pana krótkiej powieści *Emigracja*, ale okazało się niestety, że ma ona charakter bardziej sprawozdawczy niż literacki. I jest to, szczerze mówiąc, sprawozdawczość dosyć banalna.

M.K., Kanada: — Mniej istotna jest wartość *Kagańca oświaty* pani J.N. Istotna jest okoliczność, wielokrotnie wspomniana przy różnych okazjach w naszych Odpowiedziach Redakcji, że nie drukujemy w *Kulturze* sztuk teatralnych.

L.D., USA: — Pana „okruchy” publicystyczne i wierszyki nie mają żadnej wartości.

W.F., Francja: — Nie zamieścimy.

A.S., RFN: Nie da się zaprzeczyć, że Pana „opowieść z lat siedemdziesiątych” napisana jest żywo, potoczyscie, że jednym słowem czyta się ją dobrze. Ale pomysł sprawia wrażenie rzeczy mocno już oklepanej: literat wciągnięty do współpracy przez UB. Czytelnik oczekuje dziś pomysłów oryginalniejszych. Niezależnie od naszej oceny, chcemy Panu zwrócić uwagę, że dwa epizody — scenariusz i spychacz — zanadto obciążają nurt narracji.

SPROSTOWANIE

Panie Alicja Zawadzka i Agata Żmudzińska w liście z 19 marca br. zgłaszają pretensje, że *Kultura* w nrze 12-tym z 1990 r. wykorzystwała artykuł p. Alicji Zawadzkiej pt. „Polska — piękna cudzoziemka”, opublikowany w *Głosie Katolickim* z 25.XI.1990, nie podając jej nazwiska. Rzeczywiście w naszej notatce wykorzystaliśmy część noty p. Zawadzkiej, która była *streszczeniem* b. obszernej informacji francuskiego Min. Kultury i Stowarzyszenia „Dialogue entre les cultures”, którą też otrzymaliśmy. Mylnie potraktowaliśmy opracowanie p. Zawadzkiej jako notę informacyjną, a nie artykuł i za tę pomyłkę ją przepraszamy. Biorąc jednak pod uwagę, że zarówno *Kultura* jak i *Głos Katolicki* wychodzą w Paryżu wydaje się nam dziwne, że tę reklamację otrzymaliśmy z prawie czteromiesięcznym opóźnieniem i to w formie dość niespotykanej. Wyżej wymienione panie zarzucają redakcji *Kultury*, że nie zna dobrych obyczajów edytorskich, że popełniony został prawie plagiat i że oczekują „sprostowania niniejszego incydentu” oraz „zadośćuczynienia”.

Gdyby p. Zawadzka od razu do nas napisała, zamieścilibyśmy już dawno „sprostowanie”, natomiast jeśli idzie o „zadośćuczynienie”, to nie bardzo wiemy, jak to sobie p. Zawadzka wyobraża.

Redakcja KULTURY

NAJGLĘPSZE ZDANIE ROKU

W *Gazecie Wyborczej* z 26.2.br. ukazało się następujące oświadczenie Andrzeja Drawicza:

„Choć to dopiero początek roku i niejedna złota myśl, która padnie np. z Belwederu może nas jeszcze zadziwić — mam już kandydata na najglępsze zdanie roku. W artykule „Litwa zdemaskowała Gorbaczowa” (*Gazeta nr 37*) Józef Kuśmierek raczył być napisać: 'Ani my, ani berlińczycy, ani narody nadbałtyckie nie mają osobiście Gorbaczowowi nic a nic do zawdzięczenia'.

Są to bzdury tak doskonałe, że komentarz może jedynie zakłócić ich urodę, więc nie komentuję.

Zdaje się, że dawno temu, za młodu, Kuśmierek miewał zakazy druku. Czyżby dalekowzroczni komuniści już wtedy przewidywali, co z niego wyrośnie?”

To oświadczenie jest ścisłe, należy jedynie podstawić nazwisko Drawicza na miejsce Kuśmiera. Obawiamy się, że te zaloty p. Drawicza do Gorbaczowa są już spóźnione.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 2^{em} trimestre 1991.

Photocomposition: AKTIS S.A.R.L.
42, av. de Wagram, 75008 Paris

Imprimé en France
N° d'imprimeur : 3843-1991

PRZEDSTAWICIELSTWA

Egz. poj.	Prenumerata	
	'2-roczna	roczna

Ceny na rok 1991

AFRYKA POŁUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32, York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	\$ A. 12,00	\$ A. 70,00	\$ A. 130,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
HOLANDIA: Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, 4382 BL Vlissingen. Tel.: (01 184) 14073. Postgiro 1379176.	Flh 20,00	Flh 100,00	Flh 190,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Very rev. D.M. Malinowski, P.O. Box 68, Royston, B.C., VOR 2V0. Tel.: (604) 338-80-40; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches, 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 230 82 60, FAX (613) 235 01 63; «Polish Voice Publishing» Co., 390 Roncesvalles Ave., Toronto, ON M6R 2M9; Polish Alliance Press, Ltd. («Związkowiec»), 1638 Bloor St. West, Toronto, ON M6P 4A8	\$ can. 12,00	\$ can. 65,00	\$ can. 122,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessstrasse 39/41, Postfach 340108, D 8000 München 34. Tel.: (089) 52-20-27; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1. Tel.: 0221/24-61-60	DM 15,00	DM 90,00	DM 170,00
NORWEGIA: Zb. Tyszko, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 6, Avenue de Cardinal Mermillod, 1227 Carouge/GE, tel.: 43 05 84	F.S. 13,50	F.S. 75,00	F.S. 140,00
SZWECJA: Norbert Żaba, Kalskärsgatan 3/IV, 11533 Stockholm. Tel.: (08) 660-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34 6	K.S. 56,00	K.S. 310,00	K.S. 600,00
U.S.A.: S. Dobczyński, Alma Shipping Co., 110 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel.: 475 8886; Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109. Tel.: (216) 351-8219; Irena Kretowicz, 4254 - 34th St., San Diego, Cal. 92104; Halina Kościuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wójcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 21, West 38th Street, New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492	\$ US 10,00	\$ US 55,00	\$ US 106,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 550; półroczna — F. 280.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 W (z Francji)

lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 464 — AGATA TUSZYŃSKA

ROSJANIE W WARSZAWIE

Migawki spod zaboru rosyjskiego
w okresie Powstania Styczniowego

Str. 128.

Cena F. 70,00.

TOM 466 — JAKUB KARPIŃSKI (MAREK TARNIEWSKI)

DZIWNA WOJNA

(Grudzień 1981)

Szósta książka autora w Bibliotece „Kultury” należy do serii prac o przełomowych okresach w powojennej historii Polski, w której poprzednio ukazały się „Pochodzenie systemu”, „Porcja wolności”, „Krótkie śpięcie”, „Płonie komitet”.

Książka mówi o *dziwnej wojnie* z grudnia 1981 roku. Pokazano ją na tle wydarzeń z początku lat osiemdziesiątych. Rozdziały: „Solidarność” przed stanem wojennym — główne punkty historii, 1981-1982: Pierwszy rok stanu wojennego. 1983-1984: Policja i opozycja.

Str. 260.

Cena F. 80,00.

TOM 467 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT DZIEWIĘDZIESIĄTY PIĄTY

zawiera opracowania: Jakub Karpiński: *Lekcja anatomii (makrosocjologia i sowietologia)*; Bp Szczepan Wesoly: *Stosunki między gen. Sikorskim i bp. J. Gawliną*; Tadeusz Wyrwa: *List do Redakcji w/s. powyższego artykułu*; Tadeusz Wyrwa: *Poselstwo R. P. w Madrycie w latach 1940-1944*; Franciszek Król: *Pierwszy strajk w Gulagu. Workuta 1953*; Michał Komar: *Pan Adam*; Gen. Izidor Modelski: *Wojskowe przyczyny klęski wrześniowej (dokończenie)*; *Raport płk. Henryka Pohoskiego*; *Dwa listy płk. Jana Rzepeckiego do Stanisława Mikołajczyka z lipca 1945 r.*; Andrzej Paczkowski: *UB a połączenie SL i PSL w 1949 roku*; Witold Dworzynski: *Biografia Wieniawy*; Tadeusz Wyrwa: *Polska w polityce międzynarodowej 1945-1947*; Jerzy R. Krzyżanowski: *Kąkolewnica — podlaski Katyń*; Tadeusz Wyrwa: *Działalność Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie oraz bogaty dział LISTÓW.*

Str. 240.

Cena F. 90,00.

Cena 50 F